UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 00576426 1

ROMAN DYBOSKI

SIEDEM LAT W ROSJI I NA SYBERJI

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF

SIEDEM LAT W ROSJI I NA SYBERJI

ROMAN DYBOSKI

SIEDEM LAT W ROSJI I NA SYBERJI

(1915—1921)

PRZYGODY I WRAŻENIA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

D
627
R8D9

KRAKÓW — DRUK W L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1922

PAMIĘCI TYCH, CO JUŻ NIE WRÓCĄ,

POŚWIĘCAM.

Ach, jak nam znane te wygnańcze dale
Z ojców i dziadów opowieści smutnej!
Te Orenburgi, Samary, Urale
I Anhellego biały kraj pokutny,
Usiany kośćmi, co leżą bez krzyża,
Oczekujące, czy się Dzień nie zbliża?

(Or-Ot, *Do Polaków w Rosji*).

WSTĘP.

Jedność Rosji.

Popadłszy w niewolę carską jako oficer austrjacki nad rzeką Nidą w r. 1914, a w bolszewicką jako oficer polski nad Jenisejem w r. 1920, — przeżywszy w ciągu wojny światowej wśród różnych gromadek wygnańców polskich wszystkie perypetje dramatu dziejowego naszego narodu, od rosterek orjentacyjnych na początku do ostatniej tragedji legjonowej na Syberji, już za wolnej Polski, — przewędrowawszy w tych siedmiu długich latach Rosję i Syberję wzdłuż od Moskwy i Wołgi do Angary i Amuru, — poznawszy na tych przestrzeniach naród rosyjski wszerz i wgłąb, od książąt, uczonych i artystów moskiewskich w r. 1915, do chłopów syberyjskich, katorżników sachalińskich, rozbójników z tajgi i zbrodniarzy po więzieniach w latach ostatnich, — napatrzywszy się dowoli mnogim szczepom innym od Wotjaków i Tatarów po tej stronie Uralu, do Chińczyków i Japończyków na Dalekim Wschodzie, — miałem prawo przyjąć po powrocie od przyjaciół krakowskich powitanie w słowach Odyssei, że wielu ludzi poznał i miasta i myśli..

Ale miałem też powód, jak Odysseus na gościnnym dworze Alkinoja, wezwany do opowiadania swych wrażeń rodakom, zawołać bezradnie:

»Co wpierw, co potem powiem, a co na ostatku?«

Teraz, gdy cały ten kłąb wydarzeń jest jeszcze tak bliski, gdy jeszcze się nie rozejrzałem w położeniu, potrzebach i interesach naszego społeczeństwa w kraju, gdy wreszcie już mnie przemożnie wciąga w wir nowych prac i zadań życie państwowe polskie, — trudno o należytą perspektywę i należyte skupienie, by rozróżnić i odrzucić to, co stanowi doniosłe i dramatyczne przygody osobiste tylko, a uwydatnić jedynie i dobitnie to, co może być zajmujące i pożyteczne dla ogółu Polaków.

Ciekawość ogółu tego w chwili obecnej oczywiście skierowana jest przedewszystkiem na sowiecką republikę rosyjską, jej stan teraźniejszy i widoki na przyszłość. Jednostronnie tę tylko ciekawość zaspokajać nie mam zamiaru. Po pierwsze dlatego, że wypadłoby wtedy poruszać się prawie wyłącznie na *tierra del fuego*, na wulkanicznym gruncie djagnoz i prognoz polityczno-socjologicznych i sporów partyjnych. Powtóre zaś i nadewszystko dlatego, że przeżywszy w Rosji okresy wszystkich rządów: carski i pierwszy rewolucyjny w Europie, bolszewicki, reakcyjny i powtórnie bolszewicki w Azji, a wreszcie obecną kapitulację komunizmu w Moskwie, patrzę na cztery z górą lata rządów sowieckich z szerszej perspektywy niż ci, dla których

jaskrawe i świeże wrażenia z »Republiki Radzieckiej« zabarwiają poglądy na wszystkie inne przeszłe i przyszłe stany Rosji. Nieraz mówiłem żartobliwie, że mam pewną podstawę do zupełnej neutralności w sprawach wewnętrznych państwa rosyjskiego, bo nie było w tych siedmiu latach żadnego rosyjskiego rządu, któryby nie był stosował do mnie osobiście represji. Nie mam o to do nich pretensji, bo każdemu z nich dość krwi napsułem mojem postępowaniem jako Polak. Ale stwierdzam, że w rezultacie wszystkiego teraz wyraźniej niż kiedykolwiek i może wyraźniej od wielu innych uświadamiam sobie jednolitość rosyjskiego charakteru narodowego, ciągłość dziejów Rosji i fatalną rozwojową konieczność wszystkich tych dramatycznych przemian, przez jakie Rosja w ostatnich latach ku zdumieniu całego świata przeszła. Nie jestem, jak ci, co patrzą z zewnątrz, olśniony bogactwem i potężną rozmaitością przejawów psychiki tego narodu, raczej widzę teraz, patrząc wstecz, w całym korowodzie zdarzeń jedność duchową i w całym kalejdoskopie okropności zasadniczą prostotę podstawowych zagadnień i rozwiązań.

Przed wojną Rosja dla mnie, jak dla każdego przeciętnego Europejczyka, była krajem »nieograniczonych możliwości«, dziwów bez końca i bogactw niewyczerpanych, zarówno w łonie ziemi, jak w duszy ludu. Krainą nieograniczonych możliwości pozostała dla mnie Rosja i teraz, o ile chodzi o te wspaniałe niespodzianki, jakiemi obdarzają nas od czasu

do czasu wyłaniające się z tego olbrzymiego rezerwuaru ludzkiego twórcze genjusze. Ale, o ile chodzi o zjawiska społeczne i czyny zbiorowe, wszystko, co się w Rosji dzieje, ukazuje mi się teraz raczej jako nieodrodny plon, wyrastający na jednakowej glebie duszy narodowej z posiewu setek lat niewoli.

Zmianę, jaka w tym względzie zaszła w moich poglądach na Rosję, na podstawie siedmiu lat pobytu w niej, porównałbym z tą zmianą, jaka zaszła w moim stosunku do największej postaci w jej literaturze — do L w a T o ł s t o j a. Przed wojną razem z całą Europą czciłem w nim jednę z tych wielkości ogólno-ludzkich, które daleko przerastają granice jednego narodu, kraju i pokolenia. W uniesieniu nad światowym i nadludzkim rozmachem jego nauk i rozmyślań moralnych, nie mogłem zwracać uwagi na to, co w nim i w nich jest specyficznie plemiennego. Teraz po siedmiu latach pożycia z Rosjanami, nie przestając uwielbiać go jako znakomitego artystę literackiego, nauczyłem się jednak zarazem oceniać i rozumieć, jak typowo rosyjskim, jak ściśle związanym z geograficznemi warunkami życia rosyjskiego jest ten mużycki fatalizm, to ubóstwienie bezwładu, które mnie, Polaka, wychowanego w kulcie Napoleona, tak drażniło w »Wojnie i pokoju« pod potworną postacią apoplektycznego uosobienia siły rosyjskiej — Kutuzowa. Nie jest już w tem świetle dla mnie Tołstoj tym *stupor mundi*, jakim był dawniej. I nie jest takim *stupor mundi*, taką straszliwą niespodzianką

historyczną dla mnie i bolszewizm. Jest raczej nieuniknionem ogniwem w łańcuchu losów tego narodu.

Pragnąc uwydatnić tę jedność w nieskończonej rozmaitości wypadków rosyjskich, i nie chcąc, by się czytelnik, jak w lesie, gubił w kronice mojego tułactwa, uznałem za najwłaściwszy, sposób przedstawienia rzeczy ten, który u ludzi naszej ery jest najpopularniejszy — sposób kinematograficzny: w szeregu zdjęć migawkowych postanowiłem przesunąć przed oczyma publiczności wybrane obrazy chwil takich z mojego wygnania, które wydały mi się szczególnie charakterystyczne dla sytuacji dziejowej. Czytelników, ciekawych głównie na obrazki obyczajowe z życia rosyjskiego, proszę o przebaczenie, jeśli wśród tych migawek nazbyt wiele się znajdzie scen polskich z Rosji. Ale to jest jedno z zasadniczych doświadczeń, któremi również mnie wzbogaciła długa tułaczka wśród obcych: nabrałem głębokiego przeświadczenia, że tak samo, jak subjektywizm osobisty jest nieodzownym pierwiastkiem każdego ludzkiego czynu, tak samo zabarwienie narodowe, jako nieodzowny składnik chemiczny, wchodzi w każdy nasz postępek, w każde spostrzeżenie i każdą ocenę. Tytuł angielskiej powieści z życia Rosjan, napisanej przez naszego rodaka Józefa Conrad-Korzeniowskiego, *Through Western Eyes* — »Przez oczy zachodnie« — musi służyć, czy to źle, czy dobrze, także jako charakterystyka tego cyklu anegdot jenieckich i wygnańczych.

I.

Na manowcach myśli emigracyjnej.

Gdy po siedmiu latach niewoli wróciłem do Krakowa zdrów i rumiany, a nie zniszczony i apatyczny, wielu moich przyjaciół dziwny ten objaw tłumaczyło sobie tem, że wprawdzie bied materjalnych przeszedłem dużo, — o tem wątpić nie było można, — ale za to minęły mnie te wszystkie udręki moralne, które przechodziło społeczeństwo w kraju, postawione wobec faktu wojny między jednym naszym odwiecznym wrogiem — Niemcami, — a drugim naszym odwiecznym wrogiem — Rosją, na ziemiach polskich i o ziemie polskie.

Chcę więc przedewszystkiem udowodnić, że tak nie było: że i my w Rosji, rzuceni falą losów wojennych poza nawias wypadków krajowych, przeżywaliśmy ten straszliwy dylemmat dziejowy niemniej głęboko, niż wszyscy inni Polacy. W tym celu zacznę od dwóch pamiętnych dla mnie obrazków z życia naszej Emigracji moskiewskiej w r. 1915, dramatycznie illustrujących te tragiczne przeżycia duszy polskiej.

Ale wpierw mała przygrywka.

Dnia 21 grudnia 1914 roku, o świcie, na czele kompanji 16-go (krakowskiego) pułku piechoty obrony krajowej austrjackiej, szedłem do szturmu od błotnistych brzegów rzeki Nidy na wzgórza na południe od miasteczka Pińczowa, zajęte przez Moskali. Gdyśmy się wdarli wreszcie do okopów — w których nas w ten sam dzień wieczór miała zagarnąć do niewoli piechota rosyjska — zastałem tam oficera rosyjskiego, leżącego obok karabinu maszynowego, z którego całe rano pluł na nas kulami. Już się do oficera dobierali nasi sanitarjusze, zaczynając, jak zwykle, od zegarka, nie od rany. Ranny słyszy wkoło siebie różne »Rany Boskie!« i »Psia mać!« naszych wiarusów, widzi u mnie oficerskie odznaki i woła: »Niech Pan mnie poratuje! Jestem Polak!« Dopilnowałem, by go opatrzono i odniesiono, a sam pomyślałem sobie, że ugodziła go może kula z mojego pistoletu, bo prowadząc szturm, strzelałem sobie na odwagę »Panu Bogu w okna«, jak się to zwykle robi.

Takie było pierwsze moje dramatyczne zetnięcie oko w oko z tragizmem naszego położenia narodowego w tej wojnie światowej.

*

W roku 1915, dzięki życzliwemu pośrednictwu niestrudzonej opiekunki jeńców-Polaków, p. Elżbiety Hulanickiej z Komitetu Polskiego w Moskwie, oraz komendanta stacji etapowej dla jeńców, hr. Adama Rzewuskiego, zostałem uwolniony na podstawie po-

ręki osobistej światłego i szlachetnego arystokraty rosyjskiego, księcia Mikołaja Gagarina, i mieszkałem na dogodnych warunkach w mieście, uczestnicząc w życiu kolonji polskiej i zawierając cenne znajomości w świecie naukowym rosyjskim.

Królestwo było jeszcze w rękach Rosji. Upojone manifestem Wielkiego Księcia, czekało na akty monarsze, mające ziścić obietnice wodza. Pan Aleksander Lednicki, z prawdziwem poświęceniem prowadzący akcję pomocy ofiarom wojny, jako prezes Komitetu Polskiego w Moskwie, zarazem niemniej gorliwie pracował nad pogłębieniem sympatji dla nas i zrozumienia dla naszych żądań wśród naszych przyjaciół Moskali. Skorzystał w tym celu między innemi z obecności w Moskwie naszego krakowskiego profesora Marjana Zdziechowskiego, który wtedy na zaproszenie rosyjskiego Towarzystwa religijno-filozoficznego wygłosił w sali Domu Polskiego piękny odczyt w języku rosyjskim »O rozwoju świadomości religijnej narodu polskiego«. Pan Lednicki zebrał u siebie w domu grono uczonych, literatów, publicystów i działaczy politycznych zarówno rosyjskich jak polskich i poprosił profesora Zdziechowskiego, by zechciał wypowiedzieć do nich odczyt o samorządzie Królestwa Kongresowego. Spodziewał się, że dyskusja nad tym tematem da wytyczne dla projektowanego rosyjskiego samorządu nowej Polski, i wpłynie pouczająco i korzystnie na sfery ustawodawcze i rządowe. Zgromadziło się za długim zielonym stołem we wielkim gabine-

cie p. Lednickiego ze sto osób. Prezydował najszczerszy nasz przyjaciel w ówczesnej Rosji, szlachetny idealista i entuzjasta — dziś już zmarły niestety — ks. Eugenjusz Trubeckoj. Wśród zebranych reprezentowane były różne odcienie poważnej politycznej opinji rosyjskiej, od prawicowców, jak profesor Ustynow, do kadetów, jak Miljukow, i neo-sławianofilów, jak Nowgorodcew i Rybinskij. Były głowy tak mądre, jak profesor Kotlarewskij i osławiony autor projektu autonomji z 1905 r., Kokoszkin. Profesor Zdziechowski znany jest wśród swych przyjaciół politycznych jako *enfant terrible:* jak popłoch szerzył w sferach ortodoksji katolickiej przez swe gorące sympatje dla modernistów, jak później zdumiał prawicę narodową przez swą pełną zachwytu broszurę o Stanisławie Brzozowskim, tak tym razem przykrą niespodziankę zgotował swym długoletnim i serdecznym przyjaciołom rosyjskim. Oczekiwali opisu Królestwa Kongresowego jako zachęcającego obrazu możliwego współżycia autonomicznej Polski z monarchiczną Rosją pod dachem unji personalnej. Tymczasem prelegent na podstawie takich dzieł, jak Smolki »Polityka Lubeckiego« i Askenazego »Łukasiński«, nieubłaganie wykazał konieczność dziejową powstania listopadowego, przedstawiając, jak na wszystkie piękne urządzenia konstytucyjne narzuciła swą duszącą sieć szpiegowsko-policyjna administracja carska. Zmieszali się wszyscy. Rybinskij próbował ratować sytuację przez odczytanie wiersza o »odwecie za Kalisz«, napisanego przez ran-

nego strzelca syberyjskiego w szpitalu moskiewskim po obronie Warszawy, — p. Lednicki przeczytał ustęp o możliwem porozumieniu polsko-rosyjskiem z jakiejś publikacji samego profesora Zdziechowskiego z okresu 1905 roku, — stary kadecki lis Miljukow, zawsze pomny interesów swej imperjalistycznej partji, zaznaczył, że jego zdaniem, profesor Zdziechowski przedstawił rzecz w nazbyt czarnych barwach, że dziś już niema Petersburga, tylko jest Petrograd, że taka wielopiętrowa policja w XX wieku jest niemożliwą, że wreszcie wrota Szlisselburga otwierały się nietylko dla Łukasińskich, ale i dla Rosjan; że więc nie należy tracić nadziei, iż wywalczymy sobie swoje prawa kiedyś i my i oni, »byle tylko wraz«; że trzeba tylko pragnąć, by Polacy w przyszłości ściślej i bliżej się porozumiewali z pokrewnemi im duchem stronnictwami rosyjskiemi (to jest, inaczej mówiąc, by się wprzęgli »bez zastrzeżeń« w rydwan polityki kadeckiej). Niewiele to wszystko pomogło: wieczór zbratania się między wybranymi ludźmi obu narodów skończył się niewątpliwem fiaskiem.

Obrazek drugi, dla serca polskiego przykrzejszy, bo już w samem środowisku polskiem się rozgrywający.

Niemcy zajęli Królestwo, i do Moskwy z falą uchodźczą napłynęło wiele inteligencji polskiej z Warszawy. Powstaje tygodnik »Echo Polskie«, powstaje teatr polski, odbywa się zjazd polski. W teatrze w pierwszy wieczór grają »Wesele« Wyspiań-

skiego — oczywiście bez Branickiego i djabłów w carskich mundurach. W kilka dni potem w redakcji »Echa« odbywa się wieczór dyskusyjny na temat »Wesela« i jego narodowego znaczenia. Przemawia pan Mieczysław Limanowski, geolog-folklorysta-mistyk, sprowadzając pierwiastki myślowe i artystyczne utworu do jakich pra-słowiańskich składników psychiki ludowej. Jesteśmy zachwyceni jego entuzjastyczną wymową, ale nie przekonani. Przemawia jako drugi, już wysoce niedorzecznie, śpiewak z Warszawy, p. Górski, pięknym barytonem. Dla niego treść »Wesela« jest jasną przepowiednią przeżywanej przez nas chwili dziejowej. Wernyhora, to budzący nas do czynu i nowego życia naród rosyjski, biały koń — to potęga wojskowa tego narodu, pistolety w olstrach — to obaj sprzymierzeńcy na Zachodzie (!), złoty róg — to manifest Wielkiego Wodza. (W tem miejscu mowy moje krakowskie nogi same mnie poniosły demonstracyjnie precz ze sali). Zamieszanie, jak u Lednickiego — dyskusja.

Pierwszy zabiera głos nasz poeta Tadeusz Miciński, stale wtedy pozujący na Mickiewicza tej moskiewskiej Emigracji (z racji pewnie pierwszych trzech liter swego nazwiska): stara się zbagatelizować »Wesele« jako »utwór okolicznościowy«. Mówi ks. Lutosławski, niedawny kapelan legjonów, deklarując się — właściwie *à propos de rien* — jako stanowczy zwolennik orjentacji rosyjskiej, i tłumacząc (jak się to wtedy we Lwowie i Kijowie głosiło),

że orjentacja rosyjska, to jest orjentacja chłopa polskiego. Mówi p. Tadeusz Jaworski, wiążąc »Wesele« z »Wyzwoleniem« i »Akropolis« w ideową całość dla ulgi po tym pesymiźmie, w który nas pogrąża »Wesele«, a który ja przeciw Limanowskiemu jako główną cechę artystyczną »Wesela« akcentuję. Ja w swojem przemówieniu piętnuję interpretację Wernyhory przez p. Górskiego jako »mimowolną zapewne obrazę narodu polskiego«. Rozchodzimy się niepojednani i zmąceni na duchu od tego wciągnięcia dzieła wielkiego wieszcza w orbitę walk partyjnych, — zarazem ze smutnem przeświadczeniem, że choć objawy są małostkowe, ale w istocie o wielkie rzeczy chodzi — o całą naszą przyszłość, — a my na jednolity zbawczy czyn zdobyć się nie potrafimy. I chochoł życia emigranckiego przygrywa nam do dalszego tańca.

Takimi meandrami wiła się jeszcze przez lata myśl wygnańcza polska w stolicy carów.

II.

Radykalizm duszy rosyjskiej.

W pierwszym roku pobytu w Rosji poruszałem się w Moskwie na ogół wśród ludzi o jednakowych ze mną przyzwyczajeniach kulturalnych, interesach umysłowych, upodobaniach artystycznych i tradycyjnych poglądach na pewne zasadnicze sprawy ogólno-ludzkie.

Już wtedy jednak na jednym przynajmniej przykładzie przekonałem się, jak pod tą warstwą poloru europejskiego wygląda charakter narodowy tłumów rosyjskich, i do czego one są zdolne pod wpływem hipnozy masowej. Ten pamiętny przykład — pełny potężnej grozy, — to pogromy antyniemieckie w Moskwie w ostatnich dniach maja roku 1915. Idąc w ten dzień przed południem do znajomych polskich, którzy mnie zaprosili, już zauważyłem niezwykły ruch na ulicach, i z grupy inteligentnych przechodniów usłyszałem uwagę, że dzieją się rzeczy, przynoszące hańbę Rosji. Ponieważ jednak wtedy — w okresie Suchomlinowa i Miasojedowa — o hańbie Rosji często się mówiło, więc nie przywiązywałem do tego większej wagi. Wieczorem,

wychodząc na ulicę, stanąłem przed obrazem iście wereszczaginowskim. Oto Moskwa, jak za Napoleona, w sześćdziesięciu miejscach się pali, łuny i dymy pokrywają niebo, a po ulicach falą płynie tłuszcza z portretami cara i tradycyjnym przy pogromach okrzykiem: »Szapki dołoj!« (»Czapki precz!«). Przechodzę przez plac przed Teatrem Wielkim i widzę, jak po głównych schodach hotelu »Métropole« wali na górę tysiącgłowy tłum, szukać Niemców po numerach hotelowych. Spędziłem niespokojną noc w moim ówczesnym hoteliku w śródmieściu, bo co chwila wdzierały się do westybulu gromady czerni z zapytaniem, czy niema w hotelu austrjackich lub niemieckich poddanych. Służba hotelowa jednak, w interesie całości urządzenia hotelowego, odpowiadała przecząco; donosiciel na szczęście się nie znalazł.

Wyszedłszy nazajutrz na ulicę Miaśnicką — pełną sklepów i kantorów firm niemieckich lub niemieckie nazwiska noszących, — zastałem ją, jak głębokim śniegiem, pokrytą kartkami z podartych i wyrzuconych na bruk ksiąg handlowych owych firm. Tu i owdzie sterczały ruiny połamanych maszyn lub leżały kupy towarów. Celem pogromów było niszczenie dobytku firm niemieckich, ale nie obeszło się oczywiście i bez grabienia: tramwaje w pierwszy wieczór wracały do remiz z dachami zawalonemi zdobyczą, szczególnie kołdrami, tkaninami, bielizną, ubraniami, a o zmierzchu kilkakrotnie widziałem przechodniów — nawet popów, urzę-

dników, studentów — którzy szybko i wstydliwie zabierali coś z leżących po ulicach towarów i nieśli do domu. Robota niszczycielska, jak zwykle u Moskali, zrobiona była z szerokim rozmachem i bardzo ryczałtowo, bo padły jej ofiarą także firmy, niczego wspólnego z niemieckością nie mające — nawet nazwiska, — jak handle herbaty Vaughanów, — padły ofiarą także rosyjskie firmy dawnego niemieckiego pochodzenia — a w danej chwili szczególnie potrzebne i pożyteczne dla państwa i armji, jak firma aptekarska Ferrejn, której kilka sklepów rozbito, choć wtedy już panował na froncie dotkliwy brak lekarstw.

Miasto w drugi dzień pogromów było już uspokojone, bo tłumy na dane przez organizatorów pogromu hasło rzuciły się w okolicę miasta, niszczyć wspaniałe rezydencje letnie niemieckiej plutokracji moskiewskiej.

Że pogromy były, jak zwykle w Rosji, zainicjowane przez samą władzę rządową, dla odwrócenia uwagi ludu od przestępstw rządu, tego miałem naoczny dowód, gdy przy ulicy Miaśnickiej przed bogatym sklepem narzędzi metalowych »Kenz i Ska« widziałem samochód naczelnika miasta, Adrjanowa, i stojącego obok samochodu samego naczelnika, który się przypatrywał »wyczyszczaniu« reszty towarów ze sklepu. Nie dziwiłem się też wcale, gdym usłyszał, że jenerał-gubernator Moskwy, książę Jusupow-Sumorokow-Elston, dopiero o czwartej po południu w pierwszy dzień pogromów dowiedział się

w swym przedmiejskim pałacyku przez telefon z Petrogradu, iż w Moskwie są podobno jakieś rozruchy. A przyklasnąłem odwadze cywilnej hrabiny Wiery Bobrińskiej, która w kilka dni później, zirytowana biurokratyczną odwłoką w załatwieniu jakiejś ważnej sprawy wojenno-filantropijnej, krzyknęła do zgromadzonych dygnitarzy: »Pogromy urządzać umiecie, a żołnierzom na froncie pomagać nie umiecie!«.

Takie było pierwsze moje na większą skalę zetknięcie z tą kapitalną cechą duszy rosyjskiej, jaką jest r a d y k a l i z m — jednakowo zapamiętały i bezgraniczny w despotycznej zaciekłości i w rewolucyjnem uniesieniu, w ideowym zachwycie i w niszczycielskiej furji, w psiej pokorze niewolnika wschodniego i w anarchistycznej pogardzie dla najstarszych i najczcigodniejszych konwenansów i autorytetów.

Tę bezceremonjalną pogardę dla konwenansów, ten brak wszelkiego zmysłu dla jakiejkolwiek tradycji, religijnej czy narodowej, obyczajowej czy etykietalnej, poznałem zczasem coraz gruntowniej jako jedną w kardynalnych cech psychiki rosyjskiej na niejednym szczególe zarówno w życiu publicznem, jak i w stosunkach prywatnych z inteligentami różnych warstw, — od arystokracji rodowej do nauczycieli wiejskich. W domu arystokratycznym słyszałem, jak wychowane w Paryżu, dorosłe już dzieci, swemu dość otyłemu ojcu, deklamowały na imieniny wierszyk Czechowa tej treści: Dwóch lu-

dzi idzie ulicą wiejską, i jeden z nich, widząc kroczącą przed nimi ogromną świnię, mówi: »Patrz, jaka ogromna świnia! ręczę, że waży ona conajmniej tyle, jak nasz ojciec«. A drugi na to: »Przesadzasz, mój drogi, bo takiej świni jak nasz ojciec, niema na cały powiat«.

A od niezwykle wykształconego nauczyciela wiejskiego, gdym przeciwko jego krytyce bronił mego dawnego, jeszcze przedwojennego podziwu dla wielkości Tołstoja i użył porównania jego pism z Nowym Testamentem, usłyszałem spokojne i proste zapytanie: »A czyż Pan księgi Nowego Testamentu tak wysoko ceni?«.

Na tych i niezliczonych innych jeszcze przykładach w różnych klasach społecznych i okolicznościach życia przekonałem się dowodnie, jak zupełnie brak na czaszce Moskala tego ważnego frenologicznego znamienia, tak silnie rozwiniętego na głowach europejskich, jakiem jest guz p o s z a n o w a n i a. Tradycyjna postawa szacunku wobec wszelkich przyjętych poglądów, zwyczajów lub urządzeń, wytworzonych przez wiekową pracę cywilizacyjną ludzkości, zgoła obcą jest narodowi rosyjskiemu we wszystkich jego warstwach, od inteligenta, który pluje na względy przyzwoitości, i rozrzucając po dywanie niedopałki papierosów, rozmawia ze mną przy samowarze do czwartej rano o Panu Bogu, gdy ja chcę się wyspać przed jutrzejszą pracą, — aż do chłopa, co w cerkwi pokłony wybija, ale popa w kuchni wódką gości i do świetlicy nie prowadzi.

Właściwość ta może być zrazu odświeżającą jako *reagens* przeciw nadmiernemu u wielu z nas respektowi dla zatęchłych powag, ale zczasem i we większych dawkach musi budzić, u Polaka szczególnie, głęboką odrazę. Nasłuchałem się przez siedem lat od Moskali różnego autoramentu jednobrzmiących zawsze narzekań na naszą polską nieszczerość i kłamliwość i na nasz brak prawdziwego demokratyzmu. Nie odmawiając tym zarzutom pewnej racji, doszedłem jednak przez doświadczenia rosyjskie do przekonania, że milszy mi jest nasz polski tradycjonalizm kulturalny i respekt choćby dla wiekowych iluzji, ułatwiających pożycie między ludźmi, milsza także ta może nieco lekkomyślna i często donkiszocka rycerskość, co od szlachty w dół przenikła u nas etykę i etykietę wszystkich stanów, niźli owa mongolska »pryncypjalność« i gnuśna po hindusku głębokość, niż bezkresowy a przez to i bezcelowy i bezowocny rozmach w traktowaniu zagadnień, na Zachodzie uważanych za załatwione, niż wreszcie chamska szczerość, włażąca bez zaproszenia do cudzej duszy, już nie w kaloszach, jak powiedział Czechow, ale w butach dziegciem cuchnących. To też, gdy po raz pierwszy po latach rosyjskich mogłem w r. 1921 zamknąć się w Delegacji repatrjacyjnej polskiej w Moskwie w kole owej kłamliwej grzeczności europejskiej i powierzchownej blagi rozmów towarzyskich, zasklepiłem się tam — otwarcie to mówię — z pewną lubością i nie odczuwałem pragnienia wystawić nos na nowo między

inteligencką brać rosyjską, co każde głupstwo codziennego życia zaszczyca bengalskiemi ogniami metafizyki lub conajmniej kosztownemi fejerwerkami pesymistycznego i bezpłodnego humoru.

Wśród narodu, skłonnego z usposobienia do zasadniczego traktowania wszelkich zagadnień, — narodu, zawsze gotowego z pogardą odrzucić każdą tradycję, bo mu ją zawsze dyktowała brutalna siła autokracji, — narodu wreszcie, w ogólnej swej masie tak starannie utrzymywanego w najgrubszej ciemnocie, — oczywiście zdawna tkwiły zarodki tych potworności bolszewickich, któremi Rosja zadziwiła w naszych dniach świat, nie znający jej duszy. Jest marnym wykrętem, chętnie używanym przez inteligentów rosyjskich — a powtarzanym przez niektórych Polaków, — że bolszewizm, to wyforytowana przez rząd niemiecki machinacja żydów, pragnących przez zniszczenie Rosji zemścić się za swoje krzywdy. Tyle w tem prawdy, co w równie często powtarzanem usprawiedliwieniu, że wszystkie klęski carskiej Rosji i cały poprzedzający je moralny rozkład systemu administracyjnego, tak samo jak i nierozumny ucisk Polaków, spowodowali rozwielmożnieni na wysokich stanowiskach Niemcy. Ani Nowosilcew, ani Murawjew, ani Hurko, ani Apuchtin, ani niezliczeni łapownicy i satrapi po gubernjach, ani wreszcie tacy zdrajcy wojenni, jak pułkownik Miasojedow i minister Suchomlinow, nie byli Niemcami, lecz rdzennymi Rosjanami. Szlachcicem rosyjskim czystej krwi jest także wódz bol-

szewizmu Lenin. I tu jest żydów niemało, i tam było Niemców dość, i ci i tamci sprawili wiele, ale nie wszystko i nie sami.

Już pogromy moskiewskie r. 1915 dały mi przedsmak tego, do czego zdolny jest naród rosyjski, gdyby nagle otrzymał tę wolność, której nigdy nie znał. Już wtedy można było z troską powtórzyć słowa Schillera: *Wehe, wenn sie losgelassen!*

Tem bardziej po rewolucji w marcu r. 1917 wątpić nie można było, że wypadki rychło przyjmą jakiś okropny obrót. Od początku rozdwojenie władzy *(dwojewłastje)*, — z jednej strony oficjalny Rząd rewolucyjny, z drugiej kontrolujący Sowiet petrogradzki — wróżyło źle i przyćmiewało wrażenie dziwnie składnego i porządnego przebiegu samego przewrotu. To łatwe i spokojne dokonanie przewrotu świadczyło poprostu tylko o tem, że zgniły do gruntu ustrój carski był gotowy do upadku za tknięciem palca.

Alarmującemi symptomami obłąkania myśli politycznej u warstw przodujących były już w pierwszych tygodniach po upadku monarchji takie objawy, jak uchwała pirogowskiego Zjazdy lekarzy ziemskich, zawsze jednoczącego kwiat inteligencji prowincjonalnej, — uchwała wyrażająca potępienie Rządu Tymczasowego a solidarność z Sowietem.

Co zaś działo się w głębiach narodu, mogłem widzieć lepiej ja, co byłem wtedy zdala od centrum, niż moi moskiewscy i petrogradzcy przyjaciele pol-

scy, co w listach zachwycali się godnym i dostojnym przebiegiem rewolucji.

Rewolucja zastała mnie w miasteczku Glazowie, w gubernji wiackiej, gdzie stał ogromny garnizon — 7.000 żołnierzy pułku zapasowego — i gdzie ja sam mieszkałem w koszarach wśród żołnierzy rosyjskich. Dzięki temu miałem sposobność przez szereg tygodni i miesięcy śledzić postępujące z dnia na dzień rozwydrzenie masy żołdackiej i raptowny upadek wszelkiej dyscypliny wojskowej i społecznej. Doszło do takiego paradoksalnego położenia, że przez pewien czas ja, oficer austrjacki w niewoli, byłem jedynym człowiekiem w całem mieście, co przez kurtuazję wymieniał pozdrowienie wojskowe z oficerami rosyjskimi, bo właśni ich żołnierze już im nawet w służbie honorów wojskowych nie oddawali. Pamiętam, jak wysunięty przez rewolucję na stanowisko komendanta miejscowego młody oficer — student z Moskwy — po długich posiedzeniach ze swym komitetem żołnierskim skarżył się przede mną (bo zresztą nie miał przed kim!), że już nijak sobie rady dać nie może. A było to wszystko jeszcze w miodowych miesiącach rewolucji, w kwietniu i maju r. 1917. Pamiętam też pełne troski o przyszłość rewolucji, poufne rozmowy, jakie ze mną prowadził starszy podoficer-szewc, jedyny chyba rozważny i po obywatelsku myślący człowiek, jakiego w tej zgrai mużyckiej spotkałem. Pamiętam już na uroczystość 1 maja w r. 1917 takie napisy na czerwonych sztandarach rewolucyjnych, jak: »Precz

z wojną!« i »Precz z burżuazją!« Pamiętam wreszcie, że bożyszczem masy żołnierskiej, pierwszym przewodniczącym sowietu miejscowego i głównym demagogiem wśród załogi był postawny i wymowny oficer kozacki z Orenburga — Polak, którego później na Syberji spotkałem w szeregach naszej 5. dywizji. Tak samo i w innych miejscach wypłynęli na wierzch powstającej fali bolszewizmu agitatorzy-Polacy, jako jednostki najwykształceńsze i najzdolniejsze do prowadzenia masy rewolucyjnej. A gdzie nie wypłynął Polak, tam wypłynął żyd, jako najsprytniejszy w całej gromadzie starych konspiratorów. Rolę żydów w ruchu bolszewickim dostatecznie tłumaczy wyższy niż u Moskali spryt i temperament, i nie potrzeba wcale dla wyjaśnienia ich wielkiej władzy w Bolszewji uciekać się do szerzonej przez czarnosecińców hipotezy o przygotowanej i zdawna zorganizowanej intrydze międzynarodowych potęg żydowstwa.

III.

Polacy w Rosji.

Jakim alembikiem dla najprzeróżniejszych żywiołów polskich miała się stać Rosja, tego pierwszy wyraźny obraz miałem przed oczyma, gdy z Moskwy w jesieni r. 1915 zostałem rzucony do malowniczego starego miasteczka Rostowa Wielkiego, czyli Książęcego, nad jeziorem Nero w gubernji jarosławskiej na północ od Moskwy. Miasteczko to, siedziba kniaziów z czasów, gdy Moskwa nie miała jeszcze znaczenia, posiada swój Kreml, starszy od moskiewskiego, w nim ciekawe stare komnaty i przedmioty urządzenia, i z tym swoim zamkiem i licznemi również starodawnemi cerkwiami, odzwierciedlającemi się w jeziorze, przedstawia widok tak ponętny dla artysty, że wielokrotnie już było uwieczniane przez malarzy, podobnie jak staroświeckie Rotenburg ob der Tauber w Niemczech.

Otóż w Rostowie odbywały się nabożeństwa katolickie dla nielicznego zastępu katolików miejscowych i licznej rzeszy wygnańców wojennych. W braku kościoła oddało na ten cel swą salę miejscowe Ziemstwo. Tutaj w niedzielę gromadził się

różnobarwny tłum. Jeńcy z pod zaboru austrjackiego i niemieckiego, żołnierze rosyjscy Polacy, wygnańcy z przeróżnych stron Królestwa i kresów w rozmaitych sukmanach i kapotach, i starzy emigranci polscy w mundurach czynowniczych lub cywilnych strojach rosyjskich, wszystko to się tłoczyło razem na mszy w małej sali i w jeden głos płakało, gdy rozlegały się z ust chóru jenieckiego tak aktualne wtedy słowa naszej pieśni »Boże Ojcze, Twoje dzieci...«

Obok Polaków byli i Litwini, zarówno dawno na miejscu zamieszkali, jak i nowo przybyli. Nabożeństwo odprawiał ksiądz Baltrymas, Litwin, którego nazwisko dlatego tutaj ze czcią wymieniam, ponieważ był jednym z niewielu znanych mi księży litewskich, co się odnosili lojalnie i życzliwie do Polaków. Jak umiał, tak wygłaszał naukę przed mszą w jednym, po mszy w drugim języku, modlitwy także w obu językach odmawiał i śpiewy w obu językach dopuszczał i zalecał. Zdarzyło się, co się zdarzyć musiało: że miejscowi Litwini, niezadowoleni z tak bezstronnego duszpasterza, wnieśli na niego skargę do proboszcza jarosławskiego. Tu jednak powtórzyła się biblijna historja odpowiedzi syna Salomonowego na skargi żydów przeciw twardym rządom zmarłego ojca: »On was ćwiczył biczami, a ja was będę ćwiczył skorpionami«. Proboszczem jarosławskim był ks. Marjan Tokarzewski (obecny kapelan Naczelnika Państwa), zesłany z Baru na Podolu do Jarosławia nad Wołgą, jako tradycyjnego miejsca wygnania dla

niebłagonadjożnych kapłanów katolickich (jak arcybiskup Feliński, w nasze dni ruski metropolita Szeptycki). Niezwykle postawny, śmiały i cięty w języku, ten ksiądz już się był wyróżnił na pierwszym Zjeździe polskim w Moskwie, we wrześniu r. 1915, piętnując niegościnność braci Słowian wobec wygnańców polskich. Narobił także był sensacji przez swój list otwarty w gazecie do psów jarosławskich z podziękowaniem za współczucie, okazane zmarłym dzieciom wygnańców polskich przez obwąchiwanie trumienek, na które miejscowi kołtuni rosyjscy nawet spojrzeć nie raczyli. Ksiądz Tokarzewski zaraz na początku wprawił w zdumienie nabożnych, własnoręcznie przenosząc improwizowany ołtarz z pod portretu cara na środku estrady do kąta pod okno. Ale większe jeszcze zdumienie wywołał kazaniem, — najbardziej porywającem, i rozrzewniająco patrjotycznem, jakie mi się w ciągu lat wygnańczych zdarzyło usłyszeć. Zaczął od tego, że był kapłan, co, mając we Wielki Piątek mówić o męce Chrystusa Pana, tak był przejęty swym przedmiotem, że po długiej chwili milczenia zeszedł bez słowa z ambony i tem wywołał większe wrażenie, niż najwymowniejszem kazaniem. Tak samo i on, ks. Tokarzewski, często teraz słów znaleźć nie może na ogrom męki mas wygnańczych polskich, rozsianych po Rosji. Przypomniał sobie, że niedawno, gotując na na śmierć więźnia politycznego Polaka, przy ostatniem olejem świętym namaszczeniu znalazł u konającego jeszcze kajdany na nogach. Korzystając

z okoliczności, że zjechał w sam dzień Trzech Króli 1916 r., porównał z Bożem dzieciątkiem w żłóbku rodzącą się nową Polskę, do której także przychodzą trzej Królowie z podarunkami: Austrjak, Prusak i Moskal. Ale dzieciątku milsi są pastuszkowie, co pierwsi mu się pokłonili, gdy głos Anioła się rozległ. I porównał potem kaznodzieja to śmietnisko kulturalne i moralne, na jakie los wygnańców rzucił, z tem, co w domu zostawili; nie omieszkał przypomnieć im wszystkiego, do czego tęsknią — od chaty ojcowskiej do gruszy na miedzy i pieska koło chałupy — i zaklął ich na to wszystko, by w glebę rosyjską korzeni nie zapuszczali. Wzruszenie było silne i powszechne, i niejedna zapewne jednostka zawdzięcza temu kazaniu swe ocalenie moralne. Oczywiście Litwini ze swą skargą sprawę przegrali, i ks. Baltrymas dalej mszę odprawiał.

* * *

Z masą wygnańczą zetknąłem się po raz pierwszy jeszcze w Moskwie, gdy pod jesień pierwsze fale uchodźców ze wschodniego Królestwa jęły napływać w głąb Rosji i tłumy w Moskwie garnęły się instynktownie do kościoła katolickiego przy zaułku Milutyńskim. Dziedziniec przed kościołem przedstawiał wtedy jedno z wielu prawdziwie dantejskich widowisk, jakie w tych siedmiu latach oglądałem: koczowały tam wpół-zdziczałe od strachu i bied przeróżnych gromady ludu, tam leżąc na tłumokach, lu-

dzie marli, tam pod gołem niebem lub na scenie teatralnej Domu Polskiego rodziły się dzieci, jak dziś rodzą się w wagonach pociągów repatrjanckich. Dyżurowałem dla tych bezradnych i niemal obłąkanych ofiar wojny w biurze informacyjnem Komitetu Polskiego, i nigdy nie zapomnę, jak jakiś chłop wziął mnie na bok do kąta sali i rozglądając się nawpół obłędnym wzrokiem wokoło, czy mu gdzie nad głową nie pęknie jeszcze jaki pocisk niemiecki z aeroplanu, zaczął opowiadać przyciszonym głosem, jak pogubił w drodze wśród paniki całą swą rodzinę.

»Wygnańcy są bardzo nieszczęśliwi; ale też każdy stara się im pomagać jak może«, pisała wtedy do mnie współczująca Angielka. Wiedziałem coś o tem, bo sam wtedy pracowałem w trzech z dwudziestu pięciu sekcyj rozrośniętego do niebywałych rozmiarów Komitetu Polskiego w Moskwie. Pracowałem w Sekcji szkolnej, mozoląc się razem z warszawskimi pedagogami nad zestawieniem takiego programu dla nowopowstających polskich szkół średnich w Moskwie, któryby czynił zadość i wymaganiom rządowym rosyjskim i potrzebom narodowym polskim. Należałem dalej oczywiście do Sekcji dla obcopoddanych Polaków, pracując żmudnie i dość beznadziejnie razem z innymi nad utworzeniem takiej organizacji, którąby dawała jaką taką ostoję i ochronę prawną jeńcom cywilnym z pod zaboru austrjackiego i pruskiego, szykanowanym przez policję daleko bardziej samowolnie niż jeńcy wojenni przez władze wojskowe. Wreszcie w Sekcji doraźnej

pomocy na dyżurach przyglądałem się zbliska nędzy wygnańczej. I tu rychło przekonałem się, jaki zarodek złego tkwił w sytuacji, określonej przez przytoczone powyżej słowa Angielki. Istotnie, mnogość różnorodnych organizacyj ratowniczych stała się niebawem źródłem fatalnej demoralizacji rzesz wygnańczych. Jeszcze w Moskwie w samych początkach, a potem po innych miejscach w wyższym stopniu, stałem się świadkiem znamiennej spekulacji na filantropję wojenną. Biorąc pomoc materjalną to z tego, to z owego naprzemian polskiego i rosyjskiego Komitetu, przejęli się psychiką żebraczą, a w dalszej konsekwencji próżniacką. Woleli żyć mizernie po przytuliskach z nędznego zasiłku pieniężnego, niż daleko dostatniej z pracy. Sprzedawali na targach wyżebraną odzież, bieliznę i obuwie, i spekulowali na to, który Komitet lepsze daje zapomogi, tak samo, jak dzisiejsi repatrjanci spekulują co do misyj mocarstw ościennych w Rosji i wybierają i zmieniają poddaństwo według obfitości zasiłków. Wogóle prosta linja rozwoju prowadzi od ówczesnego rozbitka wojny światowej do dzisiejszego repatrjanta z Bolszewji, jak go studjowałem podczas pracy w Delegacji repatrjacyjnej polskiej w Moskwie z końcem roku 1921, i jest to linja postępowego rozstroju i rozkładu moralnego, coraz gruntowniejszego wykorzenienia z natury tych ludzi pojęcia o związku przyczynowym między pracą a utrzymaniem.

Innę objawy demoralizacji obserwowałem

u tych, których pozwolę sobie żargonem sowieckim nazwać »burżujami« polskimi w Rosji. Dość ich poznałem, szczególnie po miastach prowincjonalnych w Rosji i na Syberji, a osobliwie na Dalekim Wschodzie, gdzie od wojny rosyjsko-japońskiej żywioł ciemno-spekulancki zarówno rosyjski, jak polski, szukał swego Eldorado, i gdzie o każdym prawie majętniejszym rodaku można było się dowiedzieć od drugiego rodaka — i niestety, nie bez faktycznych podstaw, — że zdobył swój majątek przez praktyki mniej lub więcej kryminalne. Pozostawiając jednak na boku daleko-wschodnich aferzystów, nie chciałbym o »burżujach« polskich w Rosji niesłusznie źle mówić, ani być dla nich osobiście niewdzięcznym. Dość się najadłem w dawniejszych latach za ich gościnnemi stołami różnych tłustych potraw rosyjskich, litewskich, a czasem nawet i polskich, dość wypiłem nie zawsze szlachetnych, ale zwykle mocnych trunków. Muszę także dodać, że choć bardzo lojalni wobec władzy carskiej, nie byli może naogół bardziej trwożliwi co do stosunków towarzyskich z jeńcami Polakami, niżeli (jak się teraz dowiaduję!) kołtuństwo polskie pod zaborem austrjackim w czasie wojny światowej w stosunku do jeńców-Polaków z armji rosyjskiej. Prawda, że do tych i dostęp przy starych porządkach w państwach centralnych był ponoś trudniejszy, a w Rosji bogaty człowiek z koneksjami mógł zrobić mniej więcej wszystko, co zechciał.

Chcę więc tylko teraz, gdy z głębokim smut-

kiem wspominam te znajomości, stwierdzić, że ogół burżujów-Polaków pozostawił u mnie pamięć bardziej przenikniętą pierwiastkiem odrazy, niż nawet kołtunerja rosyjska. Widziałem w nich bowiem najjaskrawsze obrazy zruszczenia nie narodowego, lecz psychicznego i moralnego. I widziałem coś gorszego jeszcze. Rosyjski charakter narodowy jest osobliwą i w gruncie jednak niepojętą mieszaniną mistycyzmu z materjalizmem, a u tej kategorji dorobkiewiczów-Polaków przyjmował się tylko ów gruby materjalizm i dochodził do cynizmu w szalbierstwie: ich dumą narodową bywały triumfy w szachrajstwach handlowych nad głupimi Moskalami! Dziś, gdy wszystko co żyje, rwie się z Rosji sowieckiej do raju polskiego, wraca i tych ludzi wielu, i powiększą oni w Polsce zastępy paskarzy. Chce się doprawdy zamknąć tę kartę wspomnień słowami Dantego: *Non ragionam di lor, ma guarda e passa!*

Nie chcę jednak — powtarzam — być niesprawiedliwym, więc powiem, że wielu z nich przebudziło się narodowo. Nie zapomniałem o tym charbińskim miljonerze rodem z Wilna, wzbogaconym na dostawach dla kolei chińskiej, co wprawdzie w rozmowie ze mną jeszcze się pytał, czy »Pan Tadeusz« napisany jest prozą, czy wierszem, ale w każdym razie już pod wpływem krakowskiego nauczyciela gimnazjalnego, uczącego jego dzieci, wiedział i czuł, że to są rzeczy wielkie, święte i ważne, że znać je trzeba równie dobrze, jak kursy na giełdzie, i już był w trakcie zlikwidowania swych grubych interesów

majątkowych na Dalekim Wschodzie i wyjazdu do Ojczyzny.

Do kategorji »przebudzonych« zaliczę także — przepraszając ich za takie sąsiedztwo! — niektórych uczonych polskich z Rosji, co nigdy, broń Boże! Polakami być nie przestali, ale wzbogacając swemi publikacjami literaturę naukową rosyjską i przodując w ruchu umysłowym Rosji, od udziału w życiu publicznem miejscowych kolonij polskich się uchylali i ogółem spełniali doskonale pruską lekcję, daną raz przez księcia Bülowa Polakom: że mogą sobie być doskonałymi Polakami w domu, w rodzinie i w życiu prywatnem, byle na arenie obywatelskiej jako tacy nie występowali. Uczeni ci prawie wszyscy zasiedli obecnie na katedrach uniwersyteckich polskich. Niektórzy z nich wnieśli na swe stanowiska w kraju nieco rosyjskich sposobów myślenia — szczególnie owej nieznośnej »pryncypjalności« — czasem i rosyjskich form obejścia, ale wszyscy bez wyjątku jeszcze w Rosji podczas tych siedmiu lat z korzeniem się wyzbyli owego rozgraniczenia polskości w życiu prywatnem od polskości w życiu publicznem.

Do najmilszych i najjaśniejszych pamiątek, jakie z Rosji wyniosłem, należą liczne znajomości z rozsianymi po całym świecie rosyjskim kochanymi naszymi k r e s o w c a m i. Dziś, z perspektywy dalszej i już nieco krytycznej, nie mogę coprawda i co do nich powiedzieć, żebym w ich psychice nie widział wpływów rosyjskich. Ich bałagulska fantazja

często przypomina znane przejawy »szerokiej natury rosyjskiej«, a bezceremonjalny anarchizm ludzi, wychowanych w atmosferze najostrzejszego bezprawia i niezbędnej konspiracji, często drażnił rozwinięty zmysł prawny w nas z pod zaboru austrjackiego, cośmy wyrośli w atmosferze legalności. Skrajnie postępowe, przeważnie socjalistyczne przekonania moich drogich przyjaciół z kresów szły też zwykle dziwnym sposobem w parze z dziedzicznem, typowo szlagońskiem usposobieniem, które się objawiało odpowiedniemi gestami w życiu potocznem, dalekiemi od uznania we wszystkich bliźnich równości i godności ludzkiej — a więc na ten przykład hojnem i zgoła nieoględnem szafowaniem wyrazami »cham« i »chamstwo«. Z tem wszystkiem czuło się w nich bratnią krew — przedewszystkiem krew jednakowej z naszą krwią temperatury, krew nie wodę i nie maź, jak w żyłach Moskala, — gorący, porywczy, polski temperament, tak zasadniczo odmienny od zadumanej, a raczej zaspanej, azjatyckiej ślamazarności Wielko- i Mało-Rusów.

Ta sama, grająca w duszy fantazja polska, i ten sam wspólny kontrast w porównaniu z Moskalami, pomógł nam tam, na obcej ziemi, lepiej niż przedtem w ojczyźnie zbliżyć się i zrozumieć z Królewiakami, na których dawniej patrzyliśmy z ukosa, jako na blagierów. Łączyło nas też wspólne poczucie wyższości kulturalnej wobec Moskala, silniejsze może u Królewiaka, niż u innych Polaków, bo podsycane i bezustannemi zachwytami Moskali nad

»prekrasną Warszawą«, i górującą rolą przemysłu polskiego w Rosji. Wysoko głowę nosili — i słusznie — ci polscy inżynierowie, co z ramienia firmy Rudzki i Ska zbudowali największy na kontynencie azjatyckim most, osiemnasto-przęsłowy przez Amur koło Chabarowska, i stanowili elitę nadamurskiej kolonji polskiej. Ta sympatyczna grupa, z którą tak blisko i serdecznie zżyłem się w Chabarowsku w r. 1918, była ostatnią większą garstką Królewiaków, jaką na wygnaniu spotkałem; bo w dywizji polskiej na Syberji w r. 1919 Królewiaków zastałem mało, gdyż większość ich służyła w korpusie Dowbora i z nim dostała się już była do kraju. Żałowałem tego nawet bardzo, bo miła towarzyska łatwość Królewiaków byłaby w tej naszej formacji wojskowej stanowiła nieoceniony cement między tak nieprzejednanemi wobec siebie żywiołami, jak Galicjanie i Poznańczycy z jednej strony, a Polacy wychowani w Rosji — z drugiej.

Powracając do stwierdzonego już powyżej faktu łatwego porozumienia między Galicjaninem a Królewiakiem na gruncie rosyjskim, — zawsze z rozrzewnieniem wspominać będę, jak mi się ta nasza jedność żywo uprzytomniła, gdym jeszcze w Moskwie w r. 1915 ściskał zesłanego etapem z Warszawy trzynastoletniego skauta, co mi z dumą prawił: »Mój tatuś ma pięćdziesiąt lat i nigdy nawet aresztowany nie był, a ja już ćwierć roku siedziałem w prawdziwem więzieniu!«

Oddając przelotny ukłon płci pięknej — Pol-

kom, co pomagały nam znosić wygnanie i zawsze pierwsze się stawiały na apel do każdej akcji społecznej i ratowniczej, — nie mogę nie wspomnieć z lokalną dumą krakowską o spotykanych wszędzie po Rosji i Syberji byłych »baraniarkach«, a także byłych studentkach naszej Wszechnicy. Przekonałem się na niejednym przykładzie, że niewiasty, kształcone na kursach Baranieckiego, lub w Uniwersytecie Jagiellońskim, nabierały w duszę kapitału szczerej polskości, którego na najodleglejszym rosyjskim partykularzu starczyło już potem na zawsze i dla nich i dla ich dzieci. U takiej byłej studentki krakowskiej rozczytywałem się w Chabarowsku w dziełach Brzozowskiego, a znalazłem oprócz Bergsona i Verlaine'a także Staffa i Wyspiańskiego. U innej — coprawda żony rutynowanego konspiratora — gościłem pokryjomu przez dwa dni w Moskwie w r. 1915, gdy bezprawnie zjechałem ze wsi do miasta na konferencję z konsulem amerykańskim w sprawie pomocy dla austrjackich i niemieckich poddanych Polaków.

Opowiadając o żywych znajomych rodakach, nie godzi się zapominać i o u m a r ł y c h. Stąpałem po ich kościach wszędzie w tej »ziemi mogił i krzyżów« polskich, tak obficie wzbogaconej nowemi grobami przez ostatnie lata. Gdy w r. 1917, w Głazowie, gub. wiackiej, zamknięty na warunkach zupełnego odosobnienia, na regulaminowym spacerze z konwojnym zaszedłem na cmentarz miejscowy, w kącie na prawo od wejścia pod kilku brzózkami ujrzałem

na jednym grobie tablicę metalową z wymownym dla mnie napisem: »Justyn Popławski, rodem z Wilna, umarł na wygnaniu, 25 lipca 1864 roku«. Wiedziałem, z kim mam do czynienia, i zdjąłem czapkę. To był mój pierwszy polski znajomy w Głazowie.

Ale smutniejsze wrażenie od takich mogił robiły żywe trupy, napotykane na Syberji. Mówię o powstańcach z r. 1863, zupełnie zruszczonych na duchu a często nawet i językowo, jak p. B. w Chabarowsku, który przez długie dziesięciolecia służby w akcyzie rosyjskiej zapomniał zupełnie mówić po polsku, albo p. P. tamże, któregośmy wprawdzie na obchodzie styczniowym w Domu Polskim uczcili jako uczestnika powstania, który jednak faktycznie po katordze w kopalniach nerczyńskich dorobił się na Dalekim Wschodzie majątku typowym sposobem dorobkiewiczów rosyjskich, miał syna o reputacji więcej niż wątpliwej, bo ponoś rzecznego bandytę amurskiego, a córki najtypowsze w świecie Rosjanki, i to jeszcze arcyswobodnego, daleko-wschodniego autoramentu, powydawane, jedna za czynownika rosyjskiego, druga za jeńca niemieckiego, a trzecia za Koreańczyka.

Ale znowuż nie chcę być niesprawiedliwym. Obok pana P. na uroczystości styczniowej w Chabarowsku siedziała przezacna staruszka pani M., kiedyś jako dwunastoletnie dziecko z rodzicami swymi, ziemianami z Wileńskiego, zesłana przez Murawjewa-Wieszatiela za Ural. Spędziwszy wiek życia

na Syberji, jednak wychowała dwóch synów na oficerów polskich.

Nie zapomnę też, jak pierwszy komisarz bolszewicki, pod którym w r. 1920 jako urzędnik sowiecki służyłem, — ślusarz z warsztatów portowych władywostockich — z przejęciem opowiadał mi o tej garstce starców z r. 1863, którzy dotychczas żyją w jego rodzinnej wiosce głęboko w tajdze syberyjskiej, a którzy przed laty mieszkańców tej wsi nauczyli wszystkiego prawie, co ich samych, ich domy i życie codzienne podniosło w sferę bytu cywilizowanego. Niemniej rozrzewniającą była anegdota, którą mi opowiadał kustosz Muzeum krasnojarskiego o niejakim Jezierskim, który gdzieś w głębi gubernji irkuckiej przez lata całe organizował i prowadził administrację gminną, aż dodarła tam po dwóch latach biurowych wędrówek »bumaga« od generał-gubernatora irkuckiego, pozbawiająca go stanowiska za udział w powstaniu. Znałem staruszka-powstańca z Czity w Mongolji, co łzami szczęścia witał »broń i orły narodowe« naszej polskiej dywizji na Syberji w roku 1919. Łzy te niestety zmienić się mogły w łzy goryczy, gdy nasze legjony syberyjskie zmuszone były na usługach czarnosecinnej reakcji kołczakowskiej tłumić powstania ludowe i na grabicielskich wyprawach karnych niszczyć te zarodki kultury, jakie stworzyli po kniejach i ostępach Sybiru ojcowie po r. 1863.

Jako wybitny przedstawiciel owego po-powstańczego »kulturträgerstwa« polskiego na Sybe-

rji, na zawsze pozostanie mi w pamięci zmarły już dziś p. Landy, którego jako okazałego, czerstwego i pełnego życia staruszka znałem w Moskwie w roku 1915. Zesłany za sprawę Wacława Sieroszewskiego i jego grupy, znajomy z naszym obecnym Naczelnikiem Państwa w czasie jego pobytu w Kirińsku nad Leną, słynął przez długie lata na całym Wschodzie Syberji nietylko wśród Polaków, ale i wśród Rosjan, jako krzewiciel życia umysłowego: był twórcą pierwszego większego wydawnictwa perjodycznego w tamtych stronach świata, pod nazwą »Dalnie-Wostocznoje Obozrenje« (»Przegląd Daleko-Wschodni«).

Mówiłem o znajomościach z umarłymi. Jako takie zetknięcie z umarłym, wielkim i pięknym światem polskim w pamięci mi pozostaną niektóre chwile w r. 1916, gdy mieszkałem w K a z a n i u i korzystałem z bibljoteki uniwersyteckiej. Żywych znajomości zawierałem wtedy wogóle niewiele, bo mnie co chwila ograniczano w swobodzie ruchów, i więcej przebywałem »wśród nieśmiertelnych zmarłych, co na nowo żyją« *(with the immortal dead who live again)*, jak mówi w jednym z niewielu swych wierszy George Eliot. Przytem usposobiała do tego i sama stara stolica tatarska. Dawny gród chanów, z ich zamkiem ze wzgórza spoglądającym na malowniczą Wołgę, przypominał mi tę *Nekropolis* austrjacką, jaką był Graz: i tu i tam zamek z pagórka na rzekę patrzy, i tu i tam spokojna atmosfera uniwersytecka, i tu i tam dystyngowane ulice cichych pałacyków

(jak w Kazaniu Gruzińska), i tu i tam dużo zieleni i parków; a po nich i tu i tam snuje się wielu emerytów — jenerałów i urzędników. Możnaby zarzucić przeciwko temu porównaniu, że Kazaniowi chyba żywszych barw i krzykliwszego ruchu dodaje obszerna dzielnica tatarska u stóp europejskiego miasta górnego, z jej meczetami i straganami. Ale Tatar kazański, to nie ten hałaśliwy przekupień, którego zwykliśmy wyobrażać sobie zapełniającym wszystkie rynki Wschodu: handluje statecznie i z godnością, i większe przynajmniej sklepy tatarskie, w jakich bywałem, należą do najsolidniejszych, z jakiemi miałem do czynienia. »Życia« więc w znaczeniu gorączkowego roznamiętnienia tutaj niema.

Ale chciałem mówić o znajomościach w umarłym świecie polskim, jakiemi wzbogacił mnie Kazań. Zorganizował się wtedy przy Komitecie Polskim w Moskwie Wydział opieki nad zabytkami polskiemi w Rosji, i pracował w nim mój krakowski przyjaciel Marjan Morelowski z tym samym niestrudzonym zapałem, z jakim dziś tam pracuje znowu na tem samem polu jako sekretarz główny Delegacji specjalnej dla rewindykacji zabytków sztuki i kultury przy naszej rządowej Misji reewakuacyjnej. Otóż z inicjatywy Wydziału zabytkowego my, jeńcy kazańscy, mieliśmy wówczas katalogować rzeczy polskie w bibljotekach kazańskich. Podjął się tej pracy kolega A. Wańczura, który wtedy świeżo ukończył po długiej pracy w bibljotece uniwersyteckiej kazańskiej swą cenną rozprawę o szkolnictwie

staroruskiem (obecnie wydaną nakładem Ossolineum we Lwowie). I oto ujrzeliśmy w rękach kol. Wańczury drogocenne relikwje polskie z zapylonych półek bibljoteki kazańskiej, mianowicie wywiezione książki z księgozbiorów naszych starych profesorów wileńskich, obu Śniadeckich, Lelewela, Grodeka... Więcej niż różne białe kruki *in folio* z XVI i XVII wieku, więcej nawet niż szara broszurka urzędowa z r. 1791 pod tytułem »Ustawa Rządowa z dnia 3 maja«, wzruszył mnie jeden niepokaźny drobiazg — pierwsza mała książeczka Klementyny Tańskiej (»Pamiątka po dobrej matce«) z wypisaną na tytule nieśmiałą ręką początkującej autorki dedykacją na cześć wielkiego Jana Śniadeckiego: na odwrotnej zaś stronie karty tytułowej ręką samego Śniadeckiego dla pamięci zanotowane było: »Autorka: Klementyna, najmłodsza z trzech córek starego Tańskiego«. Był to cały żywy obrazek ze świetnych dni uniwersyteckich Wilna.

Żyły zresztą jeszcze w Kazaniu także wspomnienia o współczesnych uczonych polskich, z których niejeden tam nad Wołgą karjerę docencką lub profesorską rozpoczął: dwóch takich zajmuje obecnie katedry u nas w Krakowie. W Kazaniu miałem w rękach egzemplarz Gramatyki porównawczej Schleichera z obfitemi na marginesie uwagami młodego wtedy profesora Baudouina de Courtenay. Tam też słyszałem anegdotę z docenckich dni Wincentego Lutosławskiego, o której zaiste powiedzieć można: *si non è vero, è ben trovato*. Ogłosiwszy kurs, nasz

filozof przerwał go po pierwszych kilku wykładach. Studenci, co zapłacili przecież czesne, żalą się u dziekana Fakultetu. Dziekan wzywa docenta i żąda wytłumaczenia, a ten ze szczerem przejęciem powiada: »Panie dziekanie, walczyłem ze sobą, starałem się zapanować nad sobą, ale jak Bóg na niebie, dłużej na te gęby kałmuckie patrzeć nie mogę!«... *Quel giorno più non vi leggemmo avante.*

* * *

Na zakończenie tego rozdziału o Polakach i rzeczach polskich w Rosji, jeden jeszcze niech mi wolno będzie wskrzesić w pamięci obrazek z dziejów tego zbratania i zamalgamowania Polaków różnych dzielnic, które nieraz skuteczniej bodaj, niż w Ojczyźnie, dokonywało się na wygnaniu. W mojej samotnej izdebce koszarowej w Głazowie w gubernji wiackiej w r. 1917, czasem pokryjomu i wbrew rozkazowi władz wojskowych, wymagającemu zupełnej mojej izolacji, zbierali się na bratnią pogawędkę moi trzej przyjaciele: kowal M. z Trzemeszna w Poznańskiem, jeniec z armji pruskiej, siedzący podemną na parterze w areszcie dla szeregowców; mój jeniecki forysic B., góral od Nowego Sącza; wreszcie stróż szpitalika z podwórka, były żołnierz rosyjski K. z Siedleckiego. Gdy ci trzej gwarzyli sobie w swych rozmaitych narzeczach chłopskich o różnych porządkach i obyczajach w swoich stronach rodzinnych, a ja im na rosyjskiej mapie

Europy pokazywałem, jakie przestrzenie zajmuje piękna nasza Polska cała, piękna, żyzna i niemała, — wtedy najżywiej chyba czułem się w zaraniu tego zjednoczonego bytu państwowego, który wreszcie dziś Bóg dał mi ujrzeć w pełnem świetle dnia.

IV.

Dola i niedola jeńca wojennego.

Osobną i ważną kategorję wśród ludności Rosji przez całe te siedem lat stanowili i garstkami wszędzie jeszcze stanowią jeńcy wojny światowej. Niemniejszą po całej Rosji pozostawiają po sobie pamięć jako krzewiciele kultury europejskiej, niż nasi powstańcy na Syberji po 1863 r. Niema chyba tak odległego zaścianka w tym ogromnym kraju, niema tak oddalonej chaty, gdzieby nie był mile wspominany jakiś »pan« — tak lud powszechnie zwał jeńców bez różnicy narodowości. Prawda, że nimb kultury otacza w świadomości chłopa rosyjskiego w tych wspomnieniach przedewszystkiem Niemców, i wznowiona w dzisiejszej Rosji popularność wszystkiego co niemieckie, w tych wspomnieniach z pobytu jeńców ma silną i szeroką podstawę. Prawda, szczególnie jakoś zżyli się z ludem rosyjskim Węgrzy, którzy najliczniej uczestniczyli czynnie w rewolucji bolszewickiej i łatwością tej aklimatyzacji dokazali, że są w pewnej mierze jeszcze psychicznie Nomadami. Ale i rola Polaków jest znaczna, i stopień ich asymilacji często zdumiewający.

Ze szczególnem zdziwieniem obserwowałem przykłady zruszczenia Galicjan. Nietylko ludzie zarówno niewykształceni, jak nawet wykształceni, popsuli i skazili sobie język w straszliwy, nieprawdopodobny sposób — szczególnie grzeszyli tu rodacy z Małopolski Wschodniej, u których języki: polski, ukraiński i rosyjski, splątały się w kłębek nie do rozwikłania; — nietylko zarówno chłopi, jak inteligenci, przywożą dziś z niewoli do Polski we wielkiej obfitości najniemożliwsze w naszych warunkach żony-Rosjanki; — ale wśród ideowych agitatorów za barbarzyńskim kommunizmem *à la russe*, znajdują się nauczyciele ludowi i eks-biuraliści z Galicji, a wśród ajentów czerezwyczajki niestety najrdzenniejsi w świecie chłopi małopolscy, którzy mazurzą nawet mówiąc po rosyjsku.

Objawy te tłumaczą się chyba w taki sposób, że lotną naszą naturę polską w tych wypadkach porywał nawskróś egzotyczny urok rzeczy rosyjskich, przyciągała właśnie ich obcość, niezwykłość i nowość.

Na szczęście nie brak w obrazie i barw zgoła innych. Niema chyba kolonji polskiej w Rosji, w którą jeńcy nie byliby wnieśli nowego i niebywałego życia. Sam uczestniczyłem w tej robocie nad Wołgą w Kazaniu, nad Amurem w Chabarowsku i wspomnienia z niej do najradośniejszych zaliczam. Nietylko ja, ale sądzę, że i nikt z uczestników nie zapomni tych wieczornych zebrań w suterenach plebanji kazańskiej, gdzie w nastroju prawdziwie fila-

reckim, z ewakuowanymi uczniami szkoły przemysłowej wileńskiej czytaliśmy wiersze Mickiewicza o Rosji, rozpamiętywaliśmy nauki Trzeciej Części Dziadów i przypominali sobie dzieje naszych porozbiorowych walk o niepodległość. Nikt chyba też z byłych członków Komitetu Polskiego w Kazaniu nie zapomni tajnego posiedzenia tego komitetu w dniu 3 maja 1916 z moim odczytem o Konstytucji, choć były w rok później, już bezemnie, wolne i publiczne wykłady polskie w Kazaniu. Ja w roku 1916 mogłem mieć tylko jeden publiczny odczyt polski w Kazaniu — o Szekspirze, w trzechsetlecie jego śmierci, i to w obecności kontrolującego »pristawa« policyjnego i tylko na skutek usilnych osobistych starań dzisiejszego mego krakowskiego kolegi, profesora medycyny Witolda Orłowskiego, który jako przewodniczący Sekcji kulturalno-oświatowej przy Polskiem Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny był organizatorem oświaty polskiej, a którego gościnny dom byli jeńcy kazańscy wdzięcznie wspominają.

Zaś w Chabarowsku nad Amurem pamiętną i znaczącą zaiste była chwila, gdy my jeńcy-Polacy, zgromadziwszy w naszej przedmiejskiej wspólnej kwaterze rodaków na obchód rocznicy listopadowej w r. 1917, przekonaliśmy się, że wiele osób z kolonji polskiej po raz pierwszy u nas ze sobą się spotyka i zaznajamia. Po tym pierwszym poszły liczne inne wieczory patrjotyczne, taneczne, odczytowe, w »Domu Polskim«, który powstał przy współudziale jeń-

ców i stał głównie ich wysiłkami organizacyjnemi.

Ale nie chcę wiele pisać o tem, czego sam *pars magna fui*. Powiem raczej ogólnie, że chlubną na wygnaniu w Rosji rolę odegrał wzgardzony i zbiedzony nasz przedwojenny n a u c z y c i e l polski, który i w niewoli carskiej i bolszewickiej w obozach i na robotach, i w wojsku polskiem na Syberji, jako poniewierany przez młodzików-oficerów pisarz wojskowy lub instruktor pułkowy, umiał z prawdziwem poświęceniem dochować wierności swemu oświatowemu posłannictwu i ratować dusze od uśpienia lub zgnilizny. Jako kierownik komisji kulturalno-oświatowej w 5. Dywizji Wojsk Polskich na Syberji, miałem szczęście korzystać ze współpracy całego sztabu takich nauczycieli-idealistów, którzy po pułkach toczyli ciężką a niewdzięczną walkę z technicznemi trudnościami natury organizacyjno-wojskowej i z biernością duchową znękanego żołnierza-tułacza o szerzenie wiedzy, budzenie ruchliwości umysłowej i tępienie hańbiącego sztandar polski analfabetyzmu. To też z całem przekonaniem oddałem należny hołd naszemu nauczycielstwu wygnańczemu w odczycie, wygłoszonym w rocznicę śmierci Mickiewicza w r. 1921 w Delegacji Repatrjacyjnej Polskiej w Moskwie, gdzie nazwałem tych nauczycieli podoficerami armji narodowej w znaczeniu końcowego rozdziału »Ksiąg Pielgrzymstwa«. I oto po tym odczycie podszedł do mnie ze łzami w oczach jeden młody człowiek, pracujący w Delegacji, i opowiedział mi, jak to jego, wychowanego

w dalekim Turkestanie czysto po rosyjsku, zrobił Polakiem podczas wojny jeniec-nauczyciel ze Lwowa. Dziś ten młodzieniec przez ogromne trudności materjalne toruje sobie w kraju drogę do studjów uniwersyteckich. Jest to jeden z wielu znamiennych przykładów.

* * *

Wobec tylu szczegółów o działalności jeńców pośród ludności miejscowej, czytelnik, nieobznajomiony z wewnętrznemi stosunkami rosyjskiemi, gotów zapytać, jak to stać się mogło, że jeńcy wojenni, więc ludzie pozbawieni wolności lub przynajmniej pod nadzorem się znajdujący, weszli tak głęboko w życie stałych mieszkańców Rosji i w tak ścisły zdołali wstąpić z nimi kontakt?

Odpowiedź można dać, stosując do Rosji dowcipny aforyzm niemieckiego poety Grillparzera o starej Austrji przed rewolucją 1848 roku: *Absolutismus, gemildert durch Schlamperei* — »absolutyzm, złagodzony przez niedbalstwo«. Tak samo administrację rosyjską w stosunku do jeńców określić można jako »dzikość, złagodzoną przez głupotę«.

Często coprawda głupota była nie złagodzeniem, lecz obostrzeniem dzikości. Rosja była tem z wojujących mocarstw, gdzie jeńcy doznali i najgorszych losów i najlepszych. Mówię to z całym rozmysłem teraz, gdy po powrocie dowiedziałem się, jak naprawdę działo się jeńcom w państwach centralnych.

Prawda, okropności w życiu jeńców w Rosji

już za carskich czasów było wiele. Pisałem w roku 1917 w liście z Głazowa do redakcji »Echa Polskiego« w Moskwie, że położenie jeńców-Polaków we wielu częściach Rosji przypomina piekło dantejskie, a gubernja wiacka jest dziewiątym piekła tego kręgiem. Istotnie, list pani Małachowskiej z Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny w Petrogradzie o jej odwiedzinach w lasach iżewskich — list rozpowszechniany w r. 1916 w odpisach wśród Polaków w Rosji — powinien być opublikowany wśród najbardziej wstrząsających dokumentów cierpień ludzkich z lat wielkiej wojny. Hekatomby jeńców na budowie kolei taszkenckiej na południu i murmańskiej na północy — te ostatnie znane Europie dzięki księdzu profesorowi Trzeciakowi — także są wymownemi przykładami. Tak samo osławiony tocki obóz w gubernji orenburskiej, gdzie jeszcze w roku 1915 przedstawiciel amerykańskiego Czerwonego Krzyża zastał 1.200 niepogrzebanych trupów tyfusowych. Wszystko to zbladło tylko wobec większych jeszcze okropności w czasach bolszewickich. W obozie dla jeńców w Gródku Wojskowym koło Krasnojarska, gdzie siedziałem w początku roku 1920 z innymi oficerami polskiej dywizji syberyjskiej, na kilkadziesiąt tysięcy internowanych tam oficerów i żołnierzy wojsk kołczakowskich, zmarło w ciągu zimy 1919 20 według samych tylko urzędowych sprawozdań 22.000 ludzi na tyfus plamisty. A przez jaki czyściec półtoraroczny przeszli ci moi koledzy oficerowie polscy, którzy stamtąd już po mojej ucieczce

z obozu byli przeniesieni do Omska a stamtąd do Tuły, o tem powinienby którykolwiek z nich opowiedzieć w druku rodakom.

Ale, jeżeli dla wielu jeńców Rosja była piekłem, dla wielu tysięcy stała się grobem, to dla niejednego też była ona Eldoradem. Ci z żołnierzy, którzy mieli szczęście odrazu w początkach niewoli dostać się na roboty gospodarskie do bogatych wieśniaków w różnych stronach Rosji i Syberji, zaznali tam dobrobytu materjalnego, o jakim niejeden chłop nasz nigdy marzyć nie śmiał. I było sporo takich, którym udało się w odleglejszych wiejskich zakątkach przesiedzieć spokojnie i we względnym dostatku wszystkie burze, co przeszły nad Rosją aż do ostatnich czasów: sam widziałem w Delegacji Polskiej w Moskwie pod koniec r. 1921 takich, co nie zmieniwszy przez siedem lat miejsca pobytu, wracali do kraju ze znośnych naogół warunków. Znowuż »spryciarze« z pośród żołnierzy i oficerów, co umieli wydostać się przez jakąś protekcję na wolność po miastach i wyzyskać swe kwalifikacje fachowe (szczególnie rzemieślnicze lub techniczne), niejednokrotnie robili majątki. I działo się to za czasów carskich zarówno jak i pod rządami bolszewickiemi, tak samo jak i fale represji i pod jednemi i pod drugiemi rządami były zjawiskiem w nieobliczalnych odstępach powracającem. Większość żołnierzy, a także część oficerów, co z różnych miejsc niewoli ściągnęli się do polskiej dywizji syberyjskiej, mieli właśnie z czasów pierwszego rządu bolszewickiego

na Syberji nieco uciułanego grosza. Dodam nawet, choć wielu mi to poczyta za herezję, że drugi okres niewoli bolszewickiej, po kapitulacji naszej dywizji, w latach 1920 i 1921, nie był dla ogółu naszych żołnierzy okresem bez zastrzeżeń najgorszym: prawda, że w odleglejszych miejscach robót rządowych, szczególnie po lasach, cierpieli głód, chłód i nędzę straszną, ale *gros* żołnierzy, zebrane w Krasnojarsku i okolicy, w tak zwanej brygadzie robotniczej, otrzymywało deputat żywnościowy ten sam, co żołnierze Czerwonej Armji, to znaczy, że przez większą część czasu żywili się lepiej od miejscowej ludności miejskiej. Prawda, że na wyjezdnem do kraju obdarto ich z wielu rzeczy potrzebnych, a czekanie na odwlekający się wyjazd po ściągnięciu z robót ogołociło wielu zupełnie z zapasów, ale mimo to wszystko, gdym 14 sierpnia 1921 r. na stacji Krasnojarsk żegnał pierwszy transport kolegów z dywizji, jadących do kraju, musiałem sobie powiedzieć, że 1.200 chłopa tak zdrowo wyglądających i tak przyzwoicie jeszcze naogół ubranych, z pośród Moskali krasnojarskich trudno byłoby spędzić.

Jedno atoli trzeba stwierdzić zasadniczo: że już za czasów carskich, a tak samo i za tych bolszewickich, wszelkie polepszenia bytu jeńców były w znacznej mierze dziełem osobistego przemysłu, a w znikomej tylko — urzędowych ułatwień i ulg. O carskich i rewolucyjnych ulgach dla jeńców-Polaków, chociaż im zawdzięczałem pół roku wolności w Moskwie i rok pracy w bibljotece uniwersyteckiej

kazańskiej, nie mogę mówić inaczej, jak z ironją. Były zmienne jak pogoda kwietniowa, dawały uszczęśliwionemu niemi jeńcowi podczas pobytu na wolności poczucie spaceru na linie nad przepaścią, i stawały się źródłem nieskończonych zmian losu i miejsca, tak, że wkońcu niejeden jeniec Polak, tu i owdzie, kolejno uwalniany i internowany, zazdrościł nawet Niemcowi lub Madziarowi, co przez kilka lat z rzędu spokojnie siedział w jednym i tym samym kącie we większym obozie koncentracyjnym.

Dla zobrazowania kalejdoskopu ulgowego, tak bogatego w przeskoki i niespodzianki, wystarczy dać szkielet faktów z mojej biografji jenieckiej, szczególnie bogatej w metamorfozy i wędrówki.

W r. 1915, jak już wspomniałem, rozpoczynam swą karjerę rosyjską paradnie jako gość księcia Gagarina w jego hotelu »Sofijskoje Podworje«, w pokoju zajmowanym kiedyś przez Emila Verhaeren, z widokiem przez rzekę Moskwę na Kreml. W ciągu ośmiu miesięcy tej wolności, policja raz przerzuca mnie z jednej dzielnicy miasta do drugiej, bo w tamtej nie wolno mieszkać obcopoddanym, a raz spędza mnie z letniego mieszkania na wsi u rodziny księcia, bo mam tylko pozwolenie na mieszkanie w mieście Moskwie, nie w gubernji moskiewskiej. Wreszcie władza wojskowa robi odkrycie, że osobiste poręki już od kilku miesięcy są zniesione, i przenosi mnie do obozu jeńców na prowincję. W rzeczywistości za pracę na korzyść austrjackich i niemieckich poddanych Polaków w Wydziale po-

mocy konsulatu amerykańskiego zadenuncjował mnie polski ajent ochranki, dziennikarz Zdzisław Smółka.

Ostatnie miesiące r. 1915 spędzam w Rostowie jarosławskim, w gronie jeńców oficerów Polaków, na warunkach zrazu łagodnego, później ściślejszego nadzoru. W każdym razie, to stadjum niewoli było jeszcze na tyle znośne, że dla jego charakterystyki wystarczy przytoczyć szczegół, iż zajmowaliśmy parter domu, którego pierwsze piętro zamieszkiwał jego właściciel, stary eks-feldwebel z liczną, szczególnie w żeńskiej swej części, rodziną: otóż między parterem a piętrem wywiązały się nader ożywione stosunki — towarzyskie, które dały mi temat do małej epopei w krakowiakach p. t. »Cierpienia jeńców, czyli Amor w Rostowie«.

Z nowym rokiem 1916 dostaję się do Kazania, gdzie na podstawie uchwały stokholmskiej konferencji Czerwonych Krzyżów stron wojujących, na wniosek szwedzkiej Akademji Umiejętności zebrani są wszyscy znajdujący się w niewoli rosyjskiej profesorowie, docenci i asystenci wszechnic. Pracujemy potrosze naukowo i poruszamy się mniej więcej swobodnie po mieście, Zaczynam broić, to prawda: oprócz wspomnianego już kursu mickiewiczowskiego dla studentów z Wilna — prowadzonego wbrew wyraźnemu piśmiennemu zakazowi komenderującego jenerała — i oprócz dwóch odczytów o Konstytucji Trzeciego Maja (jednego dla Komitetu Polskiego, drugiego dla młodzieży akademickiej)

mam na sumieniu kilka chwil poufnej rozmowy z austrjacką siostrą miłosierdzia, baronową Stubenberg, objeżdżającą obozy jeńców: ostrzegam ją przed tendencyjnie różowemi informacjami o stanie jeńców ze strony czeskiego kapelana-jeńca. W drugiej połowie roku oddzielają Niemców od Słowian i tych ostatnich umieszczają na lepszej kwaterze, ale pod okiem szpiega-strażnika, kolonisty rosyjskiego z gubernji wileńskiej, śmiertelnego wroga Polaków. Za sprawą jego donosów zapewne dostaję w tym czasie osobnego konwojnego, podczas gdy inni koledzy chodzą nadal wolno. Nie nauczony tem ostrzeżeniem, mam zapalczywe przemówienie do kolegów na wieść o akcie 5. listopada, który witam nie jako wyzwolenie Polski przez państwa centralne, ale jako zadatek międzynarodowego traktowania sprawy polskiej. Kark łamie mi ostatecznie korespondencja z Polskiem Towarzystwem Pomocy Ofiarom Wojny w Petrogradzie w sprawie pomocy dla grupy jeńców-żołnierzy (wielu z nich studentów naszego Uniwersytetu), wysyłanych właśnie do kraju Zabajkalskiego. List z Petrogradu do mnie w tej sprawie wpada w ręce żandarmerji, która podobno — bo odtąd już operuję hipotezami — wysnuła sobie stąd domysł, że chcę organizować ucieczkę całej tej partji do Mongolji, i (przypuszczenie dla mnie wielce zaszczytne, ale, niestety, bezpodstawne) że jestem Piłsudczykiem a nie oficerem austrjackim. Jenerał dowodzący okręgiem kazańskim, Sandecki (»z Polaków«, jak się mówi w Rosji), znany ze swej sro-

gości w służbie, przerzuca mnie w przeciągu 24 godzin do małego miasteczka Głazowa w gubernji wiackiej, gdzie niema innych jeńców-oficerów, i gdzie spędzam pół roku na warunkach najsurowszego odosobnienia w samotnym pokoiku pomiędzy dwiema sypialniami żołnierstwa rosyjskiego. Tu zaczynają się moje wędrówki, które mimo wszelkich wysiłków, z fatalną mocą wciąż mnie oddalają od kraju. Wybucha rewolucja marcowa rosyjska; wszyscy z radością spodziewają się wielkich zmian. W mojem położeniu na razie nie zmienia się nic, bo nawet gdy z okazji wielkanocnej bytności księdza z Wiatki poznaję kilka miejscowych rodzin polskich i ukradkiem podczas spacerów pod konwojem je odwiedzam, otrzymuję za to burę od nowego, rewolucyjnego naczelnika wojskowego (studenta praw Uniwersytetu moskiewskiego). Po kilkumiesięcznych staraniach Komisji Likwidacyjnej dochodzi mnie telegram z Moskwy od p. L. Darowskiego— dzisiejszego Ministra Pracy w Polsce, a wówczas przewodniczącego Sekcji dla spraw Polaków zakordonowych w Komitecie Polskim w Moskwie — telegram donoszący mi, że będę w najbliższych dniach przeniesiony do Moskwy i będę mógł zająć posadę w Sekcji szkolnej Komitetu Polskiego. »Najbliższe dni« ciągną się sześć tygodni, rozpasanie otaczającego mnie żołdactwa przy szybkim upadku dyscypliny po rewolucji dochodzi do zenitu, moje napięcie nerwowe także, i piszę list do redakcji »Echa Polskiego« w Moskwie o mojem położeniu. »Echo«, prowadzące

wtedy przy lżejszych warunkach cenzuralnych, osobną rubrykę w gazecie »Listy od jeńców«, niewiele myśląc, drukuje ten list pod nagłówkiem »Z piekła dantejskiego«, i ta okoliczność ponoś także mi zaszkodziła. Bo oto przenoszą mnie wprawdzie do Moskwy, ale lokują w zamkniętym i strzeżonym szpitalu dla jeńców-inwalidów, przeznaczonych na transport do Szwecji, i komenda okręgu moskiewskiego uspokaja Komitet Polski, że musi »nawodit' sprawki« (zasięgnąć wiadomości) co do mojej sprawy w Głównym Sztabie Jeneralnym w Petrogradzie. Kto był w Rosji, zna do przesytu te magiczne słowa »nawodit' sprawki«. Oczywiście Sztab w Petrogradzie polegał na przedrewolucyjnych materjałach co do mnie i był zresztą jeszcze pełny starych carskich oficerów. To też rezultatem jest, że za dwa tygodnie wylatuję z Moskwy na łeb na szyję pod konwojem do miasteczka Arzamasu w gubernji niże-nowgorodzkiej, gdzie na rozkaz komendy okręgowej moskiewskiej, miejscowy komendant, Polak i człowiek życzliwy, zmuszony jest umieścić mnie nie w dość dogodnym i łagodnie prowadzonym obozie dla kilkudziesięciu jeńców-Polaków w śródmieściu, lecz w bardzo surowo strzeżonym obozie karnym na przedmieściu, wśród oficerów narodowości chorwackiej, co odmówili wstąpienia do legji rosyjsko-serbskiej. Ten okres mojej niewoli najbardziej mi przypomina starożytne podanie o Hero i Leandrze, bo z kolegami-Polakami widywałem się tylko podczas kąpieli, przepływając rzeczkę, gdy oni przycho-

dzili do kąpieli z jednej strony, a ja z Chorwatami — nawiasem mówiąc, bardzo dobrze wychowanymi ludźmi i miłymi kolegami — z drugiej. Po dwóch tygodniach nowy rozkaz komendy okręgu moskiewskiego przerzuca mnie przez całą szerokość Azji na Daleki Wschód, do Chabarowska nad Amurem, dokąd bezzwłocznie pociągiem pasażerskim pod konwojem dwóch żołnierzy wyruszam. Co spowodowało tak szybko po sobie następujące zarządzenia represyjne, tego już pono nigdy na pewno się nie dowiem.

Pisząc kiedyś biografję Szekspira, nie mogłem się dziwić, że niektóre, nawet liczne, jej szczegóły, pozostawały dla mnie tak samo nieprzenikniona tajemnicą, jak dla innych, co o nim pisali. Ale osobliwszą daleko i niewątpliwie zabawną staje się sytuacja teraz, gdy piszę rozdziały z biografji własnej i pewnych punktów wyświetlić nie mogę. Możliwe to rzeczywiście tylko u człowieka, co przebył lata w cieniu sfinksa rosyjskiego. W okresie krytycznym moich losów jenieckich, powinowaty mój, Zygmunt Bujakowski, doktor filozofji Uniwersytetu Jagiellońskiego, młody i obiecujący pracownik naukowy, wonczas oficer rosyjskiej artylerji fortecznej w Sveaborgu w Finlandji, umyślnie jeździł do Petrogradu zaglądać w Sztabie do aktów mojej sprawy, i ze względów cenzuralnych tyle tylko mógł mi donieść, że treść tych aktów zamyka dla mnie nadzieję na istotne polepszenie mego losu. Co w aktach wyczytał, nigdy się niestety już od niego nie dowiem, bo w kilka miesięcy później został po bestjalsku zamor-

dowany przez własnych swych zbolszewiczałych żołnierzy.

Tak więc z łaski pierwszego rządu wyzwolonej Rosji, sam nie wiedząc, jak się to stało, przestałem się martwić, że jako Polak w niewoli rosyjskiej nie poznam nawet Syberji. Poznałem ją odrazu całą. W Irkucku, na brzegu zielonej, lodowatej Angary, wykąpawszy się w jej nurtach, stałem pod pomnikiem Aleksandra III, zdobnym w napis: »*Aleksandru Tretjemu błagodarnaja Sibir'*« (»Aleksandrowi Trzeciemu — wdzięczna Syberja«). Zaiste, wdzięczna mu być może za to, że tylu najlepszych ludzi z Rosji jej przysłał. A w Charbinie pierwszy i jedyny raz w życiu przejechałem się ludzką dorożką — *rikszą*, którą chudy, bosy chińczyk kłusem wiózł pod górę od stacji do pięknej dzielnicy europejskiej, budowanej według planów naszego rodaka, inżyniera Dobrowolskiego.

Cieszyłem się wtedy naiwnie, że wydostawszy się z głodnej już wtedy Rosji na syty Daleki Wschód, i zwiedziwszy Syberję przez okna pociągu osobowego, jak turysta, wrócę do kraju morzem, zobaczę brzegi indyjskie i Kanał sueski. Nie przeczuwałem, że przez ten sam Charbin jeszcze będę wracał na długo do Syberji środkowej, i że poznam się bliżej z charbińską kolonją polską, wygłaszając cykl odczytów w »Gospodzie Polskiej«.

Po trzech tygodniach podróży na Wschód dotarłem do miejsca mego przeznaczenia: ujrzałem miasto, gdzie mi sądzone było spędzić przeszło pół-

tora roku życia — Chabarowsk, malowniczo rozrzucony po trzech równoległych długich grzbietach wzgórków, spoglądający z nich na spływające się w dole potężne rzeki Amur i Ussuri, i na przeciwległe wysokie, lesiste góry chińskie.

Okręcikiem rzecznym przewieziono mnie do pobliskiego obozu dla jeńców nad wsią Krasnaja Rjeczka na brzegu rzeki Ussuri, gdzie od początku wojny siedziało kilka tysięcy oficerów i żołnierzy austrjacko-węgierskich i niemieckich, i dokąd z całej Rosji i Syberji zsyłano jeńców »niebłagonadjożnych«, jako do obozu karnego i szczególnie rygorystycznego. Komendantem obozu był Polak, adwokat z Warszawy, dziś sekretarz naszego Konsulatu we Władywostoku. Zamienił ze mną za cały czas pobytu w obozie tylko kilka zdań w języku rosyjskim przy przyjmowaniu mnie do obozu, gdy mi oświadczył, że jest to obóz surowy, i że ma nadzieję, iż przez ścisłe przestrzeganie wszelkich instrukcyj oszczędzę mu konieczności stosowania do mnie represyj osobistych. Nie umieścił mnie też w jednym ze specjalnych (zamkniętych i zakratowanych) pawilonów karnych, lecz w baraku o reżimie ogólnym, lżejszym, — ale to tylko dlatego (jak mi później sam opowiadał), że tamte pawilony były przepełnione. Ten sam rodak uczestniczył później z nami jeńcami-Polakami do spółki w założeniu Domu Polskiego w Chabarowsku i gardłował nie gorzej od nas za uznaniem Rady Regencyjnej jako faktycznego Rządu

Polskiego, służąc równocześnie w rosyjskiem biurze kontr-szpionażu wojskowo-politycznego.

Podczas kilkumiesięcznego pobytu mego w tym obozie, wyszedł ukaz rządu Kiereńskiego z 30 czerwca 1917, dozwalający na uwalnianie z obozów jeńców wojennych Polaków, za poręką miejscowych organizacyj polskich. Ukaz ten zresztą niczego w naszem położeniu nie zmienił, bo poczęto się zastanawiać nad tem, jakby to wyodrębnienie Polaków przeprowadzić, i byłoby się prawdopodobnie skończyło na tem, żeby Polacy, tak jak w Kazaniu w 1916 roku, byli umieszczeni w osobnym domu pod szczególnie starannym nadzorem.

Ale oto zjawiła się na Dalekim Wschodzie ta istota opatrznościowa, jaką dla jeńców Polaków w Rosji stała się Jadwiga Dziubińska, późniejsza posłanka do Sejmu Polskiego i kierowniczka Ekspozytury Polskiej Delegacji Repatrjacyjnej w Petrogradzie. Znałem ją już z działalności na korzyść jeńców-legjonistów i jeńców cywilnych w Moskwie w r. 1915. Ta dzielna i pełna poświęcenia kobieta, — wiedząc, że w Rosji bez nacisku na miejscach żadne rozporządzenia rządu centralnego w życie nie wejdą, i znając bezwład zasiedziałych kolonij polskich miejscowych — wzięła na siebie ogromny trud zjeżdżenia całej Rosji europejskiej i azjatyckiej i wyzwalania jeńców Polaków z obozów. Dotarła w ćwierć roku na Daleki Wschód i wytargowała od starego łapownika, podpułkownika, który był zarządcą jeńców na całą prowincję, bezwarunkowe i zupełne uwol-

nienie jeńców Polaków z obozu, zelektryzowawszy poprzednio uśpioną kolonję polską chabarowską w celu uzyskania poręki. Oficerowie zamieszkali w domku rządowym na przedmieściu, żołnierze w domku najętym przez Komitet Polski, w śródmieściu, i zaczął się rok wolności naszej w Chabarowsku, wypełniony pracą narodowo-oświatową i organizacyjną wśród miejscowych Polaków, a z konieczności także zarobkową na mieście. Dawałem wtedy po kilka godzin dziennie lekcji języka angielskiego, na które na Dalekim Wschodzie zawsze jest wielki popyt.

Tymczasem wypadki rosyjskie szły dalej swym nieuniknionym trybem, i doszło wreszcie także na Dalekim Wschodzie do rządów bolszewickich. Po brzeskim pokoju, wśród okoliczności dotychczas dla mnie nieco tajemniczych, przy toczących się przygotowaniach do wyjazdu jeńców do kraju, bolszewicy internowali nas Polaków i naszych sąsiadów Czechów, po targach jednakowoż pozwolili nam pozostać w zajmowanych przez nas domkach, tylko osadzili przy nas straż, którą — nie do uwierzenia! — musieliśmy sami opłacać według dość wysokiej nowej taryfy dla żołnierzy służących z najmu. Jest to najklasyczniejszy w mojem jenieckiem doświadczeniu przykład tego, co powyżej nazwałem »dzikością, złagodzoną przez głupotę«. Po miesiącu od straży nas uwolniono, za łączną poręką trzech polskich organizacyj w Chabarowsku. O wyjeździe do kraju niestety nie było już mowy, bo za-

częła się tymczasem czeska ruchawka na Syberji, a Czesi jeńców do Austrji i Niemiec nie puszczali. Najdłużej utrzymał się na terenie syberyjskim po czeskim przewrocie rząd bolszewicki właśnie w naszym zakątku Dalekiego Wschodu, gdzie padł dopiero późnym latem i jeszcze na miesiąc przed swoim upadkiem zdołał nas Polaków i Czechów internować ponownie, tym razem już w obozie. Po upadku bolszewików wyszliśmy na wolność raz jeszcze i znów urządzili sobie wspólne gospodarstwo, ale tylko na kilka tygodni. Tymczasem bowiem wylądowały w prowincji nadmorskiej wojska okupacyjne z ramienia koalicji, japońskie i amerykańskie, i z rozporządzenia komendy między-sprzymierzeńczej we Władywostoku, rosyjska komenda miejscowa w jesieni r. 1918, już w okresie kapitulacji Niemiec i Austrji, ponownie internowała wszystkich jeńców z Chabarowska na Krasnej Rjeczce, którą w ten sposób po roku z górą niebytności ujrzeliśmy ponownie. Niedługo potem obóz został objęty w zarząd wojskowy amerykański, i w ten sposób już po upadku Austrji, ja, Polak, w czasie gdy we Francji polską armję Hallera łączyło braterstwo broni z wojskami amerykańskiemi, jeszcze przesiedziałem kilka miesięcy z jeńcami różnych narodowości dawnej monarchji austrjacko-węgierskiej w niewoli u Amerykanów! Pod zarząd japoński, który później złuzował amerykański, już nie przeszedłem, bo w pierwszej połowie r. 1919 zostałem uwolniony z obozu jako ochotnik do dywizji polskiej w Syberji środko-

wej, dokąd wtedy garnęli się zewsząd jeńcy Polacy. Tu zaczyna się moja karjera jako oficera polskiego, która niestety zakończyć się miała nową niewolą i przedłużeniem tułactwa mego o półtrzecia najcięższych lat. Przeczuwałem to, gdym się rzucał z pod bezpiecznej opieki amerykańskiej w wir wewnętrznych wypadków rosyjskich, z nad brzegów Oceanu Spokojnego, skąd można było morzem wrócić do kraju, w głąb niezmierzonej Syberji, skąd do bezpiecznej przystani na Zachód czy na Wschód było daleko. Ale po kilku miesiącach bezsennych nocy doszedłem do przekonania, że tak uczynić trzeba.

Zabawą kota z myszą możnaby w streszczeniu nazwać te moje kolejne uwolnienia i internowania, które tu pokrótce opowiedziałem. Nie wszystkim jeńcom Polakom w Rosji Opatrzność dała los tak kalejdoskopijnie urozmaicony, ale każdy z nich wie ze swego doświadczenia, »co znaczy wolność z łaski Moskwicina«, wolność pod Damoklesowym mieczem ciągłej możności ponownej jej utraty.

V.

Czerwoni, biali i żółci na Syberji.

Osobliwym sposobem dokonało się na Dalekim Wschodzie, w Chabarowsku nad Amurem, gdzie w jesieni r. 1917 bawiłem, przejście od ustroju demokratycznego, stworzonego przez rewolucję marcową w Rosji, do rządów bolszewickich. Przewrotu bolszewickiego, jak w innych miastach rosyjskich, — nie było. Natomiast w miarę, jak dochodziły pewniejsze wiadomości o opanowaniu stolicy przez bolszewików, poczęło się odbywać powolne nasiąkanie urzędów cywilnych i wojskowych żywiołem bolszewickim. To tu, to tam, organizowały się »Kollektywy«, czyli wybrane przedstawicielstwa wszystkich pracowników danego urzędu; to tu, to tam, zamiast jednego odpowiedzialnego kierownika, zarząd instytucji obejmowało »Kollegjum« z kilku głów; to tu, to tam, przy zarządzie pojawiał się kontrolor o funkcjach, a często już i nazwie, »komisarza«; to tu, to tam, jęto usuwać niepopularne wśród pracowników niższych kategoryj figury z fachowej inteligencji urzędniczej, aż powoli cała inteligencja z małemi wyjątkami przeszła do opozycji i solidarnego

bojkotu przeobrażonych urzędów, i zaczęły one się zapełniać pozbieranym naprędce żywiołem wpół-analfabeckim. W gazecie jęły się coraz częściej pojawiać, aż wreszcie całą pierwszą stronnicę urzędowo zalały, sypiące się jak z rogu obfitości, dekrety rządu moskiewskiego. Wreszcie z piany tych zmąconych fal, jak Afrodyte, wyłoniła się Rada Komisarzy Ludowych Dalekiego Wschodu (w bolszewickiem skróceniu »Dal-sow-nar-kom«) i na jej czele stanął młody krawiec, Krasnoszczokow *(recte* Tobelson), który był w Ameryce i tam nabył trochę zewnętrznej ogłady. Dekrety moskiewskie próbowano stosować, ale było ich zbyt wiele, by można myśleć o wprowadzeniu ich w czyn. Czytałem wtedy Taine'a *Les Origines de la France Contemporaine* i byłem zdumiony obfitością analogij między dekretami jakobińskiemi a bolszewickiemi, nawet poza obrębem właściwego programu komunistycznego: zniesienie stanu oficerskiego, zniesienie adwokatury, zniesienie sądów, łatwe rozwody, — wszystko w tak wiernych kopjach się powtarzało, jakby twórcy dekretów moskiewskich stronnica za stronnicą wertowali i przepisywali tamte. Na Dalekim Wschodzie doszło tylko do połowicznego i niekonsekwentnego urzeczywistnienia ustawodawstwa bolszewickiego. Powstał trybunał rewolucyjny i prezesem jego został stary dorożkarz miejscowy o mocno czerwonym nosie; według zdania niektórych prawników miejscowych zresztą orjentował on się w sprawach bystro i orzekał mądrze. Później prezydentem trybunału

kasacyjnego na całą prowincję nadmorską z ogromną na owe czasy płacą 800 rubli na miesiąc, został b. kapral wojsk austrjackich, młody, niedokończony słuchacz filozofji ze Lwowa, i pozostanie mi w pamięci, jak o protekcję u niego w sprawie miljonowego procesu między zarządem kolei amurskiej a jakąś stroną prywatną udawał się do mnie mój przyjaciel, polski adwokat, syndyk tej kolei. Pokonfiskowano nieco nieruchomości u »burżujów« chabarowskich ku cichej uciesze wielu ich bliźnich, np. hotel i browar osławionego oczajduszy, rodaka naszego (nawet syndyka kościoła katolickiego w Chabarowsku). Niektóre przedsiębiorstwa prywatne ocalały przed upaństwowieniem, przekształcając się w spółki pracowników, jak np. sklep wielkiej firmy Kunst i Albers, mającej swe filje po wszystkich miastach Dalekiego Wschodu. Utworzyła się »Nadzwyczajna Komisja Śledcza«, rodzaj prymitywnej »czerezwyczajki«, pod przewodnictwem jakiegoś ponurego indywidjum o typowo bandyckiej fizjognomji i chamskich manjerach. Terroru jednakowoż było stosunkowo mało: nie brakło oczywiście — jak zresztą przy każdym rządzie rosyjskim — nagłych jak grom z jasnego nieba rewizyj i aresztowań, a także długiego przetrzymywania we więzieniu bez śledztwa, *more antiquo:* ale rozstrzelań nie pamiętam wiele; najjaskrawszym wypadkiem było zamordowanie bez wyroku pewnego bardzo popularnego w mieście młodego oficera sztabowego, który stał na czele »Związku byłych żołnierzy frontowych«,

organizacji filantropijnej, ale nie pozbawionej politycznego zabarwienia anti-bolszewickiego. Ogółem jednak, ten pierwszy rząd bolszewicki na Wschodzie przypominał mi — nosorożca, jak go opisuje w »Listach z Afryki« Sienkiewicz: choć zwierz groźny i czasem pirogę wywróci i murzyna rozpruje, przecież jest raczej figurą komiczną ze swą ociężałością i wyglądem, jakby w za długim szlafroku. Śmiała się po kątach z władzy sowieckiej bojkotująca ją inteligencja, spodziewając się rychłego końca. A śmiać się mogła dlatego, że przymus pracy nie był przeprowadzony, a czekać było o czem. Tu najważniejsza ulga w opresji bolszewickiej: Daleki Wschód był zdawna zasobny, nie zaznał jeszcze tego głodu, który w europejskiej Rosji już dość silnie panował, to też i za pierwszych rządów bolszewickich w biedę nie popadł. Za pieniądze można było jeszcze coś kupić, a bolszewicy, czerpiąc z pełnego skarbu, odrazu znacznie podwyższyli płace wszystkich niższych funkcjonarjuszy, więc proletarjatowi działo się rzeczywiście nieźle, i chłopi nawet sznurem ciągnęli z roli do miasta na posady stróżów i portjerów. Normy żywnościowe, które na kartki za pieniądze po sklepach sprzedawano, były dość obfite, przytem system kartkowy oczywiście obchodzono i żywiono się nieźle. Np. my, jeńcy Polacy, mieszkający na wolności, otrzymywaliśmy cukier z dwóch źródeł, od władzy wojskowej jako jeńcy, i od władzy cywilnej, jako mieszkańcy danej dzielnicy, i w ten sposób mogliśmy nawet wspomagać

cukrem znajome rodziny polskie. Pamiętam też, jak skwapliwie każdy z nas, przechodząc w drodze do miasta, lub z miasta, koło sklepu żywnościowego, często po kilka razy dziennie, kupował pudełko sardynek za rubla (bo więcej jak jednego pudełka nikomu naraz nie sprzedawano) — i całe stosy tych pudełek leżały u każdego z nas. Były to sardynki francuskie z jakiegoś transportu dla wojsk koalicyjnych, który przypadkowo wpadł w ręce bolszewików. Nasi bracia żołnierze wtedy, jako rzemieślnicy różnych kategoryj — np. ślusarze w warsztatach floty amurskiej — już całkiem na dobre robili majątek i stawali się daleko większymi panami od nas.

Rezultatem tego wszystkiego jest, że Daleki Wschód jest dziś jedyną, w swoim rodzaju krainą na całej kuli ziemskiej: tam mianowicie — i w tem jednem tylko miejscu na świecie — masy ludu tęsknią jeszcze do rządów sowieckich.

Już w maju r. 1918 Czesi, wstrzymani przez bolszewików w swej drodze na Wschód, skierowali swe energje na Zachód, we wszystkich większych miastach Syberji poobalali rząd bolszewicki i przywrócili władzę poprzednią, która wnet przekształciła się w czarną reakcję. Na Dalekim Wschodzie jak wyspa utrzymało się owo autonomiczne państwo Rady Komisarzy Ludowych Dalekiego Wschodu. Środkiem tej wyspy był Chabarowsk, i coraz ciaśniej wkoło niej zwierał się pierścień przeciwników. Jako tacy oprócz Czechów wystąpiły już wtedy na plan państwa koalicyjne: walczyły przeciwko bol-

szewikom na Wschodzie małe oddziały wojsk kolonjalnych francuskich i angielskich. Zaszedł nawet ten paradoksalny fakt, że my jeńcy z armji austrjacko-węgierskiej, siedzieliśmy jakiś czas w obozie z trzema jeńcami Francuzami (Alzatczykami, jak się okazało) i jednym Anglikiem. Główną siłę atoli już wówczas na Wschodzie reprezentowała Japonja. Prócz wysłania do całej prowincji nadmorskiej znacznych oddziałów własnych wojsk okupacyjnych, Japonja uzbroiła i wyekwipowała różne formacje partyzanckie przeciwko bolszewikom: oddziały Kałmykowa, Orłowa i najgłośniejsze z wszystkich bandy atamana Siemionowa, złożone częścią z miejscowych kozaków i różnych oficerskich niedobitków armji carskiej, a częścią z Tunguzów, Chunchuzów i innych niesfornych rozbójniczych żywiołów. Oddział Kałmykowa, składający się z kozaków krajowych z nad rzeki Ussuri, zajął bez oporu Chabarowsk po opuszczeniu go przez bolszewików.

Tutaj po raz wtóry przypomina się przytoczony już raz w tych wspomnieniach szczegół ze Starego Testamentu: »Ojciec mój siekł was batogami, a ja was będę siekł skorpjonami«. Po niezdarnym terrorze czerwonym, dopiero pod rządami białych miasto poznało, do czego może dochodzić terror prawdziwy. Kałmykow rozpoczął swe rządy od aktu, który zmroził krew w żyłach całej ludności. Istniała wtedy w mieście orkiestra, złożona z jeńców austrjackich, wykształconych muzyków. Grała ona przy wszystkich bez różnicy rządach, w sezonie zi-

mowym 1917—1918 dała dwanaście koncertów symfonicznych, jakich Chabarowsk nigdy nie słyszał i zapewne już nie usłyszy, i dochodami z nich wzbogaciła wszystkie dobroczynne instytucje miejscowe. Zaraz po wkroczeniu wojsk Kałmykowa orkiestra uzyskała u szefa jego sztabu pozwolenie na dalsze urządzanie koncertów spacerowych, odbywających się owego lata w pewne dni w parku miejskim. Tymczasem doszedł do sztabu donos jakiegoś zawistnego muzyka-konkurenta, że jeden z muzykantów orkiestry dał u siebie przenocować jakiemuś uciekającemu z miasta bolszewikowi. Co się dzieje? Na drugi dzień rano orkiestra *in gremio* idzie po głównej ulicy miasta, udając się na próbę. Dopadają ją kozacy kałmykowscy i bijąc niemiłosiernie całą drogę, pędzą wzdłuż ulicy głównej aż do owego parku, gdzie muzyka grywała, na wysoki skalisty brzeg Amuru, skąd wyniosły posąg hrabiego Murawjowa Amurskiego patrzy na kraj, pozyskany dla cywilizacji rosyjskiej przez tego pierwszego wielkorządcę prowincji. Ustawiają nieszczęsnych muzykantów nad urwiskiem, rozstrzeliwują wszystkich trzydziestu sześciu w oczach spacerującej publiczności i strącają trupy w dół po skałach!

Odtąd przez szereg tygodni groza niemego przerażenia wisiała nad miastem. O pierwszym gwałcie gazety miejscowe nawet pisać nie śmiały; a w dalszym ciągu codziennie kilka lub kilkanaście ofiar aresztowano, internowano w wagonie aresztanckim na dworcu kolejowym i w nocy bez sądu rozstrzeli-

wano koło semaforu, często zmusiwszy je poprzednio do wykopania grobów dla siebie. Rozstrzelano aptekarza chabarowskiego, który pożyczał pieniędzy jeńcom na wyjazd do kraju po pokoju brzeskim; rozstrzelano szefa miejscowego biura Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, który może i rzeczywiście uczestniczył w jakiś knowaniach politycznych z jeńcami wojennymi, ale w każdym razie był Szwedem i obywatelem państwa neutralnego. Rozstrzelano jego pomocnika, Norwega, i kilka osób z personalu, wśród nich Bogu ducha winną maszynistkę, młodą Estonkę, która się u mnie uczyła po angielsku. Po tem najskandaliczniejszem pogwałceniu prawa międzynarodowego, na drugi dzień, z bizantyńską perfidją ogłoszono w gazetach, że Szwed i Norweg uciekli z pod straży, i każdy dobry obywatel rosyjski, któryby się dowiedział o miejscu ich pobytu, winien o tem donieść. Jak wściekły pies, gonił z patrolem całemi dniami po mieście główny ajent śledczy sztabu kałmykowskiego, dezerter z armji czeskiej, człowiek niewątpliwie cierpiący na jakąś *mania homicida*.

Tak przywracał prawny porządek w Chabarowsku po dyktaturze rewolucyjnej bolszewików dwudziestokilkoletni esauł kozacki Kałmykow. Jak wśród okropności tragedji szekspirowskich, nie brakło i tu momentów ulgi komicznej. Były niemi nadewszystko akty publiczne samego kacyka kozackiego, który sam siebie mianował generał-majorem, a w swych rozkazach zdumiewał publiczność do-

sadnem prostactwem wyrażeń i argumentacji. Pamiętam, jak te rozkazy wzbogaciły mój słownik rosyjski niejednem nieznanem mi dotąd obelżywem słowem — »krasnaja *rwań*« (zgraja oberwańców) jako stałe określenie Armji Czerwonej, — jak w jednym z nich dymisje i kary dla oficerów, co pozostali w służbie przez czasy bolszewickie, ogłoszone były pod godłem: »Ryba cuchnie od głowy«.

Jak się później dowiedziałem, Chabarowsk ze swym białym terrorem nie stanowił wyjątku. To samo co Kałmykow, wyrabiali po innych miejscach inni przywódcy wojskowi białych. Już i Czesi nie żałowali bolszewików, szczególnie Węgrów, co służyli w Czerwonej Armji, lub brali udział w administracji sowieckiej. Ale orgje krwawych represyj zapanowały dopiero na dobre, gdy klika kozacko-oficerska wzięła górę nad rządem demokratycznym w Omsku, uwięziła lub pomordowała ministrów z łona rozpędzonej przez bolszewików konstytuanty i otoczyła zwartym pierścieniem szlachetnego, ale słabego dyktatora, admirała Kołczaka. Z szerzącem się po wsiach powstaniem walczono przez ekspedycje karne, które dopuszczały się najdzikszych okrucieństw i niszczyły i grabiły kraj z prawdziwie rosyjskim rozmachem. Oczywiście jedynym sprzymierzeńcem uciśnionych Sybiraków przeciwko ich ciemiężcom być mogła tylko sowiecka Rosja, i tak tłumaczy się fakt, że partyzanci walczyli przeciw Kołczakowi pod hasłem przywrócenia władzy sowieckiej. Taka ideologja, — zdumiewająca u ludzi, co

przecież już poznali na własnej skórze bolszewizm,— tłumaczy się poniekąd wspomnianym już faktem, że Syberja za pierwszych rządów bolszewickich wielkiej biedy jeszcze nie zaznała, a poniekąd i tą okolicznością, że wskutek niezmiernych odległości, panowała tam za owych rządów znaczna decentralizacja i wskutek tego w umyśle chłopa syberyjskiego z pojęciem władzy sowieckiej skojarzyło się wyobrażenie o samorządzie miejscowym w najszerszem, prawie zupełnie anarchicznem ujęciu. »Wsia właśt' na miestach: czto cho'sz, to i dielajesz« (»Cała władza w rękach miejscowych: co chcesz, to sobie i rob isz«), tak naiwnie jeszcze w początkach powtórnej władzy sowieckiej w r. 1920 streszczał wobec mnie swoje pojęcia o programie administracyjnym bolszewizmu jeden chłop z głębokiej tajgi.

Szeroko też otworzył oczy ten chłop, gdy po upadku Kołczaka, wślad za zreorganizowaną Czerwoną Armją przybył z Rosji najstraszliwszy w świecie centralizm socjalistyczny, gdy poczęto likwidować oporne oddziały partyzanckie i wcielać je do wojsk regularnych, gdy wszędzie pojawili się importowani komisarze i poczęli organizować aparat administracyjny ściśle na moskiewską modłę, gdy wreszcie całkiem cynicznie dano do zrozumienia ludności, że głównym celem ponownego zawojowania Syberji z punktu widzenia centralnego rządu sowieckiego jest wyduszenie z niej *maximum* żywności dla głodującej Rosji.

Wybuchł znowu ruch powstańczy, jak przeciw

Kołczakowi, i często nawet ci sami partyzanci chwytali za broń, co wtedy. Wywiązało się też rychło analogiczne położenie: jak rząd Kołczaka, tak i sowiecki panuje nad krajem siłą wojskową, głównie po obu stronach kolei syberyjskiej, a w bardziej oddalonych częściach kraju władza na miejscach przechodzi raz wraz w ręce »białych band«. Tak się stało kilka razy z rzędu w r. 1921 w Tobolsku na północy, a na południu, wzdłuż granicy mongolskiej, panują bezustanne walki z różnemi formacjami wojskowemi białych, podsycanemi przez uchodźców z Mongolji. Nawet na głównej linji kolejowej, miasto Petropawłowsk z okolicą, było w r. 1921 przez dłuższy czas w rękach powstańców, i działy się tam rzeczy jeszcze okropniejsze, niż w Chabarowsku za Kałmykowa: rozpruwano komunistom brzuchy i napychano sianem, parodjując znienawidzoną daninę żywnościową.

Najosobliwsza sytuacja wywiązała się na Dalekim Wschodzie, gdzie mnie już wówczas nie było. Fala podboju bolszewickiego zatrzymała się niedaleko za Irkuckiem i jeziorem bajkalskiem, wobec bliskości wojsk okupacyjnych japońskich, z któremi sowiecka Rosja mierzyć się nie mogła i nie chciała. Doszło do utworzenia państwa buforowego, republiki Daleko-Wschodniej, którą Rosja spodziewała się rozszerzyć aż nad Ocean Spokojny i przeniknąć wpływem bolszewickim. To nie było w interesie Japończyków. Nie mogąc, ze względu na zawiść Ameryki i innych państw koalicyjnych przeć

w głąb Syberji na Zachód, podtrzymywali oni przynajmniej, i dotąd podtrzymują terytorjalne rozbicie Dalekiego Wschodu, w myśl zasady: *Divide et impera*. Istnieje tam faktycznie niemniej jak pięć małych organizmów państwowych. Pierwszy z rzędu, to wspomniana już republika Daleko-Wschodnia, ze stolicą Wierchnie-Udyńskiem, państewko niewielkie, o silnie sowieckiem zabarwieniu w urządzeniach i nastroju: prezydentem jego rządu był przez dłuższy czas ów Krasnoszczokow-Tobelson, z którym już spotkaliśmy się na Dalekim Wschodzie, a jednym z głównych przedstawicieli dyplomatycznych — szefem misji w Chinach — były komisarz bolszewicki z Ukrainy, Gintowt-Dziewałtowski (Polak), działający pod nazwiskiem Jurin. Pod względem położenia międzynarodowego, niewątpliwie to wpół-bolszewickie państewko już wchodzi w sferę wpływów japońskich. Przeciwko woli misji wojskowej japońskiej rząd wierchnie-udyński niczego zrobić nie może, i bezskutecznie szukał oparcia o Amerykę, wysyłając swego przedstawiciela na konferencję waszyngtońską, gdzie odegrał dość upokarzającą rolę przedpokojową.

Drugie z rzędu państewko na Wschodzie, to terytorjum, opanowane przez atamana kozaków zabajkalskich Siemionowa i jego anty-bolszewickie bandy — wokoło Czyty. Trzecie, to terytorjum kolei chińskiej ze stolicą Charbinem, niegdyś administrowane przez Rosjan, dziś przez Chińczyków, ale właściwie trzymane obecnie silną ręką przez Japonję.

Czwarte, to Władywostok z okolicą: w chwili, gdy to piszę, upadł tam właśnie czarnosecinny rząd Merkułowa; a wogóle odbywają się we Władywostoku co pewien czas przewroty polityczne, na sposób republik środkowo-amerykańskich, noszące wszystkie cechy sztuczności i najwidoczniej zawsze organizowane z mniejszym lub większym udziałem Japończyków, dla upozorowania coraz nowych przedłużeń i wzmocnień okupacji. Piąta wreszcie jednostka, to prowincja Amurska na północ od Władywostoku, usposobiona buntowniczo, sympatyzująca z Bolszewją, i stale prowadząca wojnę podjazdową z Japończykami. Tam na porządku dziennym było wycinanie w pień odosobnionych małych oddziałów japońskich, tam odznaczyła się jako szef sztabu wojsk powstańczych partyzantka Nina Lebjedjewa, według której nawet bolszewicy nazwali ulice w Krasnojarsku i innych miastach; tam weszło już w przysłowie wyrażenie *uszoł w sopki* o ludziach, co z pod okupacji japońskiej znikali do wzgórz lesistych, między powstańców. Tam też odbyła się jeszcze w roku 1919 straszna rzeź kolonji japońskiej w mieście Nikołajewsku, nad ujściem Amuru.

W ślad za okupacją wojskową japońską, rozciągającą się w mniejszym lub większym stopniu na wszystkie wymienione terytorja, ciągną sznurem kupcy, przemysłowcy i przedsiębiorcy japońscy, jak to już widziałem w Chabarowsku po przybyciu 14. dywizji japońskiej. Ci cywilni pionierowie potęgi japońskiej skwapliwie wykupują na najkorzystniej-

szych warunkach domy, sklepy i fabryki po większych miastach Dalekiego Wschodu, wybawiając przez dogodne ceny z chwilowych kłopotów pieniężnych krótkowidzącą burżuazję miejscową, która błogosławi przybyszów, co ją wywłaszczają. Jako typowy przykład utkwił mi w pamięci ów wspomniany już polski piwowar i kamienicznik w Chabarowsku: ośmieszył się, całując strzemiona kozaków kałmykowskich jako wybawicieli, co wkraczali przywrócić mu znacjonalizowany przez bolszewików hotel i browar. Japończycy potem z kolei wybawili go od sekwestracji za długi, płacąc miljon rubli gotówką, ale też wybawili raz na zawsze od kłopotów posiadania hotelu i browaru.

Jak była przygotowana ta wojskowa i ekonomiczna inwazja japonska, o tem niech świadczy znamienny fakcik, że zdawna osiadły w Chabarowsku fotograf japoński, który mile nas zadziwił przemówieniem z deklaracją sympatji japońskich na otwarciu Domu Polskiego w Chabarowsku, po wkroczeniu wojsk zdemaskował się jako podpułkownik sztabu jeneralnego.

Jeszcze jedno spostrzeżenie. Miałem i ja to samo, co każdy przeciętny Europejczyk, poszanowanie dla Japończyków, jako dla narodu niezmiernie karnego, i zdolnego do nieprawdopodobnych poświęceń w służbie ojczyzny. Z podziwem łączyło się — znowuż jak u każdego przeciętnego Europejczyka — to zdumienie, które nas zawsze obejmuje wobec niskiej oceny pierwiastka osobistości ludz-

kiej we wszystkich starych kulturach Wschodu. W tej głębokiej różnicy między psychiką europejską a orjentalną dla mnie zawsze tkwiła przyczyna, dla której nie mogłem się przejąć zapałem nawet do najcenniejszych skarbów wiedzy, literatury, filozofji, religji, etyki chińskiej, a także (powiem otwarcie) indyjskiej, dlaczego w arcydziełach malarstwa japońskiego, poza ich niezrównanym kolorytem, rysunkiem i odczuciem krajobrazu, czegoś bardzo żywotnego mi niedostawało: »zapomnieli o człowieku«, jak powiedział Czechow w tragicznych słowach końcowych swego »Sadu wiśniowego«. Co więcej, ta sama różnica zasadnicza w poglądzie na wartość jednostki ludzkiej w świecie budziła wstręt do gnuśnego fatalizmu duszy rosyjskiej, choćby w tak wzniosłych objawach, jak etyka Tołstoja. Dla mnie w chwilach największego upokorzenia niewolniczego i największej biedy wygnańczej, — w czasach (r. 1920), gdy ja, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, mieszkałem z łaski kątem w kuchni u stróża kolejowego syberyjskiego i wysługiwałem się jako pisarz we wiejskim urzędzie sowieckim wśród pół-analfabetów i eks-rozbójników — źródłem wytrwania i pociechy było nie jakieś mohamedańskie *kismet*, nie mużyckie »Cztoż, brat, podzielajesz!« ale dumne, stoickie wiersze Goethego:

»*Volk und Knecht und Überwinder,*
Sie gesteh'n zu jeder Zeit:
Höchstes Glück der Erdenkinder

Sei nur die Persönlichkeit.
Jedes Leben sei zu führen,
Wenn man sich nicht selbst vergisst:
Alles könne man verlieren,
Wenn man bleibet, was man ist.

Rad jestem, że w takiem pojmowaniu zasadniczej różnicy między duszą europejską a wschodnią spotykam się z takim głębokim znawcą Wschodu, jak Anglik Percival Lovell, który to samo dowodzi — może jeszcze radykalniej — w przetłumaczonej niedawno na język polski książce »Dusza Dalekiego Wschodu« (przekład J. G. H. Pawlikowskiego, wyd. »Wiedza i Życie«, serja IV, t. 12, r. 1922).

Klasycznie wypowiada ten wspólny narodom wschodnim pogląd na znaczenie jednostki ludzkiej wobec ogromu świata natchniony piewca duszy hinduskiej Rabindranath Tagore w swem dziele *Glimpses of Bengal* (cytuję według recenzji w londyńskiem *Athenaeum* z 9 lipca 1921):

»Siedziałem i dziwiłem się: Dlaczego jest zawsze ten cień melancholji nad polami i brzegami rzek, nad niebem i światłem słonecznem naszego kraju? I doszedłem do wniosku, że jest to dlatego, iż dla nas Natura jest oczywiście rzeczą ważniejszą od człowieka. Niebo jest swobodne, pola bezgraniczne, i słońce stapia je w jedną płomienną całość. Pośród tego wszystkiego człowiek wydaje się czemś tak marnem! Przychodzi on i odchodzi, jak łódź przewoźnika, z tego brzegu na tamten; słyszy się gadatliwy

gwar jego mowy, przelotne echo jego pieśni; widzi się na targowiskach świata nikły ruch jego pogoni za jego własnemi małostkowemi pragnieniami. Ale jakże słabem, jak doczesnem, jak tragicznie bezmyślnem wszystko to wydaje się wśród olbrzymiej obojętności Wszechświata!«

Otóż nowe potwierdzenie mojego zapatrywania na kardynalną różnicę między oceną godności człowieka przez Wschód a przez Zachód dały mi moje doświadczenia chabarowskie — i to już nie od strony budzącej podziw dla karności, solidarności i poświęcenia Japończyków, ale od strony ujemnej.

Mam na myśli poniżenie dostojeństwa osobistego przez pijaństwo.

Piły na Dalekim Wschodzie jednakowo intensywnie wojska okupacyjne i japońskie i amerykańskie. Ale *cum duo faciunt idem, non est idem.* Amerykanie pili na zabój, jakby chcieli jak ów wielbłąd w oazie na pustyni napić się na zapas, przed powrotem do »suchej« po ostatnich anty-alkoholowych ustawach Ojczyzny. Ale pijaństwo amerykańskie miało w sobie coś rozbrajająco dziecięcego: w jego skutkach objawiał się spotęgowany do hałaśliwej wesołości radosny zmysł życia. Pijany Amerykanin rozbijał się swym wypasionym korpusem po całej szerokości ulicy, śmiał się swą okrągłą, rumianą gębą do wszystkich kobiet i jowialnie zagadywał tubalnym głosem do przechodzących bliźnich, którzy słowa nie rozumieli i z trwożliwą grzecznością się uśmiechali do króla dolarów. Był on, jak to dosko-

nale określa angielskie przysłowie, »pijany jak lord«.

Natomiast przykry i dręczący był widok chmyzowatego Japończyka, czy to żołnierza, czy oficera, który zalał pałkę swojem piekącem jak wulkan »saki« i słaniał się z jakimś fatalistycznym smutkiem cichutko i wstydliwie w cieniu ścian.

Z wysokości Góry Kadeckiej, ze swej głównej kwatery we wspaniałym gmachu korpusu kadeckiego, dywizja japońska z nieludzkim spokojem spoglądała na rozsrożony nad miastem Chabarowskiem terror kałmykowski. Z tej samej góry później, już za mojej niebytności, podczas jakichś zamieszek, bombardowała miasto, tak, że ludność (wśród niej moi znajomi Polacy) uciekała z życiem tylko, rzucając mienie na łaskę losu. Do nadużyć Kałmykowa jego japońscy chlebodawcy się nie mieszali; tylko w sprawie rozstrzelania szwedzkiego przedstawiciela Czerwonego Krzyża zarządzili śledztwo, i to czysto demonstracyjne. Całe ich postępowanie na Dalekim Wschodzie wywołało we mnie to wrażenie, że zależy im wyłącznie na tem, by się jak najwięcej Moskali — pod jakiemikolwiek hasłami partyjnemi — wzajemnie wymordowało i przez to zrobiło miejsce dla kolonizacji japońskiej, — i co więcej, by się jaknajdłużej mordowali wzajemnie, podtrzymując żywotny dla polityki japońskiej stan zamętu i bezprawia.

Jeżeli na podstawie takich obserwacyj, przy całym szacunku dla dzielności i sprawności narodu japońskiego, wyniosłem o nim jednak to wyobraże-

nie, że Japończycy są jakimiś krzyżakami wschodniej Azji, to muszę z drugiej strony równie stanowczo oświadczyć, że zgoła inną i daleko sympatyczniejszą pamięć u mnie pozostawili po sobie Chińczycy, od których roi się w Chabarowsku, i których za moich czasów jęło pojawiać się coraz więcej w takich miastach środkowo-syberyjskich, jak Omsk i Krasnojarsk. Przyznaję odrazu, że akcesorja nie były ujmujące: prócz kilku eleganckich oficerów i schludnych żołnierzy chińskich w mundurach pruskiego kroju, poznałem Chińczyków tylko w postaci niechlujnego i cuchnącego proletarjatu. Wzgardzeni, jako najtańszy, ale i fizycznie lichy robotnik, prowadzą prawdziwie psi żywot, jak u nas czerń żydowska po miasteczkach, z którą ich trafnie porównał w swej »Socjologji« Gumplowicz. Jak u tej czerni, widziałem u nich objawy grubej ciemnoty i zatęchłych zabobonów: w Charbinie byłem świadkiem procesji chińskiej, która przez przeraźliwe hałasy i potworne maski miała wystraszać niewidzialne demony cholery z atmosfery miasta. W Charbinie też zaglądałem do jadalń chińskich, gdzie siedząc *à la turcque* na stołach, Chińczycy pałeczkami spożywali swe potrawy narodowe, — i prędko cofałem nos ze wstrętem.

A jednak u tych brudnych i sponiewieranych parjasów daleko-wschodniego społeczeństwa, zaimponowała mi widoczna wszędzie stara kultura narodowa i za serce chwyciła głęboką ludzkość. Że takie mam o Chińczykach wspomnienie, to głównie

zasługa zacnego naszego przyjaciela Łan-Min-Tsina, którego też godzi się tu uczcić krótką wzmianką.

Łan-Min-Tsin, jak wielu kulisów, przywędrował na terytorjum rosyjskie z Czi-fu: tam zostawił żonę, którą z żartami, ale czule wspominał. Na przedmieściu Chabarowska, w nędznej lepiance, prowadził z młodszym pomocnikiem pralnię ręczną. Prał bieliznę dla całej naszej grupy jeńców-oficerów-Polaków, prowadzącej wspólne gospodarstwo w jego sąsiedztwie, z tej racji był naszym codziennym gościem i rychło stał się powszechnym faworytem, zjednywując sobie wszystkich niezwykłą bystrością umysłu, nienaganną grzecznością i szczerem dobrem sercem. Zauważywszy, że nam to sprawia przyjemność, rychło się nauczył witać i żegnać nas po polsku — »Dzień dobry«, »Do widzenia«, a nawet »Moje uszanowanie« i »Czołem«, — wszystkich nas czterdziestu, jakeśmy siedzieli za stołem, na wyrywki umiał nazwać po nazwisku (proszę sobie wyobrazić Polaka, coby spamiętał nazwiska czterdziestu Chińczyków po pierwszym miesiącu znajomości z żywiołem chińskim!); wreszcie ku ogólnej uciesze nauczył się bez omyłki śpiewać »Bartosza«. *In gratiam* stosunków z nami rychło też poświęcił warkocz i ostrzygł się po europejsku. Ale nie było to snobistyczne małpiarstwo człowieka bez własnej tradycji. Łan-Min-Tsin do Moskali odnosił się z charakterystyczną dla chińskiego proletarjusza pogardą, a do Japończyków z równie charakterystyczną

niechęcią, zaś starą kulturę swego narodu znał i kochał. Nietylko umiał pisać — umiejętność wszakże w Chinach trudniejsza, więc i rzadsza, niż u innych starych narodów cywilizowanych: — rachunki bieliźniane z nami prowadził sobie pismem chińskiem, a mnie osobiście raz pokazywał, na wiele różnych sposobów można wyrazić znakami chińskiemi brzmienie mojego nazwiska. Łan-Min-Tsin mienił się na twarzy z zachwytu, gdy nam na częste prośby, zawsze chętnie i z głębokiem przejęciem, śpiewał dziwnie uczuciowe pieśni ludowe chińskie. Wreszcie raz urządzili koledzy z nim egzamin, który zdał świetnie. Wydostali z bibljoteki przy Muzeum Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w Chabarowsku wydanie klasycznych tekstów religijnych i filozoficznych chińskich z transkrypcją w literach łacińskich i tłumaczeniem niemieckiem. Oczy Łan-Min-Tsina zajaśniały, gdy ujrzał pierwszy wiersz: ten płynnie przeczytał, resztę już zacytował z pamięci, a myśmy ze wzrastającem zdumieniem kontrolowali go według książki.

Jak już powiedziałem, był Łan-Min-Tsin także wzorem grzeczności. Nie była to ośmieszona tylokrotnie, karykaturalna grzeczność chińska, lecz prawdziwa wytworność obejścia, płynąca ze szlachetności ducha. Na każdym five-o'-clocku europejskim przyniosłyby mu zaszczyt te formy, w jakich wymawiał się od poczęstunku herbatą, sucharkiem i papierosem, — bo wiedział, że u nas jeńców się nie przelewa.

Poszliśmy znowu z wolności do obozu, tym razem pod zarząd amerykański, i z Łan-Min-Tsinem trzeba było się rozstać. Ale w obozie nie odrazu udało się Amerykanom zorganizować pralnię, więc adjutant amerykański na moje usilne prośby pozwolił Łan-Min-Tsinowi chodzić do nas — 12 wiorst po zamarzniętej rzece Ussuri — i żołnierz amerykański na warcie, choć pluł na jego widok i zamierzał się nań karabinem (bo Amerykanie nie znoszą »ludzi innego koloru«), musiał go puścić. Pierwszy Łan-Min-Tsinowi o otrzymanem pozwoleniu oznajmił jeden z polskich kolegów. Łan-Min-Tsin począł mu z wylaniem dziękować. »Nie mnie dziękuj«, rzekł kolega, »lecz Dyboskiemu!« Na to Łan-Min-Tsin z godnością: »Ja wiem przecież, że jemu muszę dziękować osobno, ale tobie dziękuję za to, żeś mi o tem powiedział«.

I była to, jak już zaznaczyłem, nie powierzchownie przyswojona etykieta, lecz duchowe gentlemaństwo rasy cywilizowanej. Dowodem jeden jeszcze szczegół. Zdarzyło się niestety, że jeden z kolegów, żyd, student medycyny ze Lwowa, który przez różne szantaże splamił imię polskie, zarwał między innymi i naszego biednego Chińczyka na kilkadziesiąt rubli. Zwróciliśmy je mu oczywiście drogą składki, ale jeszcze zanim to się stało, Łan-Min-Tsin w rozmowie z innym kolegą tak łagodnie się skarżył na swego krzywdziciela: »Ja przecież wiem, że on mi nie odda, ale czemu on na mnie patrzeć i mówić ze mną nie chce? Wszak go nie obra-

ziłem, ani nie zrobiłem mu nic złego!« Gdyby Łan-Min-Tsin znał Tacyta, możnaby to powiedzenie uważać za doskonałą parafrazę sławnego: *Proprium est humani generis odisse quem laeseris.*

Nie dojdą cię nigdy te polskie słowa, nasz nadamurski druhu! Ale jest w dalekiej Europie człowiek, co ze szczerą przyjaźnią patrzył w twą zawsze uśmiechniętą żółtą twarz i zawsze po bratersku wspominać cię będzie.

VI.

Amerykanie a Europejczycy.

W dziejach moich spotkań na wygnaniu z różnemi egzotycznemi dla nas narodami, najosobliwszym i zarazem najpełniejszym humoru epizodem był dłuższy okres pożycia z tymi, którzy zdawaliby się nam kulturą najbliżsi, — z którymi każdy Polak w tych siedmiu latach miał mniej lub więcej do czynienia — z Amerykanami.

Jak już rzekłem, byłem w latach 1918 i 1919 jako jeniec nad Amurem wraz z 1.300 oficerami i 800 żołnierzami różnych narodowości z byłej armji austrjacko-węgierskiej przez pół roku pod zarządem wojsk okupacyjnych amerykańskich. Przejęcie sześciu obozów dla jeńców na Dalekim Wschodzie z zarządu rosyjskiego w zarząd wojsk koalicyjnych — częścią japońskich, częścią amerykańskich — było spowodowane nietyle humanitarnym względem na złe położenie materjalne jeńców pod rządami rosyjskiemi, ile faktem, że wielu z nich, szczególnie Węgrów, brało czynny udział w organizacji i obronie pierwszego rządu bolszewickiego na Syberji, służąc nawet w szeregach czerwonej gwar-

dji. Nie zapomnę grzmiących »Eljen!« jakiemi potem jeszcze w obozie pod Amerykanami wielu węgierskich oficerów powitało wiadomość o powstaniu rządu bolszewickiego na Węgrzech.

Dwudziesty siódmy pułk piechoty amerykańskiej, co stanął garnizonem w Chabarowsku i wydzielił jednę kompanję dla pilnowania naszego obozu, rekrutował się z Chicago, a pełnił przez kilka poprzednich lat służbę na Filipinach. Żołnierze składali się po wielkiej części z tego żywiołu apaszowsko-huligańskiego, który przed wojną w Ameryce wstępował do wojska, nie mając już innego gruntu pod nogami. Do reszty zdemoralizowała to towarzystwo służba kolonjalna wśród gnuśnych mieszkańców wysp filipińskich, tak, że lekarz pułkowy amerykański, gdym zwracał jego uwagę na niebezpieczeństwo chorób wenerycznych dla żołnierzy, machnął tylko ręką i rzekł: »Byle ich tu za wiele nie przywieźli!« U stóp obozu, leżącego na wzgórku wśród tajgi, znajdowała się na brzegu rzeki Ussuri mizerna wioszczyna chińska, zamieszkała przez »*spirtonosów*«, czyli przemytników spirytusu. Tam stale chodzili upijać się wszyscy wolni od służby żołnierze, nie wyłączając i oficerów. Gdy urządziłem w dniu 3 maja 1919 w obozie odczyt o naszej Konstytucji i wyjednałem u adjutanta pozwolenie, żeby go słuchali także żołnierze amerykańscy narodowości polskiej, zjawiło się tylko dwóch, którzy w ten dzień należeli do warty obozowej, tylko właśnie nie stali na posterunku. Reszta poszła na spirytus do

berio. (jak żargonem filipińsko-hiszpańskim nazywali wieś).

To też stale cała kupa żołnierzy siedziała za pijaństwo w areszcie, gdzie według amerykańskiego regulaminu było się pozbawionym tytoniu, książek do czytania i żołdu, a ponadto zmuszonym do robót fizycznych. Ale i to nie pomogło, bo zawsze przyjemniej było spać w areszcie, niż stać w mroźnych nocach syberyjskich na warcie (choć każdy wartownik otrzymywał dwa polana drzewa i palił sobie ognisko). Strach aresztu okazał się poniekąd skutecznym dopiero wtedy, gdy pułkownik wymyślił pewne całkiem średniowieczne obostrzenia: aresztanci musieli pędzić kłusem z aresztu na roboty i z powrotem, także na obiad i z obiadu (a po amerykańskim żołnierskim obiedzie biegać ciężko!). Ponadto musieli w nocy co dwie godziny wstawać, ubierać się i wychodzić na podwórze, żeby ich przeliczono przy zmianie posterunku.

Wśród oficerów, oprócz pułkownika, starego hulaki, który kończył akademję wojskową w West Point i był od dwudziestu lat zawodowym oficerem, oprócz kapitana, który wyszedł z sierżanta i obchodził się bez chustki do nosa, i oprócz poczciwego oficera inżynieryjnego, który pewnie przedtem był monterem albo ślusarzem, mieliśmy do czynienia wyłącznie z inteligentami, zmobilizowanymi już w czasie wojny: był jeden chemik z uniwersytetu w Princetown (Pensylwanja), jeden prawnik, co w czasie pokoju służył w administracji cywilnej na

Filipinach, — także jeden smarkaty młodzik, co ledwie wyszedł z jakiejś szkoły średniej (jak wielu naszych oficerów). Ale beznadziejne było żadanie prowadzić z nimi inteligentną w znaczeniu europejskiem rozmowę o przedmiotach ich przedwojennych zajęć umysłowych. Twarze w tej chwili przybierały wyraz śmiertelnej nudy i odpowiedzi były jednozgłoskowe. Ożywiali się dopiero do niepoznania i prawie do gorączki, gdy kolega, co lepiej znał ich psychikę — bo był to oficer austrjacki, co przed wierzycielami uciekł do Stanów Zjednoczonych i tam kilka lat przebył — zagadał o walce Jeffriesa z Johnsonem i o różnych amerykańskich sposobach gry w piłkę. Wtedy mówiło ich po kilku naraz, jeden przez drugiego. Niemniej charakterystyczne było odezwanie się szefa sztabu armji ekspedycyjnej amerykańskiej na Syberji, który po zwiedzeniu wystawy prac malarskich jeńców rzekł do mnie: »Przyszlijcie mi tam potem jakie pół tuzina tych obrazków! Cena jest obojętna«. Zaś na moję skromną propozycję, by sam wybrał, co mu się spodoba, odpowiedział: »To wszystko jedno, chodzi o kilka pamiątek dla żony i dzieci«. Łatwo sobie wystawić mój kłopot wobec naszej obozowej *jury* i artystów, którzy pokończyli Akademje sztuk pięknych w Austrji i Niemczech!

Stosunek służbowy Amerykanów do jeńców był bodaj najzabawniejszą stroną całej sytuacji. Naród amerykański musiał dopiero w czasie wojny na gwałt się militaryzować i wskutek tego objawiał

w zetknięciu z systemem militarnym dawniej już zmilitaryzowanych społeczeństw coś w rodzaju »czci świeżo nawróconych pogan dla religji« (jak niegdyś z przesadną złośliwością określił stosunek naszego społeczeństwa do sztuki Stanisław Witkiewicz). Więc stała się rzecz paradoksalna: w obozie, który przeszedł pod zarząd Amerykanów już w okresie kapitulacji państw centralnych, ci Amerykanie sami podtrzymywali z uroczystym, rytualnym pietyzmem fikcję jedności starej armji austrjacko-węgierskiej, z całym aparatem kompanji i bataljonów, rozkazów, raportów i honorów, i z austrjacko-węgierską kancelarją komendancką, która wałem biurokratycznej głupoty i analfabetyzmu co do angielszczyzny odgradzała jeńców od administracji amerykańskiej. W tym obozie, już po powstaniu Państwa Polskiego otrzymałem ostatnią burę służbową austrjacką — za interwencję poza drogą służbową u adjutanta amerykańskiego w kwestji sprawiedliwego rozdziału wieczorów w teatrze obozowym między przedstawienia niemieckie i węgierskie — i ostatnią austrjacką pochwałę służbową w rozkazie dziennym, za kierowanie szkolnictwem obozowem. Austrjacko-węgierska komenda obozowa miała prawo stawiania komendzie amerykańskiej wniosków o ukaranie poszczególnych jeńców aresztem za nieprzestrzeganie regulaminu i dyscypliny, i kilka razy z tego prawa w sposób dość nietaktowny skorzystała: raz ku ogólnemu oburzeniu w wypadku rzekomej niesubordynacji 46-letniego starszego podoficera wobec mło-

kosa-oficerka. Podoficer poszedł na miesiąc do aresztu, a żołnierze poczęli się burzyć, i Amerykanie stosowali do nich ostre represje, jako do zbuntowanych.

Pod względem warunków materjalnych, oczywiście przejście z zarządu rosyjskiego pod amerykański, równało się przeniesieniu z piekła do nieba. Nietylko padły przegrody między pojedynczemi dzielnicami obozu, i naokoło całego obozu zamiast parkanu z desek, stanął drut kolczasty, otwarł się widok na okolicę, zrobiło się przestronniej, świeżej i jaśniej; nietylko od pierwszego dnia składy kuchenne zawalone były mięsiwem i inną żywnością, którą nam pozwolono gotować na sposób europejski; nietylko mogła powstać cukiernia jeniecka i wyrabiać tanie a smakowite ciastka wiedeńskie; nietylko zamiast marnych już wtedy rosyjskich 50 rubli, poczęto nam oficerom wypłacać po 25 dolarów miesięcznie w banknotach i srebrniakach amerykańskich, a dla żołnierzy komisja, z samych jeńców złożona, ustanowiła wysokie taryfy wynagrodzenia za wszelkie roboty obozowe; nietylko zapełniła się kantyna obozowa towarami i można było mieć do śniadania japońskie konfitury poziomkowe i kalifornijskie konserwy mleczne; nietylko ułatwiono nam nabycie, po amerykańskich cenach rządowych, doskonałych butów żołnierskich, rękawiczek i innych rzeczy; nietylko szpital był zapchany bielizną, lekarstwami, instrumentami, otrzymał oszkloną werandę i wzorowe urządzenie; nietylko zorganizowano si-

łami jeńców pralnię i odnowiono z gruntu łaźnię; nietylko całą zimę sznurem ciągnęły do obozu sanki chłopskie z drzewem, za które płacono, ile chłop żądał, gdy tymczasem ludność pobliskiego Chabarowska marzła, jak psy, bez opału; nietylko dopomogli Amerykanie pomysłowym Węgrom urządzić z różnych starych szmat i gratów przepyszny lokal klubowy w stylu angielskim; ale wszelkie udogodnienia dla zajęć umysłowych i kulturalnych rozrywek doznały jak najdalej idącego poparcia i stanęły na poziomie za Rosjan niebywałym. Bogata bibljoteka obozowa istniała już za czasów rosyjskich dzięki Czerwonemu Krzyżowi szwedzkiemu, ale teraz została przyzwoicie pomieszczona, ześrodkowana i uporządkowana. Były też już za Rosjan prowadzone różne kursy w obozie; ale teraz dopiero rozrosły się w cały utrakwistyczny, niemiecko-węgierski uniwersytet obozowy, pomieszczony coprawda przez dłuższy czas w dość mizernej chałupie i dlatego przez jeńców uszczypliwie zwany »uniwersytetem chłopskim«, ale później przeniesiony do ładnych sal. Miałem zaszczyt być rektorem tego uniwersytetu, i pracował pod mojem kierownictwem cały sztab kilkudziesięciu docentów i lektorów. Kursa medyczne dla studentów medycyny prowadził w szpitalu profesor uniwersytetu z Bonn, który był w niewoli jako lekarz wojskowy. Ponadto był w gronie nauczycielskiem jeden docent uniwersytetu niemieckiego z Pragi, który wykładał zoologję, paleontologję i pokrewne przedmioty przyrodnicze, a pó-

żniej po mnie objął kierownictwo instytucji. Profesorowie gimnazjalni wykładali filozofję i historję literatury, matematykę wyższą i fizykę teoretyczną, doktorowie praw cały szereg umiejętności prawniczych, państwowych i społeczno-gospodarczych, inżynierowie (szczególnie węgierscy), złożyli się na cały prawie komplet przedmiotów politechnicznych, od geodezji do elektrotechniki. Ja sam wykładałem kurs literatury angielskiej w języku angielskim, i ku mojemu zdumieniu, miałem od 80 do 100 słuchaczy (więcej niż kiedykolwiek przed wojną w Uniwersytecie Jagiellońskim). Trzeba bowiem wiedzieć, że uczenie się języków było prawdziwą manją jeńców, a szczególniejszy popyt panował dziwnym sposobem nie na język rosyjski, który byłby mógł się przydać, lecz na angielski. Pod zarządem amerykańskim przemówiły za angielskim i względy praktyczne, to też lekcje angielskiego były najbardziej ożywioną dziedziną z tych różnych kursów językowych, które intensywniej jeszcze od teoretycznych wykładów rozwinęły się w naszym »chłopskim uniwersytecie«. Były dwa niższe i dwa wyższe kursy angielskiego, dwa niższe i dwa wyższe francuskiego, dwa włoskiego, ponadto zaś uczono hiszpańskiego, łaciny i greki (dla realistów), czeskiego (dla Niemców z Czech), niemieckiego (dla Węgrów), węgierskiego, ukraińskiego, polskiego, rosyjskiego, a nawet hebrajskiego i esperanta. Esperantyści zorganizowali się w osobne towarzystwo, odbywali zebrania i pro-

wadzili (nieszkodliwą zresztą) propagandę swej *internacia linguo*.

Na papierze, dostarczonym przez Amerykanów, wychodziły dwa rękopiśmienne miesięczniki, pięknie zdobione i illustrowane, i dwa odczytywane na głos po salach dzienniki, do których udzielano nam najnowszych wiadomości telegraficznych z komunikatów sztabu amerykańskiego. Mieliśmy też zazwyczaj pod ręką gazety angielskie, wychodzące w Japonji i w Chinach, oraz różne amerykańskie.

Rzeźbiarze i malarze otrzymali osobną pracownię; u rzeźbiarzy zamówiono pomnik grobowy dla zmarłych w niewoli jeńców.

Dwa chóry śpiewackie i dwie orkiestry dawały od czasu do czasu koncerty. Ale główną chlubą obozu i największą radością rozbawionych jak dzieci Amerykanów, był teatr obozowy. Grali w nim — prawdziwie po szekspirowsku — role kobiece młodzi i przystojni chłopcy. Zaś feeryjne iście dekoracje i kostjumy, były robotą samych jeńców. Nie zapomnę znakomitego przedstawienia »Pięknej Heleny«, do którego wnętrza i ubiory projektował specjalista od historji sztuki greckiej. W niezatartej też pamięci pozostanie mi skomponowana przez jeńca operetka węgierska, p. t. »Wyspa szczęśliwych«, której dwa akty rozgrywały się na pokładzie yachtu amerykańskiego miljardera, a jeden — na wyspie podzwrotnikowej. Wreszcie trzecie wspomnienie, to balet »Sen tancerza«, gdzie na tle nocnej panoramy amfiteatralnego miasta Budy, występo-

wały z tańcami solowemi w kostjumach narodowych urocze przedstawicielki różnych ludów europejskich od Holandji i Hiszpanji, do krajów alpejskich i Węgier. Amerykanie byli tak zachwyceni tem wszystkiem, że chcieli trupę jeniecką w powrocie z niewoli obwozić po Stanach Zjednoczonych, do czego jednak nie doszło.

Zdawaćby się mogło, że wobec tego wszystkiego, stosunek do Amerykanów był od początku do końca jak najlepszy i jak najserdeczniejszy. Tymczasem było inaczej: panowała w tym stosunku głucha niechęć do »barbarzyńców« amerykańskich. Dlaczego?

Amerykanie zastali jeńców w opłakanym stanie fizycznym i moralnym, wygłodzonych, znędzniałych i obdartych, wyczerpanych nerwowo, zgnuśniałych i apatycznych. Wielu nie ruszało się wcale z izb koszarowych i siedziało cały dzień przy piecu lub leżało na łóżkach. Chcąc poderwać ich na nowo na nogi, zrobić z nich znowu ludzi, Amerykanie zastosowali cały szereg bezceremonjalnych, a nawet drakonicznych zarządzeń higjeniczno-wychowawczych, które narobiły wiele złej krwi i wywołały rozdrażnienie. Pierwszym kamieniem obrazy były porządki koszarowe. Jeńcy podzielili sobie zdawna wielkie sale, w których mieszkali, na małe pokoiki przez przegródki ze szmat lub starych desek. Te *boxes* — tak nazwane jak przegródki w stajniach — były doskonałemi schroniskami dla brudu, kurzu i zaduchu, ale zarazem ostatnią illuzją jakiegoś wła-

snego kąta, gdzie bezdomny jeniec mógł się zagrzebać. Amerykanie zażądali ich zniesienia i wbrew umotywowanemu psychologicznie memorjałowi, który imieniem kolegów napisałem, przeforsowali je, wyganiając nas na dwór i burząc w naszej nieobecności »boksy« kolbami od karabinów. Mieszkaliśmy odtąd w ogromnych otwartych salach, ze swobodnym dostępem światła i powietrza, na racjonalnie rozstawionych łóżkach. Dla wrażliwszych natur to była męka, a zabawny epizod zdarzył się z naszą primadonną teatralną: ten ładny chłopak mieszkał zrazu przy teatrze, później przeniesiony do sali ogólnej, oświadczył, że nie może jako panienka rozbierać się i kłaść się spać w obecności stu mężczyzn: trzeba go było trzymać jakiś czas w szpitalu, nim się od tej osobliwej psychozy wyleczył. Nie brakło zresztą naturalnie i innych śmiesznych objawów tej kategorji: primadonna co wieczór po przedstawieniu otrzymywała pudełko cukierków od cichego swego wielbiciela — jednego ze starszych kapitanów; a ja sam na uroczystości sylwestrowej nawpółbezwiednie pocałowałem w rękę jednę z ładnych panienek, co krążyły po sali wśród publiczności, choć wiedziałem, że to są przebrani młodzi koledzy.

Ale powróćmy do amerykańskiej reformy życia obozowego. Zapanował tedy w owych wielkich sypialniach ściśle koszarowy program, ani myć się, ani jeść nie było wolno w salach, o ³/₄ na 6 rano bez pardonu trzeba było wstawać, myć się w niezbyt ciepłym kurytarzu, a o 7 być na dole w jadalni na

śniadaniu; zaś o dziesiątej wieczorem również bez pardonu gaszono światła. Sale musiały być wietrzone pięć razy dziennie, razem godzinę: dzięki nieudolności urzędowych tłumaczy, zrobiło się z tego na początek nawet pięć godzin dziennie i panowały przez kilka dni prawdziwe orgje wietrzenia przy 30 stopniach mrozu. Ci sami tłumacze później, przy zmianach dyslokacji w obozie, również w czasie wielkich mrozów, narobili bałamuctw, które spowodowały niepotrzebne dwu- i trzykrotne przeprowadzki jeńców.

Sale musiały być utrzymywane w przepisanym ściśle porządku i podłogi kamienne myte naftą raz na tydzień. Amerykanie, którzy sami mieli po jednym ordynansie dla ośmiu oficerów, znieśli oczywiście odrazu wszelką osobistą obsługę jeńców-oficerów przez jeńców-żołnierzy, prócz porządków kurytarzowych i służby kuchennej, oraz wyjątków dla starych sztabowców.

Ale to wszystko jeszczeby nie tyle znaczyło: wszak sproletaryzowany jeniec-oficer dawno już sam odwykł od jakiejkolwiek obsługi, bo żołnierz za czasów bolszewickich stał się przez płatne roboty daleko bogatszym od niego. Inna rzecz dopiero naprawdę ubodła oficerstwo, a mianowicie przymus do robót fizycznych. Amerykanie słusznie uznali pracę i pobyt na świeżem powietrzu za najlepsze lekarstwo na fizyczny i moralny letarg jeńców, i postawili przedewszystkiem zasadnicze wymaganie, by każdy jeniec w obozie czemś się zajmował.

Prawda, że szeroki i liberalny był system uwolnień od robót fizycznych: ktokolwiek pracował, czy to jako aktor w teatrze, czy jako docent na kursach, czy jako technik w którymkolwiek z warsztatów obozowych, figurował na *special duty list* i do robót fizycznych nie był pociągany. Natomiast przeciętny oficer, nie posiadający żadnych specjalnych uzdolnień, musiał coś robić fizycznie, a przynajmniej udawać, że coś robi, i spędzać większą część dnia na powietrzu. Ludzie się wnet opalili (choć to była zima), zmężnieli, nabrali wilczych apetytów i doskonałego snu. Ale wyhodowana przez rosyjskie warunki niechęć do wszelkiej pracy w połączeniu ze staroświeckiemi przesądami stanowemi, wreszcie normalna reakcja natury ludzkiej przeciw wszelkiemu przymusowi sprawiły, że roboty amerykańskie stały się wielce niepopularne i wykręcano się od nich, jak kto mógł. Prawda, że wymyślali też Amerykanie czasem w braku czegoś lepszego zajęcia podobnie bezcelowe, jak swojego czasu wymyślał dla swoich katorżników ów sławny gubernator sachaliński, co kazał budować gościniec, a potem go rozbierać, albo wykopywać rów, a potem go zasypywać. Tak i Amerykanie ze sterty kamieni, która od niepamiętnych czasów była ułożona koło drogi na środku obozu i pewnie przez Moskali przeznaczona do jakiejś niewykonanej budowy, kazali przenosić kamienie i zasypywać niemi najniepotrzebniej mały dół w pobliżu. Ta robota była specjalnie znienawidzoną: jeden z kolegów (sędzia z Wadowic) wykonywał ją w ten

sposób, że nosił tam i nazad w kieszeni płaszcza jeden i ten sam niewielki kamień, który kontrolującemu żołnierzowi amerykańskiemu na żądanie pokazywał. Dała też ta robota temat do jednego z najdowcipniejszych kartonów humorystycznych w czasopiśmie obozowem. Tytuł: »Przyczynek do filozofji historji«. Cztery obrazki. Pierwszy: Około roku 1000 przed Chrystusem. Asyryjczycy budują świątynię. Wojownik z kręconą brodą i lancą pilnuje niewolnika-żyda, który dźwiga kamienie do tej budowy. Żyd, zbiedzony i obdarty, usiadł zmęczony na kamieniu i rozmyśla: »Czy też za tysiąc lat będą jeszcze istnieli jeńcy wojenni?« — Obrazek drugi: około narodzenia Chrystusa. Rzymianie budują twierdzę. Legjonista z dzidą pilnuje jeńca-Germanina w łachmanach, który dźwiga kamienie do budowy i usiadłszy dla wypoczynku po drodze, rozmyśla: »Czy też za tysiąc lat będą jeszcze istnieli jeńcy wojenni?« — Obrazek trzeci: około (ale bardzo około!) roku 1000 po Chrystusie. Krzyżacy budują kościół. Wsparty na mieczu brodaty krzyżak pilnuje wynędzniałego Litwina, który dźwiga kamienie do budowy i przysiadłszy, rozmyśla: »Czy też za tysiąc lat będą jeszcze istnieli jeńcy wojenni?« — Obrazek czwarty: około roku 2000 po Chrystusie (szczyt pesymizmu w jenieckich prognozach!). Amerykański żołnierz z bagnetem na karabinie i wyszczerzonemi kłami pilnuje jeńca w typowym, szarym, watowanym płaszczu chińskim, z Czerwonego Krzyża szwedzkiego. Jeniec nosi kamienie, przysiadł na chwilę i rozmy-

śla: »Czy też za tysiąc lat będą jeszcze istnieli jeńcy wojenni?«.

Dopiero z wiosną, gdy zaczęły się sensowniejsze roboty — urządzanie ogrodów i boisk sportowych w obozie — i gdy słoneczko na dwór wabiło, jeńcy poczęli raźniej garnąć się do pracy fizycznej. Ale przedtem jeszcze, w zimie, zamącił stosunki z Amerykaninami jeden incydent na tle politycznem, który wtedy wywołał burzę w szklance wody, a dziś, gdy nań patrzę poprzez tyle poważniejszych scen z lat następnych, wydaje mi się także przedewszystkiem komicznym. Wiąże on się z antagonizmem pomiędzy obydwoma okupantami: Ameryką a Japonją. Jak już wspomniałem, Japończycy starali się zjednać sobie głównie burżuazję (choć ją właściwie systematycznie wywłaszczali), i operowali oddziałami partyzanckiemi w rodzaju kozaków Kałmykowa. Amerykanie przeciwnie, szukali oparcia głównie w masach proletarjatu: rozmyślnie rozrzucali pieniądze między tłum, przepłacając wszystko co kupowali, przytem ich towarzyskość, a w szczególności miłość do dzieci, ujmowała ludzi. Na terror kałmykowski patrzyli z ukosa, ale bez interwencji, choć głupi a zapalczywy ataman próbował z nimi zadzierać przez prowokacyjne rozkazy — w jednym z nich nazwał *Y. M. C. A.* organizacją żydowsko-masońską. Ale oto zaszedł wypadek, w którym już zażądano interwencji amerykańskiej. Część kozaków kałmykowskich zbuntowała się, wystawiając żądania wcale nie bolszewickie, po części nawet na tradycyjnych zasadach

samorządu kozackiego oparte, ale w oczach Kałmykowa niesłychane. Żądali więc powszechnego nauczania po stannicach kozackich, żądali kontroli »Koła Kozackiego« nad polityką dowództwa i perjodycznych wyborów atamana. Bunt oczywiście, jak zwykle rosyjskie sprzysiężenie bez pomocy z zewnątrz, był zorganizowany niezdarnie i nie powiódł się. Siedmiuset ludzi, znalazłszy się w położeniu bez wyjścia, udało się pod opiekę Amerykanów. Ci przenieśli ich do obozu jeńców w Krasnej Rjeczce, gdzie im udzielono schronienia i traktowano ich jako gości i sprzymierzeńców. Spowodowało to wielkie niewygody dla jeńców, różne przeprowadzki i ograniczenia w korzystaniu z jadalni, gdzie przed nami wydawano obiad kozakom. Protesty jeńców amerykańska komenda pojęła jako bunt i zastosowała do nich obostrzenia i represje. Był to okres największego napięcia między Amerykanami a jeńcami. Oficerowie byli wtedy przez dwa tygodnie pozbawieni wszelkiej pomocy żołnierzy w gospodarstwie, i żołnierze, jakby umyślnie na ten czas od robót zwolnieni, mogli się z satysfakcją przypatrywać, jak myśmy myli naczynie, wynosili w kubłach pomyje, zamiatali kurytarze i czyścili miejsca niegodne wspomnienia. Skończył się zresztą ten okres niedługo, bo kozacy rychło poczęli obóz opuszczać. Amerykanie mianowicie, by nie dopuścić Kałmykowa do sądzenia zbuntowanych, sami urządzili jakąś parodję sądu wojskowego, i w rezultacie uwalniali z obozu po kilku ludzi dziennie, którzy rozchodzili

się po stannicach. Wobec tego zaś, że Kałmykow żądał zwrotu koni i rynsztunku buntowników, uwalniano kozaków z obozu z końmi — czasem nawet dwoma lub trzema na jednego — i wskutek tego potaniały konie we wszystkich wsiach okolicznych. W Chabarowsku pułkownik amerykański, zaproszony na zjazd kozacki dla wyjaśnienia swego postępowania, otwarcie już kpił sobie w odpowiedziach z swego rosyjskiego audytorjum: argumenty dotyczące bolszewickich rzekomo dążeń zbuntowanych kozaków nazwał »metafizyką«, sam wysunął popularny wówczas argument samookreślenia, a zapytany, coby zrobił, gdyby kozacy się samookreślili jako bolszewicy, odrzekł, że »choćby się samookreślili jako anioły«, on nie miałby nic przeciwko temu.

Takie to miłe figliki wzajemnie sobie wyprawiały wojska różnych państw koalicyjnych na Dalekim Wschodzie.

Zarzut bolszewizmu, stawiany Amerykanom już przez Kałmykowa na Wschodzie, a potem i przez rząd kołczakowski w Syberji środkowej, nie był, mówiąc poważnie, tak zupełnie bezpodstawny. Jest faktem, że Amerykanie sprzedawali broń i zapasy wojenne jedną ręką rządowi Kołczaka, a drugą partyzantom (bo brano do niewoli partyzantów z amerykańskiemi karabinami) i że w kopalniach węgla w Suczanie, na zebraniu strajkujących górników, jako agitator przemawiał oficer amerykański (choć później w urzędowem zaprzeczeniu twierdzono, że był tam dla utrzymania porządku parlamentarnego).

Takie kokietowanie z bolszewikami, tak samo, jak wyrabianie sobie popularności wśród proletarjatu, było wyraźną przestrogą dla Japończyków, by się nie posuwali zbyt daleko w głąb Syberji, bo Amerykanie przez swój wpływ mogliby wzniecić przeciwko nim powstanie mas. Amerykański ambasador z Tokjo też w ostatniej chwili przeszkodził zawarciu traktatu sprzymierzeńczego między Kołczakiem, Japonją i Niemcami.

Obóz na Krasnej Rjeczce opuściłem, by wstąpić jako ochotnik do wojsk polskich w Syberji środkowej. Obóz w lecie r. 1919 objęli od Amerykanów Japończycy. Ci, jako naród feudalny, okazali więcej szacunku dla tradycyjnych pojęć o stanowisku oficera: zezwolili znowu na obsługę i do żadnych robót nie zmuszali. To też według wiadomości listownych, jakie miałem, niebawem znów zaczęło się objawiać wśród oficerów dawne próżniactwo i dawne niechlujstwo jenieckie. Ale nawet po niedługich rządach japońskich, żaden z tych, co byli ze mną na Krasnej Rjeczce pod Amerykanami, chyba nigdy do końca życia nie zapomni tych lekcyj demokracji, pracy i higjeny, jakie nam przez swe drakoniczne zarządzenia dali nasi wychowawcy z za Oceanu.

Zanim się rozstanę z tym amerykańskim epizodem mojego życia, poświęcę jeszcze choć kilka słów Yankesom-Polakom. Jak już mówiłem, było ich wielu wśród żołnierzy tej kompanji, co naszego obozu strzegła, tak, że nawet sierżant mi mówił, iż

chcąc zebrać Polaków na jaki polski odczyt, najlepiej byłoby zaalarmować całą kompanję i potem powiedzieć, że nie-Polacy mogą iść do domu. Otóż w jednem sprawiedliwość tym amerykańskim rodakom oddać muszę: mówili po polsku czysto, bez domieszki amerykanizmów, akcentem podobnym do wielkopolskiego. I to jeszcze, że o wielkich ludziach i wypadkach naszych dziejów, szczególnie porozbiorowych, byli przeważnie należycie poinformowani, bo każdego z nich w jednej z osiemnastu szkół polskich w Chicago tego wszystkiego jeszcze w dzieciństwie doskonale nauczono. Jeżeli pod tym względem odbijali oczywiście korzystnie od Polaków wychowanych w głębi Rosji, to mniej korzystnie sprawa się przedstawiała, gdy rozmowa dochodziła do krytycznej kwestji powrotu do kraju. Wtedy amerykański żołnierz-Polak się wahał, mieszał, wykręcał, nie twierdząc, że nie pojedzie nigdy, ale i nie twierdząc, że pojedzie rychło, i koniec końców, po kilku wymijających frazesach, siadał na ulubionego konika każdego obywatela amerykańskiego, dowodząc, że przedewszystkiem na razie wraca do Stanów Zjednoczonych, bo tam jednak jest naogół pod każdym względem lepiej, niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Ta bezustanna reklama wszystkiego co amerykańskie, od Pana Boga i konstytucji do jedzenia i urządzeń domowych, jest najbardziej nużącą, stałą cechą wszelkich rozmów z Amerykanami. Zamęczał mnie nią jeszcze przezacny i nieoceniony nasz przy-

jaciel Mr. Convis z Milwaukee, przedstawiciel *Y. M. C. A.* przy polskich wojskach na Syberji. Choć ma w sobie taka »samochwalba« coś niekulturalnego według naszych europejskich pojęć, trudno jednak zaprzeczyć, że ma także coś nieprzeparcie imponującego. Przemawia z niej zdrowy optymizm narodowo-państwowy, przemawia mocna i entuzjastyczna ufność w postęp i wzrastającą potęgę własnej ojczyzny, przemawia zwycięska wiara, że świat jest w przededniu hegemonji amerykańskiej. Może się nam starym Europejczykom nie bardzo uśmiechać ta perspektywa przodownictwa »barbarzyńców« transatlantyckich, bez tradycji i bez stylu życia, ale nie można nie pragnąć, by jako dobry przykład choć coś z tej radosnej amerykańskiej wiary w siebie samych udzieliło się naszemu wyzwolonemu i zjednoczonemu narodowi, w którym teraz każdy obywatel zajęty jest przedewszystkiem zgryźliwem krytykowaniem, ze swego kąta wszystkich szczegółów nowego życia państwowego polskiego.

VII.

Ostatnie legjony.

»Nowem San Domingo« nazwałem organizację wojska polskiego na Syberji w liście do delegata Polskiego Komitetu Wojennego w Chabarowsku, gdy ten nalegał, bym opuścił bezpieczny obóz amerykański i wstąpił. Przeczuwałem, że rozegra się ten sam stary, historyczny dramat żołnierza-tułacza polskiego, wśród nowych tylko dekoracyj: zamiast żarów tropikalnych — mrozy syberyjskie, zamiast pachnących lasów podwzrotnikowych — tajga szumiąca, zamiast żółtej febry — tyfus plamisty, zamiast murzynów — bolszewicy partyzanci. A w sercu ta sama beznadziejna tęsknota za dalekim krajem, a na karku to samo jarzmo cudzej służby pod polskim znakiem.

Zaś dla tych, co wkońcu dostali się do niewoli, zamiast plantatorów angielskich na Jamaice — nowa władza sowiecka na Syberji i katorga dla niej po kopalniach, lasach czy urzędach.

Sprawdziło się niestety wszystko, aż nazbyt wiernie, i gorzko robi się na duszy, gdy dziś w budżecie p. Michalskiego czytam, że Polska za tę tra-

gedję kilkunastu tysięcy swego żołnierza winna jest Republice Francuskiej — 50 miljonów franków!

O losach piątej dywizji Wojsk Polskich na Syberji dość wiele już u nas pisano i rozprawiano. To też ja tutaj uwydatnię tylko pewne rysy zasadnicze, które w historji tej formacji ukazują nam typową tragedję legjonową, a zarazem w małych ramach świata emigracyjnego wierne odbicie tego, co równocześnie działo się na wielką skalę na widowni polskiej.

Pęd do tworzenia siły zbrojnej polskiej we wszelkich, choćby najmniej sprzyjających warunkach, był stałym objawem siły żywotnej i niegasnącego zmysłu państwowego naszego narodu przez całe stulecie porozbiorowe. On wydał ideologję legjonową we wszystkich jej przejawach, od Dąbrowskiego i Kniaziewicza do Piłsudskiego i Hallera, od nieśmiertelnej piosenki Wybickiego do śpiewek leguńskich wojny światowej. Owocem tego impulsu też była niepohamowana akcja w kierunku wydzielania wojskowych Polaków z armji rosyjskiej w osobne formacje polskie w rewolucyjnym roku 1917, — akcja, której w imię rozwagi, ekonomji sił narodowych i uzgodnienia działań emigracji i kraju, bezskutecznie się sprzeciwiał p. Aleksander Lednicki i jego obóz, niesłusznie za to ponad wszelką miarę napastowany i bezczeszczony. Powstał więc korpus Dowbór-Muśnickiego, głównie z byłych wojskowych rosyjskich, i chociaż nie w wymarzonej aureoli zwy-

cięstwa, jednak wreszcie »przeszedł Wisłę, przeszedł Wartę« i wpłynął do rezerwoaru sił krajowych.

Wśród jeńców, wygnańców i rozbitków w głębi Rosji i na Syberji, silny był nadewszystko motyw tęsknoty za powrotem do dalekiego kraju. W miarę, jak się wikłały wypadki w Rosji, nadzieja powrotu w drodze normalnej coraz bardziej się zacierała i wydawać się mogło, że forma organizacji wojskowej jest najwłaściwszą drogą do zdobycia sobie tego upragnionego powrotu własnemi siłami. Powrót w postaci wojska polskiego zalecał się i z tego względu, że konieczność powstania w kraju przeciw rządom okupacyjnym stawała się coraz wyraźniejszą, a na związek między bolszewikami a Niemcami otworzył oczy wszystkim pokój brzeski.

Zadecydował ostatecznie przykład Czechów. Wśród nich dla masy żołnierza niedostępne były wysokie polityczne argumenty o potrzebie wysługiwania się koalicji, a była ta masa opanowana przedewszystkiem tą jedną myślą, żeby zbrojną siłą czy przez Zachód, czy przez Wschód, utorować sobie drogę powrotną do kraju z niewoli, i by tam już się móc obronić od wysłania na jakiś austrjacko-niemiecki front przeciwko Włochom lub Francji. To wszystko zgadzało się z myślami wielu jeńców-Polaków, i dlatego po części z inicjatywy Czechów poczęły tworzyć się w lecie r. 1918 nad Wołgą siły wojskowe polskie. Już tu wyłonił się zasadniczy tragizm, tkwiący w samem założeniu takich formacji: trzeba było dla tworzenia wojska zatrzymać w głębi Rosji

jeńców, którzy jako jeńcy mogli przez bolszewicką Rosję po pokoju brzeskim wrócić z niewoli i wzmocnić zastępy sił krajowych. U Czechów ten nieuniknięty konflikt między koniecznością służby na obczyźnie a pragnieniem powrotu do kraju przyjął później formy ostre: na Syberji, w Irkucku, zbuntowała się część wojsk, i Czesi pozostawili tam 3000 swych żołnierzy, internowanych na ciężkich robotach w kopalniach: odesłał ich do kraju dopiero w 1920 r. drugi rząd bolszewicki. U Polaków, gdy się okazało, że żołnierz jako jeniec byłby mógł rychlej wrócić do kraju, wiele było oporu po całej Syberji wśród jeńców przeciwko wstępowaniu do formacyj polskich, i delegaci werbunkowi przy poparciu Czechów i Rosjan, niejednokrotnie działali na żołnierzy formalnym przymusem w postaci mobilizacji, a na oficerów — presją moralną, groźbami bojkotu w kraju lub donosów na Syberji.

Ponadto u nas tragicznie skomplikował położenie jeszcze inny pierwiastek. Równocześnie z wojskami nad Wołgą, poczęły tu i owdzie po miastach syberyjskich powstawać spontanicznie miejscowe »legjony polskie« (omski, irkucki, charbiński), bo nigdzie impuls do organizowania się w formie wojskowej nie dał się powstrzymać. Otóż we wszystkich tych formacjach obok jeńców, drugi główny składnik stanowili demobilizowani wojskowi Polacy z dawnej armji rosyjskiej, szczególnie oficerowie, pozbawieni gruntu pod nogami przez przewrót bolszewicki. W interesach tych ludzi leżało, jako naj-

bliższy cel, obalenie rządu sowieckiego; tęsknoty za krajem wielu z nich nie odczuwało w tym stopniu co jeńcy, bo byli wychowani w Rosji, spędzili wiek w służbie carskiej, Polski niektórzy z nich wcale nie widzieli i z ziemią rosyjską lub nawet z Syberją byli związani przez stosunki rodzinne, majątkowe i przyzwyczajenia całego życia. Na tem tle wywiązała się w samem łonie nowych wojsk polskich rozbieżność dążeń, która była najistotniejszą przyczyną naszej zguby.

Rozdźwięk ten nie był tak silny, póki pierwsze oddziały wojsk polskich brały udział w walkach na froncie uralskim, gdzie głuszył spory huk ognia nieprzyjacielskiego. W tych walkach, toczonych przy 30-stopniowym mrozie i nędznem wyekwipowaniu, wśród głębokich śniegów, nie brałem udziału, bo wtedy na Daleki Wschód zaledwie słabe, niepewne i sprzeczne dochodziły wiadomości o tworzącem się wojsku polskiem.

Konflikt między cudzemi sobie duchem żywiołami wśród wojska polskiego rozwinął się dopiero w całej pełni, gdy teren walk między siłami bolszewickiemi a antybolszewickiemi przesunął się za Ural, nadzieje przedostania się do kraju przez Zachód poczęły niknąć, ponowne opanowanie Syberji przez bolszewików stawało się prawdopodobne, a w samym rządzie syberyjskim elementy reakcyjno-czarnosecinne wzięły górę nad wolnościowo-rewolucyjnemi. Wobec jawnej już niechęci, zarówno żołnierza czeskiego, jak polskiego, do walczenia na

froncie o restaurację carskich porządków w Rosji, przybyły na Syberję jako organizator wojsk koalicyjnych jenerał Janin, przeznaczył je do ochrony kolei syberyjskiej przeciwko mnożącym się powstaniom. Dywizja polska otrzymała zachodni odcinek, na pierwszych tyłach armji kołczakowskiej, wraz z odnogami Tatarskaja-Sławgorod i Nowo-Nikołajewsk- Barnauł-Siemipałatyńsk, ważnemi jako główne linje dowozu żywności. Tutaj to, w Nowo-Nikołajewsku, jako głównej kwaterze dywizji, w nawpół-pokojowych warunkach życia garnizonowego, rozgorzało w całej pełni przeciwieństwo dążeń i programów pośród wojsk. »Czubarycy«, czyli Polacy z Rosji i »awstrijcy« i »niemcy«, jak znowu byłych jeńców nazywali tamci, patrzyli na się wzajemnie z nieprzejednaną niechęcią. Nawet do czarnosecinnej prasy kołczakowskiej, która już wtedy nas napastowała za to, żeśmy dla Moskali kasztanów z ognia bolszewickiego nie chcieli wyciągać, przez pośrednictwo jednej gadziny dziennikarskiej w naszem wojsku, przedostały się echa o sporach w dywizji między »wostocznikami«, co chcą tylko wyjechać przez Wschód do kraju i pozostawić Rosję jej losowi, a »zapadnikami«, co chcą bić taranem w mur bolszewicki na Zachodzie.

Uosobieniem panującego antagonizmu były dwa sztaby, które na swoje nieszczęście i najniepotrzebniej w świecie nasza dywizja posiadała. Sztab Dowództwa Wojsk stał z małemi wyjątkami wiernie przy Dowódcy, pułkowniku C z u m i e. Wysłan-

nik Hallera i były oficer legjonów, człowiek ideowo czysty, podzielający ideologję państwowo-polską i aspiracje powrotowe ogółu żołnierzy, Dowódca był u nich popularny, i przy tem oparciu byłby może zdołał nadać losom wojsk pożądany obrót, gdyby mu była dopisała siła woli i bystrość myśli wobec tych niezmiernie trudnych zadań już nie wojskowych, lecz politycznych, jakie mu przypadły w udziale. Z drugiej strony dowódca szykowych części dywizji, pułkownik Rumsza, ze swoim (liczniejszym i sprawniejszym) sztabem — krótko zwanym Sztabem Dywizji — reprezentował kierunek, dążący nadewszystko do zużytkowania wojsk polskich na walkę z bolszewizmem wewnątrz Rosji. Przez dziwną ironję losu oficer ten, który bił się chlubnie w mundurze rosyjskim na wszystkich prawie frontach wojny światowej i brawurowo uciekł z niewoli niemieckiej, posiadał w wysokim stopniu te właśnie przymioty, jakich w chwilach krytycznych niedostawało Dowódcy: był nietylko zapamiętale odważny i waleczny w boju — na to w potrzebie stać było i tamtego, — ale był stanowczy i zdecydowany we wszystkich okolicznościach, umiał rozkazywać i przez to mógł budzić uwielbienie jako wódz. Miał za sobą mniejszość oficerów w szeregach, ale mniejszość oddaną i dość silną, a intencjom jego służyły takie atuty, jak fakt, że najwyższe sztabowe stanowiska w wojsku zajmowali oficerowie z armji rosyjskiej, jak wreszcie okoliczność, że jego program był programem rządu kołczakowskiego i dowództwa

francuskiego. Te dwie siły trzymały nas na Syberji i przeforsować przeciw nim zawczasu nasz powrót do kraju byłoby zadaniem heroicznem, do spełnienia tylko przy zupełnej jednomyślności w kierownictwie i duchu wojska, której nam brakło. Pośrednikiem pomiędzy obydwoma sztabami byłby mógł służyć i w ten sposób dywizję od nieszczęść wewnętrznego rozłamu ocalić brygadjer, pułkownik Skorobohaty (Jakubowski), były legjonista i wielce wśród żołnierzy popularny. Jeszcze pod jesień roku 1919, miał on stanąć na czele mieszanego (cywilno-wojskowego) ciała polityczno-doradczego, które chciano utworzyć przy Dowództwie: stworzenie takiego ciała byłby mógł przeprowadzić na naradach Dowódców nad reorganizacją sztabów, zaleconą przez jenerała Hallera. Skrewił jednak, nie pragnąc sobie widocznie z nikim psuć stosunków, i pozostawił dywizję bez ostoi.

Choć się w rzeczywistości nie sprawdziła, ale psychologicznie trafną była cięta uwaga, jaką o tych trzech naszych wodzach zrobił jeden ze starszych oficerów Sztabu, wskazując mi ich na pogrzebie jakichś naszych poległych, gdy szli razem za trumną: »Patrz Pan, oto trzej dowódcy wojsk polskich na Syberji: były (pułk. Czuma), obecny (pułk. Rumsza) i przyszły (pułk. Skorobohaty)«.

W późniejszych, groźnych już momentach, zabezpieczyć nam odwrót na Wschód byłaby mogła tylko ścisła łączność i solidarność z tą znacznie potężniejszą od nas siłą wojskową, jaką byli Czesi.

Tymczasem tego warunku w całym przeciągu sprawy nie było i niestety być nie mogło. Głęboka różnica charakterów narodowych, głucha niechęć między Polakami a Czechami w niewoli, wynikająca z ultra-moskalofilstwa Czechów, wreszcie echa zatargów w Europie o Śląsk w postaci zajadłej kampanji anty-polskiej ze strony syberyjskiej prasy czeskiej (nawet jeden swój pociąg pancerny Czesi nazwali »Cieszyn«) — wszystko to zatruwało atmosferę między formacjami wojskowemi o tak oczywiście jednakowych interesach. Nie brakło przytem polskich oficerów ze służby rosyjskiej na stanowiskach reprezentacyjnych, którzy wobec dojrzewającego rozłamu między Czechami a Kołczakiem dawali Czechom do zrozumienia, że Polacy, jak książę Józef przy Napoleonie, do ostatka stoją przy Kołczaku. Całkiem więc konsekwentnie postąpili w decydującej chwili Czesi, utożsamiając Polaków z kołczakowcami i wydając ich razem bez wszelkiego sentymentu na zgubę dla własnego ocalenia.

Osobliwą i godną osobnego wspomnienia rolę w całym tym tragicznym splocie motywów naszej katastrofy odegrała ta organizacja, która 5. dywizję stworzyła: Polski Komitet Wojenny. Z początku działająca w ścisłej jedności z Dowództwem wojsk, później prowadziła gwałtowną przeciw niemu opozycję na łamach swej gazety »Głos polski«. Prawda, że opozycja ta była skierowana przeciwko klice kołczakowskiej i dawała wyraz słusznemu dążeniu ogółu żołnierzy do kraju, — prawda, że kry-

tykowano rzeczywiste nadużycia w dywizji, w szczególności pokutujący u wielu byłych oficerów rosyjskich z czasów carskich brutalny sposób obchodzenia się z szeregowcem, — ale też zaprzeczyć trudno, że metody tej opozycji prasowej były warcholskie i szkodziły wojsku nazewnątrz i nawewnątrz. Gdzież źródło tego antagonizmu? Polski Komitet Wojenny z chwilą zorganizowania dywizji funkcje swe zakończył, dalsza działalność werbunkowa mogła przejść do wojskowych komendantów punktów zbornych, i funkcjonarjusze Polskiego Komitetu Wojennego powinni byli wlać się w szeregi wojska. Dowództwo zażądało tego nawet kategoryczniee w rozkazie z 15 sierpnia 1919, ogłaszając dezerterem każdego z nich, co teraz do wojska nie wstąpi. Ale i wtedy nie wszyscy usłuchali. Polski Komitet Wojenny bowiem tymczasem, przy pomocy obfitych funduszów koalicyjnych, stworzył zbyt obszerną sieć swych urzędów po Syberji i zbyt wielki aparat, by się jego przedstawicielom chciało rzucać te wygodne i wpływowe stanowiska dla służby w szeregach. To też, przewidując koniec działalności wojskowej, komitet wcześnie począł dążyć do rozszerzenia swych atrybucji na sprawy cywilne natury konsularnej, począł wydawać paszporty obywatelom polskim i tworzyć różne nowe zrzeszenia polskie obok i na miejsce starych. Tu zderzył się z instytucją, która już działała w tym zakresie: z Polskim Komitetem Narodowym w Charbinie, który również pokrył siecią swych przedstawicielstw Syberję i miał na celu

ochronę prawną obywateli polskich. Posiadając pełnomocnictwa od Komitetu Narodowego w Paryżu. Polski Komitet Narodowy uważał się za organ rządowy polski i odmawiał Polskiemu Komitetowi Wojennemu wszelkiej kompetencji w sprawach cywilnych. Gorszące spory między obydwoma komitetami zatruły całą atmosferę życia polskiego na Syberji i skwapliwie były wyzyskiwane przez wrogą nam prasę kołczakowską. Nie doprowadziły do porozumienia nawet dwa zjazdy ogólno-syberyjskie, urządzone w tym celu. I ja jeszcze w Chabarowsku przed wstąpieniem do wojska, pracując w interesie ogółu Polaków nad pogodzeniem wojujących ze sobą przedstawicielstw, nie mogłem dobić się choćby miejscowego kompromisu, głównie wskutek niezwykłej zachłanności i zadzierzystości delegata Polskiego Komitetu Wojennego, który mi nawet raz groził donosem do atamana Kołmykowa na organizacje polskie, urządzające wiece i zebrania bez dyktatorskiej sankcji delegata!

Dziś, gdy patrzę wstecz na te bolesne niesnaski, nie mogę nie widzieć szczypty słuszności w gorzkich słowach tego zniechęconego Polaka syberyjskiego, który mi raz powiedział, że niema co obstawać ani ze jedną, ani za drugą organizacją, bo Polski Komitet Narodowy — to »kołtuny«, a Polski Komitet Wojenny, to »spekulanci«. Rzeczywiście Polski Komitet Narodowy składał się przeważnie z zasiedziałych dawno na Syberji miejscowych obywateli polskich, od kraju dawno oderwanych i wszystkiemi swemi

interesami z gruntem miejscowym związanych: to też ich działalność nacechowana była ciasnotą horyzontów, gnuśnością duchową typową dla dobrobytu rosyjskiego, jednostronną dbałością o materjalne interesy starej emigracji, często nadmierną usłużnością wobec rządu kołczakowskiego, wreszcie pipidowsko-capowickiemi ambicyjkami osobistemi różnych »grubych ryb« zaściankowych, którym zachciewało się tytułu konsulów polskich.

Z drugiej strony Polski Komitet Wojenny, związany blisko z Czechami i wogóle interwenjującemi na Syberji siłami koalicyjnemi raczej niż z funkcjonującym w niej rządem miejscowym, w wewnętrznym swym składzie reprezentował głównie element napływowy i niestały: jeńców wojennych i innych bezdomnych awanturników czasu wojennego, zdemoralizowanych przez częste zmiany losu i położenia. To też nie można uwolnić tej instytucji od ogólnego zarzutu, że wielu jej przedstawicieli poprostu w mętnej wodzie ryby łowiło, w szczególności, że z częstych, niby służbowych, bezpłatnych przejażdżek po Syberji korzystali, by przemycać towary fabryczne z taniego terytorjum kolei chińskiej w głąb Rosji, jak to wtedy zresztą czynił, kto tylko mógł, nie wyłączając wysokich dygnitarzy wojskowych francuskich i angielskich. Jadąc ze Wschodu do wojska, korzystałem z wagonu I. klasy, którym podróżował jeden z członków Zarządu Polskiego Komitetu Wojennego, i dzięki temu na stacji Mandżurja musiałem być świadkiem wysoce kompromitu-

jącej rewizji, która wykryła przedmioty tak zupełnie niczego wspólnego z urzędową działalnością Komitetu nie mające, jak np. spory zapas podwiązek damskich.

Jeszcze jednę stronę działalności Polskiego Komitetu Wojennego wspomnieć muszę — niestety w objawach i skutkach swych także nie dodatnią, mianowicie okrzyczany »bolszewizm« tej instytucji w późniejszych jej fazach. Rzeczywiście, kierownictwo Komitetu widocznie chciało sobie stworzyć możność dalszej egzystencji wobec zbliżającego się upadku rządu Kołczaka i perspektywy nowych rządów bolszewickich. W tym duchu »Głos Polski« drukował w późniejszych miesiącach swego istnienia zupełnie już niedwuznaczne artykuły w gwałtownym rewolucyjno-radykalnym tonie, na temat demokratyzacji wszystkich rządów europejskich w najbliższej przyszłości. Wysiłki te oczywiście owoców nie dały, bo bolszewicy i tak znietli z powierzchni ziemi wszelkie instytucje o charakterze narodowościowym, byłych funkcjonarjuszy Polskiego Komitetu Wojennego rozstrzeliwali i więzili jako twórców kontr-rewolucyjnego wojska, i tylko niektórym niedobitkom udało się za czasów bolszewickich pod flagą komunizmu dalej działać wśród ludności polskiej, czasem nawet nie bez pożytku dla niej.

Chciałbym zresztą wogóle nie wywoływać wrażenia, że działalność Polskiego Komitetu Wojennego uważam całkowicie i wyłącznie za demoralizatorską i awanturniczą. Przyznaję, że wielu przedstawi-

cieli tej instytucji na miejscach — że wymienię tylko miasto Barnauł, gdzie działał profesor Kazimierz Wiakowski — przebudziło ze śpiączki umysłowej i narodowej miejscowy żywioł polski i po raz pierwszy go należycie zespoliło i uświadomiło.

Jeżeli wspomniałem o wyraźnie bolszewickich zapędach w działaniu Komitetu pod koniec ery kołczakowskiej, to dlatego, że nie mógł się ten ton nie odbić niekorzystnie na usposobieniu żołnierza w naszem wojsku.

Gdy we wrześniu r. 1921, przeniesiony z obozu koncentracyjnego w Krasnojarsku do więzienia Wszechrosyjskiej Czerezwyczajki w Moskwie, jechałem pod eskortą przez Omsk, spotkałem się tam z jadącą w głąb Syberji, zdawna oczekiwaną Ekspozyturą Delegacji Repatrjacyjnej Polskiej. Jako jej kierownika radośnie powitałem p. Kazimierza Gintowt-Dziewałtowskiego, który w r. 1919, już w czasach rozstroju stosunków między Komitetem Wojennym a Dowództwem, jako bezsprzecznie ideowa i nieposzlakowana jednostka, starał się na stanowisku wiceprezesa dźwignąć podupadły autorytet moralny Komitetu, a z drugiej strony wytężał do ostatka wszystkie siły, by ratować wojsko od grożącej mu zguby. Zapytałem tedy przy tem ponownem spotkaniu p. Gintowta, jako pierwszego wysłańca z kraju, z którym się stykałem, co też ogół społeczeństwa sądzi o naszej dywizji syberyjskiej. Otrzymałem odpowiedź, że p. Gintowt w kraju walczyć musiał z rozpowszechnioną opinją, iż w naszej dywizji były tylko

dwie kategorje ludzi: czarnosecińcy i bolszewicy. Dziś, gdy z dalszej już perspektywy spokojnie spoglądam na ubiegłe wypadki, nie mogę zaprzeczyć, że i w tej jaskrawej opinji krajowej było coś prawdy. O stronnikach reakcji kołczakowskiej już mówiłem. Jakże miała się rzecz z rzekomem zbolszewiczeniem ogółu naszych żołnierzy? Mówiłem już o tem, że jeniec-żołnierz na Syberji pierwszy okres rządów sowieckich miał we względnie dobrej pamięci; potrąciłem o brutalne, staroświecko-rosyjskie traktowanie żołnierzy przez niektórych oficerów byłej służby carskiej: komendant Sztabu Dowództwa raz w kancelarji, w obecności całego personalu, inwalidę w twarz uderzył! Wreszcie uwydatniłem także demagogiczny ton poczytnej gazety »Głos Polski« w okresie opozycji Polskiego Komitetu Wojennego przeciwko Dowództwu. Do tego wszystkiego przyłączyła się jeszcze podziemna robota samych bolszewików. Jest faktem stwierdzonym, że byli ich szpiedzy i agitatorowie w szeregach naszego wojska. Jeden taki, co był prowiantowym 3. szwadronu ułanów, żyd z Wołynia, później po kapitulacji dywizji wyłonił się nagle jako bolszewicki komendant miasta Krasnojarska i pierwszy począł stosować bezwzględne represje do jeńców. W czasie pobytu dywizji w Nowo-Nikołajewsku, kilkakrotnie na smutnej pamięci »Sucharnym Zawodzie« (fabryce sucharów, koło składów intendenckich za miastem) rozstrzeliwano żołnierzy za udział w tajnych organizacjach bolszewickich. Za obecność przy jednej

z tych egzekucji w charakterze posterunku, był rozstrzelany przez bolszewików jeszcze w kilka miesięcy po zawarciu pokoju z Polską, latem r. 1921, jeden były żołnierz naszego bataljonu szturmowego w tjurmie irkuckiej. Mocno zbolszewiczałe były niewątpliwie szczególnie te pułki, w których — jak w ułanach lub artylerji — dość znaczny procent stanowili żołnierze z armji rosyjskiej.

Najbardziej przenikniętym w całej swej masie duchem bolszewickim okazał się w krytycznej chwili bataljon litewski przy naszej dywizji. Dziwna ironja losu: bataljon ten bowiem, ze swemi pięknemi zielonemi aksamitami i złotą Pogonią na czapkach, był pieszczonem dzieckiem pułkownika Rumszy, który zaopatrywał go najszczodrzej we wszystko, otaczał się nim jak gwardją pretorjańską, miał go koło siebie nawet na letniem mieszkaniu za miastem, — a pod jesień ten właśnie bataljon, mając powierzony sobie ważny odcinek kolei barnaulsko-siemipałatyńskiej, wymordował część swoich oficerów, resztą związał i uprowadził, i pomaszerował *in gremio* do miejscowych partyzantów bolszewickich w tajdze. Łudzili się Litwini, że tym krokiem kupią sobie rychły, z łaski rządu sowieckiego, powrót na Litwę; tymczasem po nadejściu regularnych wojsk bolszewickich zrobiono z nich poprostu 212. bataljon służby wewnętrznej Czerwonej Armji i posłano na garnizon do kopalń kuźnieckich w gubernji tomskiej. Słuszne za tak bezowocne odstępstwo spotkało ich pośmiewisko, gdy później, w lu-

tym roku 1920, część ich przyszła pełnić służbę wart w obozie dla jeńców koło Krasnojarska, gdzieśmy już po kapitulacji dywizji siedzieli, i nasza brać oficerska z za kraty witała ich ironicznemi okrzykami: »Bywajcie, Uciekajtisy! Jak się macie, Uciekajtisy?«

Wobec wszystkiego, com opowiedział o rozwoju bolszewizmu w szeregach za czasów czynnej służby dywizji, dziwnem się nie wyda, że gdy dywizja znalazła się w położeniu krytycznem, przygniatająca większość żołnierzy spokojnie patrzyła na ewentualność nowej niewoli bolszewickiej i bez oporu składała broń. Przyczyniała się do tego także okoliczność, że bolszewicy nęcili żołnierza mirażem rychłego pokoju między Bolszewją a Polską i wywiezienia jeńców do kraju przez Zachód, a z drugiej strony żołnierz po długiem czekaniu zupełnie już był stracił wiarę w powrót do kraju drogą ewakuacji przez Wschód i przez morze. Nawet gdy we wrześniu r. 1919 po długiem milczeniu kraju doszły nas depesze od jenerała Hallera i od Naczelnika Państwa, zapewniające nas o opiece Rządu Polskiego i obiecujące wyjazd przez Wschód przy pomocy Japonji, nasi nieufni chłopi mazurscy odrazu jak jeden mąż oświadczyli, że te depesze pewnie są sfałszowane przez misję francuską dla uspokojenia dywizji, i trwali w przekonaniu, że jeśli nawet na Wschód pojedziemy, to tylko po to, by nas tam na Dalekim Wschodzie oddano do dyspozycji jakiego Siemionowa lub innego anty-bolszewickiego kata i znowu przetrzymywano w nienawistnej służbie na

Syberji. Były zresztą rzeczywiście już poczynione pewne pół-oficjalne kroki w tym kierunku.

Dziwić się też po tem wszystkiem nie można, że po rozbiciu dywizji znaleźli się wśród byłych jej żołnierzy organizatorzy i członkowie »jaczejek«, czyli kółek komunistycznych, że nawet niestety znaleźli się po miastach syberyjskich — Krasnojarsk, Tomsk, Irkuck — donosiciele i ajenci czerezwyczajki z pośród naszych żołnierzy. Dziwić się tylko naodwrót trzeba, i cieszyć się można, że tych komunistów ostatecznie okazało się tak mało. W r. 1921 na siedm tysięcy z górą jeńców polskich, zorganizowanych przez bolszewików w Krasnojarsku w brygadę wojskowo-robotniczą, według urzędowych danych, tylko 61 było zapisanych do »jaczejek«. Klub robotniczy polski imienia Matuszewskiego — tak nazwany według rozstrzelanego przez kołczakowców bolszewika-Polaka, — założony w Krasnojarsku umyślnie dla jeńców z naszej dywizji, stale świecił pustkami. Ogółem rzec można, że nietylko u tych jeńców, co się wyponiewierali po tjurmach i obozach koncentracyjnych, ale u tej większości, która w rotach robotniczych żyła na wolnej stopie i miała możność polepszenia swego bytu, czyściec sowiecki wypalił zarodki bolszewizmu z duszy. Rozstrój gospodarczy, wywołany bezpośrednio i widocznie przez niedźwiedzią politykę komunistyczną, a dotkliwie odczuty na własnym żołądku, szczególnie pod koniec niewoli, w r. 1921, po roku ponownej bolszewickiej administracji na Syberji, był dla zdrowego

rozumu naszego mazurskiego chłopa argumentem najdobitniejszym i rozstrzygającym przeciw propagandzie, którą gorliwie uprawiano żywem słowem i takiemi gazetami jak »Trybuna komunistyczna« moskiewska (zdolnie redagowana przez Marchlewskiego), kijowski »Głos komunisty« lub miński »Młot«. W pierwszych czasach po kapitulacji dywizji wychodził nawet w samym Krasnojarsku polski »Głos komunisty«, redagowany przez renegata-nauczyciela z Galicji, ale rychło zamarł. Tak samo prędko zakończył swój żywot wydawany w Irkucku w r. 1920 »Spartak« polski, ale ten już dlatego, że idąc za ideologją otwarcie wyznawaną przez »brygadę internacjonalną« z Węgrów i Niemców złożoną — którą wnet jako niebezpieczną rozwiązano, — niedwuznacznie propagował zreorganizowanie polskiej dywizji pod auspicjami bolszewików jedynie i wyłącznie dla skorego powrotu do kraju.

Można więc stwierdzić, że niema powodu zbytnio się obawiać zawleczenia zarazy bolszewickiej do Polski przez te tysiące żołnierzy 5. dywizji, które już wróciły, i te setki, które jeszcze powrócą. Nie znaczy to jednakowoż, by wszyscy powracali zahartowani moralnie na czysto, jak stal w ogniu. Bezideowa służba i beznadziejne położenie naszej dywizji za czasów Kołczaka najpierw, konieczność nielegalnego zarobkowania w niewoli bolszewickiej potem, otaczająca atmosfera szybko postępującego rozkładu moralnego wszystkich warstw narodu rosyjskiego przez cały czas, — wszystko to oddziałało

aż nazbyt głęboko na duszę nieobytego z szerokim światem chłopa polskiego. Gdy w r. 1919 był włączony w system reakcji kołczakowskiej, nahajem i karabinem »uspokajającej« Syberję, i poczęto go posyłać na wyprawy karne przeciwko partyzantom, bił się coprawda na tych wyprawach przeciwko znacznej nieraz przemocy ze zwykłą polską fantazją i brawurą: *il y a eu des choses très bien*, jak słusznie mi mówił odważny do zapamiętania uczestnik tych wypraw, szpakowaty chorąży Miłkowski (syn T. T. Jeża, niestety poległy na wojnie r. 1920). Ze czcią i z głębokim żalem chowaliśmy co pewien czas na cmentarzu nowo-nikołajewskim szeregi trumien naszych oficerów i żołnierzy, co po bohatersku krew przelali w tej dalekiej obcej ziemi. »Żegnajcie!« wołał do nich na jednym z tych pogrzebów trzykrotnie z płaczem z głębi serca nasz kapelan ks. M., bezsilny wymowniej wyrazić uczucia, co targały sercem nad temi mogiłami. A Moskale miejscowi drwiąc mówili między sobą, że Polacy wiozą w paradzie na cmentarz trumny pełne piasku, żeby wywołać wrażenie, że się naprawdę biją!

Jeżeli więc miały te wyprawy w sobie poezję bohaterstwa — acz głęboko tragiczną — i przez to coś uszlachetniającego, to z drugiej strony niestety uczył się też na nich nasz chłop za przykładem katowskich ekspedycyj karnych rosyjskich mordować, palić, niszczyć i nadewszystko grabić nie gorzej niż sami Moskale, — tak samo jak Polacy w Hiszpanji za Napoleona nauczyli się hulać nie gorzej od żoł-

dactwa francuskiego, a ponoś już i legjoniści Dąbrowskiego we Włoszech nie byli aniołami. W głębi Syberji, w kraju o tyle pierwotniejszym i przez kilka lat wojny domowej zdziczałym do reszty, w położeniu wskutek ogromnych odległości o tyle beznadziejniejszem niż w dawnych legjonach, i zdziczenie żołnierza polskiego było odpowiednio większe. Sami nieraz w chwilach opamiętania dziwili się swym czynom: widziałem starszego żołnierza, co chwytając się za głowę, mówił: »Cy to jo był, cy nie jo był, co to syćko robił?«

Brakło też niestety na Syberji dostatecznej przeciwwagi moralnej ze strony oficerów, także nadpsutych przez niewolę lub służbę carską. Żołnierz stawał się landsknechtem, oficer z rozpaczliwą determinacją — kondotjerem. Był taki dowódca pułku, co sam cynicznie głosił piękne zasady: »Chłopie, na co twoje oczy patrzą, to twoje!« albo »Dalej chłopcy, odkuć się!« Byli tacy oficerowie, co na serjo bronili bezprawi na wyprawach po wsiach syberyjskich jako odwetu za nasze krzywdy porozbiorowe na Litwie i w Królestwie. Pamiętam głośną wystawę (w lokalu Sztabu Dywizji) stu osiemdziesięciu samowarów, przywiezionych z wypraw; a kto wie, co znaczy samowar w życiu domowem rosyjskiem, potrafi ocenić ten szczegół. Pamiętam, jak musiałem w imieniu Dowództwa przepraszać Czerwony Krzyż amerykański za ograbienie jego pociągu przez żołnierzy naszej kompanji kolejowej. Pamiętam wreszcie to otwarte lekceważenie, z jakiem spotkał się

u ogółu mój wysiłek nad uzdrowieniem — wydanie przez Komisję kulturalno-oświatową broszury o prawach żołnierza na wojnie w opracowaniu jednego z sędziów dywizyjnych.

Pamiętam i te rozpaczliwe listy, które do mnie o tej hańbie polskich znaków pisywał z posterunku na linji kolejowej jeden z moich byłych kazańskich słuchaczy-Wileńczyków, — i jak te listy bezskutecznie odczytywałem w biurach Sztabu. Istotnie, szlachetniejsze jednostki na widok rozwijającego się zdziczenia musiały popadać w desperację. Wielu rozmyślnie ogłuszało się pijaństwem — szczególnie oficerowie najbardziej doborowego i najczystszym duchem legjonowym przejętego naszego oddziału — bataljonu szturmowego. Ten bataljon, jako elita szykowa naszego wojska, najwięcej na wyprawach dokazywać musiał i tak rozsławił imię swego dowódcy, że lud rosyjski podobno mówił: »Polacy, to jeszcze nic, ale te *Dojany*, to straszny naród!« Otóż oficerowie »szturmówki« — najstraszliwiej potem przez bolszewików po więzieniach torturowani i najskwapliwiej rozstrzeliwani — należeli do najtęższych pijaków w dywizji. Sam uczestniczyłem w jednym z pamiętnych trzech wieczorów niebywale obfitych libacyj w kasynie oficerskim, z krakowiakami, strzelaniem z pistoletów i śpiewaniem »Marsyljanki«, a nawet »Czerwonego Sztandaru« po spokojnych ulicach Nowo-Nikołajewska w nocy — na cześć zamęczonego później w omskiej tjurmie kolegi Raczyńskiego, który jako komendant kompanji honoro-

wej, wystawionej dla przejeżdżającego Kołczaka na dworcu nowo-nikołajewskim, odważył się demonstracyjnie odprowadzić tę kompanję do domu.

Ale piła nietylko brać szturmacka. Pili jedni z legunskiej desperacji, inni ze starej rosyjskiej służbowej nawyczki. W przykrej pamięci pozostanie mi scena, gdy w jeden z ostatnich wieczorów w kasynie oficerskim przed wyjazdem dywizji na Wschód miałem mieć odczyt, ale kiedym na odczyt przybył, z rozbawionej i przepełnionej sali wyszedł naprzeciw mnie zakłopotany gospodarz i oświadczył mi, że »już cztery wiadra spirytusu wypili«. W atmosferze tak nasyconej alkoholem wolałem nie wykładać o »Sprawie polskiej w czasie wojny światowej«.

Odczyty moje do oficerów i żołnierzy z zakresu historji i literatury polskiej były głównym moim wysiłkiem nad podtrzymywaniem w wojskach poczucia godności obywatelskiej polskiej. Ale żołnierz, wciąż zawodzony w nadziejach powrotowych, zobojętniał już na ideowe nawoływania, i odczyty w Klubie Żołnierza Polskiego i po oddziałach mało miały powodzenia, prócz jednej serji (o dziejach porozbiorowych), wygłoszonej w klubie pułku pierwszego. Pułk ten — pierwszy co powstał — zespolony ciężkiemi walkami na froncie uralskim w zimie 1918 19 roku, zachowywał do końca szczerze polskiego ducha i bratnią jedność koleżeńską wśród oficerów i żołnierzy. Dobrze charakteryzuje różnice między oddziałami w tym względzie często powtarzane w dywizji żartobliwe określenie jej czterech pułków pie-

choty: pierwszy — to 1. pułk strzelców polskich imienia Tadeusza Kościuszki, drugi — to »2-tes polnisches Schützenregiment«, trzeci — to »tretij sibirskij striełkowyj połk«, a czwarty (w którym koło Wielkanocy r. 1919 był sztucznie rozdmuchany »bunt«, i który za to został rozformowany) — to »czetwiortyj sowietskij piechotnyj połk«.

W gruncie rzeczy żołnierz we wszystkich pułkach wegetował w tej samej smutnej apatji bezpłodnego oczekiwania na upragnione wyzwolenie z Syberji. Przyczyniał się do tego letargu walnie brak wszelkiego związku z krajem i brak namacalnych dowodów troski odrodzonego państwa polskiego o nas. Nietylko z Warszawy długo nie dochodziły nas żadne głosy urzędowe, a z Dowództwa Armji Hallera we Francji tylko rozkazy czysto formalnej natury, spóźnione i nic nie znaczące, — ale, co dla żołnierza było ważniejsze, ustała wszelka korespondencja prywatna z krajem. Były jeniec, służący w dywizji, smętnie wspominał te czasy, gdy jako żołnierz austrjacki w głębi Syberji lub na Dalekim Wschodzie dość regularnie otrzymywał przez Czerwony Krzyż pocztówki, a czasem nawet posyłki od rodziny. Teraz nie dochodziło go nic: ja sam za cały czas służby w dywizji otrzymałem tylko jednę kartkę z domu, i to adresowaną do mnie jeszcze jako do jeńca, i przysłaną za mną do wojska polskiego z obozu jeńców na Dalekim Wschodzie. Z zazdrością patrzyliśmy na Czechów, których w stałym kontakcie z ojczyzną utrzymywała doskonale zorganizowana

i sprawnie funkcjonująca poczta polowa. W tej sprawie, moralnie tak doniosłej, nie mogę uwolnić Dowództwa od zarzutu niedołęstwa i niedbalstwa, zaś wyższych oficerów z byłej służby rosyjskiej, których żądne związki rodzinne ani inne z krajem nie łączyły, od zarzutu braku dobrej woli i braku zrozumienia dla tęsknoty ludzi, zrośniętych całem życiem z Polską.

Pewnem zastępstwem korespondencji z krajem stała się nasza wojskowa gazeta »Żołnierz Polski«, gdy za sprawą naszego przyjaciela, adwokata Kazimierza Gońskiego w Buffalo, poczęliśmy otrzymywać we większej ilości gazety polskie z Ameryki i mogli z nich przedrukowywać wiadomości o wypadkach w kraju. Pozatem jednak i ta gazeta żołnierska nie zdołała spełnić tej misji podniesienia na duchu, której za przykładem »Dekady legjonowej« Godebskiego we Włoszech powinna była służyć. Chociaż pojawiające się w niej wiersze p. Józefa Birkenmajera z Krakowa i innych naszych poetów dywizyjnych były prawdziwym głosem z serca żołnierskiego, jednak »Żołnierz« nie wytrzymywał konkurencji z »Głosem Polskim« Komitetu Wojennego, redagowanym przez umiejętniejszych publicystów, i żywiej pisanym. Przytem »Głos« nie był krępowany przez cenzurę wojskową, która nad gazetką żołnierską nieraz głupią i brutalną dłonią ciążyła. Jako przykład działania tej cenzury wojskowej (jednakowej zresztą ponoś w całym świecie) mogę przytoczyć, że z rozkazu Dowództwa, zredagowanego

przezemnie po otrzymaniu depeszy o wcieleniu nas do Armji Polskiej, skreśliła słowa Krasińskiego »że na ziemi być Polakiem — to żyć górnie i szlachetnie«, może dlatego, że były zbyt wyraźną alluzją do gwałtów na wyprawach.

Z dodatnim naogół wynikiem nad ożywieniem duchowem w dywizji pracował Teatr Żołnierza Polskiego, technicznie bardzo dobrze prowadzony przez p. Czesława Kadena (obecnie artysty teatru miejskiego im. J. Słowackiego w Krakowie), o którym żartobliwie mówiono, że za jednę bitwę dostał stopień podporucznika, mianowicie za bitwę pod Grunwaldem, bo jej rocznicę uczcił pięknem widowiskiem na wolnem powietrzu na temat »Krzyżaków« Sienkiewicza.

Wiele dobrego — jako surogat strzechy domowej — zdziałały także nieocenione Kluby żołnierskie po oddziałach, z wielkim trudem i niemałą zasługą kierowane przez przedstawiciela *Y. M. C. A.* przy dywizji, pana L. C. Convisa z Milwaukee.

W całej pełni natomiast występowała melancholijna apatja żołnierza w postaci charakterystycznej niechęci do wyzwalania się z pęt analfabetyzmu.

Kursy oświatowe po oddziałach, acz prowadzone przez instruktorów pełnych zapału i gorliwości i nie pozbawionych kwalifikacyj fachowych, walczyły z jednej strony z brakiem zainteresowania u audytorjum, z drugiej — z brakiem zrozumienia u dowódców i z trudnością znalezienia stałych go-

dzin dla lekcyj w rozkładzie zajęć żołnierza, zaabsorbowanego w Nowo-Nikołajewsku szczególnie przez warty, a często gęsto wysyłanego na dłuższe wyprawy. Po dłuższem borykaniu się z temi przeszkodami doszedłem do zrezygnowanego przekonania, że służba wojskowa w tych warunkach pół-wojennych i stała, regularna praca oświatowa, to dwie rzeczy trudne do pogodzenia. Istotnie, choć przykro to przyznać, w latach 1920 i 1921 w niewoli bolszewickiej, w niektórych częściach naszej dywizji na robotach państwowych w stałych miejscach pobytu, np. w Znamieńskiej hucie szklanej niedaleko Krasnojarska, pod auspicjami władzy sowieckiej walka z analfabetyzmem dała wydatniejsze pozytywne rezultaty niż za czasów służby w wojsku polskiem.

W końcu tego pobieżnego przeglądu naszych usiłowań oświatowych powracam jeszcze na chwilę do mojej osobistej akcji odczytowej. Co środa miewałem w kasynie oficerskim odczyty o tematach przeważnie wpół-historycznych a wpół-aktualnych, jak »Polska Jagiellońska niegdyś a dzisiaj«, »Mesjanizm naszych wieszczów a patrjotyzm państwowy w dzisiejszej Polsce«, »Nieboska Komedja a zagadnienia społeczne naszych dni«, »Rozwój myśli demokratycznej w Polsce porozbiorowej«, »Księgi Pielgrzymstwa a nasze życie wygnańcze w Rosji«, »Idea legjonowa i jej geneza«. Odczyty gromadziły sporo młodzi oficerskiej, ale u wielu innych nie były zgoła popularne, bo im przeszkadzały swobodnie się bawić przy kieliszku. Popularne być nie mogły

u licznych Rosjanek, co jako żony i — nie-żony oficerów na wieczory do Kasyna przychodziły. Tu dotykam drugiej obok pijaństwa moralnej bolączki naszego wojska syberyjskiego — sprawy nieopatrznych małżeństw, szczególnie licznych wśród oficerów. Nic nie pomogło, że Dowództwo w późniejszym okresie już wprost pod surową karą zakazało oficerom żenić się. Czesi przynajmniej umieli po drodze do kraju w dość brutalny sposób pozbywać się swych żon rosyjskich: nie wiem, czy prawda, że bolszewicy zastawali niektóre z nich zamarznięte na śmierć w zamkniętych i zostawionych wagonach, ale pewnem jest, że wiele z nich pozostało we Władywostoku wskutek orzeczenia Komisji sanitarnej czeskiej, iż zdrowie ich długiej podróży morskiej nie wytrzyma, i były tam ponoś na tem tle nawet samobójstwa. Polak tak nie postąpi: to też zjechało teraz z jeńcami z 5. dywizji do kraju całe mnóstwo istot, których polskie oko często od dam z półświata zupełnie odróżnić nie może, które nigdy się z naszem społeczeństwem nie zżyją i dzieci, już nie mówię w duchu polskim, ale w europejskich tradycjach kulturalnych wychować nie potrafią. Mówię to z całym rozmysłem, choć znam pewne sympatyczne i godne uznania wyjątki.

Trzecie jeszcze zło moralne po pijaństwie i tych fatalnych małżeństwach przyniosła — tym razem szczególnie dla żołnierzy — niewola bolszewicka w latach 1920 i 1921. Tak samo jak najgorszem skażeniem duszy polskiej w zetknięciu z rosyjską jest

nie zatarcie świadomości narodowej, nie zruszczenie narodowe, lecz zmiana psychiki, umysłowości, etyki polskiej na rosyjską, — tak samo najniebezpieczniejszem działaniem bolszewizmu na naszego żołnierza była nie propaganda sowiecko-komunistyczna, — już stwierdziłem, że się nią naogół nie przejął, — lecz zbolszewiczenie poglądów na życie, na pracę, na moralność. Gdy w miarę postępów gospodarki komunistycznej na Syberji kraj pogrążał się w otchłani zbiedzenia i głodu, gdy urzędowe deputaty żywnościowe i publiczne jadalnie sowieckie stawały się coraz niklejszą illuzją, gdy praca w instytucjach sowieckich zamiast środka utrzymania była już tylko czczą formalnością, a od uczciwego zarobku osobistego wciąż jeszcze odcinał każdego powszechny przymus do pracy rządowej, z konieczności rozwinęły się do niebywałych rozmiarów kradzieże dobra rządowego w służbie z jednej strony, najniezdrowsza w świecie tajna spekulacja z drugiej, i obie te praktyki rosyjskie przerażająco się rozpowszechniły wśród naszych wiarusów. Sam pamiętam, jak z okazji mojej wizyty w lecie r. 1921 u grupy naszych żołnierzy, obsługujących pod zarządem kooperatywy jadalnie publiczne krasnojarskie, nauczyciel z Małopolski, co był tej grupy »starszym«, z troską mi opowiadał, że się dziwi, jak Moskale mogą nie widzieć ubytków w swej śpiżarni, bo jedna trójka złożona z apasza warszawskiego, rzezimieszka białostockiego i andrusa z Krakowa, przynosi co kilka dni do domu po kilkaset jaj lub po kilkanaście

funtów masła i sprzedaje te produkty na targu. A »spryciarzy« z dywizji, którzy na bazarze krasnojarskim handlowali gorliwie brylantami i złotem, sam widywałem niemało.

Ludzie tacy oczywiście gruntownie i może nawet na zawsze utracili pojęcie o rzetelnej pracy zawodowej jako podstawie dobrobytu, a za to wzbogacili swój światopogląd typowo rosyjską zasadą, którą z tak klasyczną naiwnością wyraża czynownik w satyrze Szczedrina-Sałtykowa: »Kazna-matuszka nam wsiem kormilica« (»Skarb, to nasza wspólna matka-karmicielka«).

* * *

Pozostaje mi na zakończenie tego rozdziału wspomnieć w kilku słowach o najboleśniejszym ze wszystkich epizodów w dziejach dywizji — o »końcu epopei«.

Wskutek działania przedstawionych już powyżej czynników, co nas zatrzymywały na Syberji, do ewakuacji dywizji zabrano się wreszcie na dobre dopiero w okresie, gdy rząd Kołczaka walił się i ratował ucieczką na Wschód, gdy wojska kołczakowskie rozpływały się i kupą przechodziły do czerwonych, gdy po miastach środkowej i wschodniej Syberji już wypełzały z pod ziemi organizacje bolszewickie, co tam potajemnie przygotowywały grunt, i już wszędzie powstawały tymczasowe Komitety rządzące i Sztaby rewolucyjne. Dowództwo polskie

jeszcze w lecie r. 1919 chciało ściągnąć wojska z dwóch odnóg kolei syberyjskiej, których strzegła część naszych oddziałów, na linję główną. Jenerał Janin wtedy odwołał się do honoru Polaków, nie pozwalającego opuszczać te linje, gdy ich Rosjanie nie mieli czem obsadzić. Ten sam jenerał jednak potem, gdy ewakuacja rozpoczęła się pod złowróżbnemi auspicjami, udzielił nagany naszemu Dowódcy za opóźnienie opuszczenia linji sławgorodzkiej »o 40 dni«. Ten sam wreszcie jenerał Janin, gdy wojska polskie przez krwawą walkę na stacji Tajga (koło Tomska) wstrzymały bolszewików, ale same wiele straciły, na prośbę, by Czesi na pewien czas objęli straż tylną a nam dali pod swoją ochroną się zreorganizować, odpowiedział kategoryczną odmową, oświadczając, że Polacy muszą pozostać w straży tylnej aż do samego Władywostoku. On też wydał potem (i kazał nam ze swojej strony powtórzyć) zupełnie spóźnioną i wprost już śmieszną deklarację neutralności wojsk koalicyjnych na Syberji, i on także, również za późno, dał nam z Irkucka przez arcy-nieudolną Misję wojskową francusko-polską poufne polecenie traktować choćby z dowództwem bolszewickiem dla umożliwienia wyjazdu na Wschód.

Jeszcze mogła uratować nas doskonała organizacja ewakuacji pod względem wojskowym. Tej niestety brakło. Przedewszystkiem zrobiono ten zasadniczy błąd, że ustępując prośbom żon o nierozłączanie ich z mężami, nie wysłano zawczasu rodzin

wojskowych na Wschód, i wskutek tego pociągi wojskowe polskie były pełne kobiet i dzieci, i nieusposobione do walk: słusznie potem bolszewicy określili je jako eszelony uchodźcze raczej niż wojskowe. Powtóre, nie został ustanowiony celowy strategiczny porządek pociągów. Nie jechały na samym końcu eszelony kawalerji, które byłyby mogły w razie potrzeby opuścić wagony i siąść na konie. Wogóle oddziały wyjeżdżały jeden przez drugi w miarę, jak miały gotowe pociągi. Przed wyjazdem, w okresie zestawiania pociągów, były gorszące wypadki, że oddział oddziałowi kradł wagony, a w czasie drogi niemniej gorszące, że oddziały prześcigały się wzajemnie i wbrew wyraźnym rozkazom nie chciały pozostawać na straży stacyj i odcinków.

Po trzecie wreszcie, sama jazda odbywała się w warunkach niezmiernie uciążliwych i zniechęcających żołnierza. Wskutek niedostatku fachowców-kolejarzy — zamiast batalionu inżynieryjnego byłby się przydał cały pułk — cała strona techniczno-kolejowa mocno szwankowała, do czego przyczyniał się i zły już wtedy stan kolei syberyjskiej i bierny opór miejscowej służby kolejowej, która już się przygotowywała do nowych rządów bolszewickich. Od Nowo-Nikołajewska do Krasnojarska — dwa dni drogi najwyżej w czasie normalnym — wlokliśmy się miesiąc, a że to już było w głębokiej zimie syberyjskiej, około Bożego Narodzenia, takie fatalne wypadki, jak zamarzanie lokomotyw na otwartym torze, stawały się coraz częstsze. Mieszały nam od czasu

do czasu wszystkie szyki takie niespodziewane katastrofy, jak np. ogromny wybuch na stacji Aczyńsk, spowodowany niedbałością artylerzystów rosyjskich. Lokomotywy niszczyły się przez opalanie drzewem zamiast węgla, którego brakło. W braku wody często trzeba je było w drodze między stacjami karmić zbieranym do wiader śniegiem. Ciągłe pogotowia i alarmy to w tym celu, to dla ochrony pociągu, nie zostawiały żołnierzom chwili spoczynku nocnego, i zdenerwowanie i znużenie, a pod koniec już apatyczne wyczerpanie, było powszechne.

Do zdenerwowania przyczyniał się także najgorszy w świecie stosunek do cofających się wspólnie z nami wojsk kołczakowskich. Na tle rywalizacji o rychlejszy wyjazd co krok płomieniem wybuchała tlejąca zdawna nienawiść między nami a czarnosecińcami: sam uczestniczyłem na stacji Marjinsk w strzelaninie między naszemi wojskami a załogą pancernego pociągu rosyjskiego. Z drugiej strony wyżsi oficerowie nasi z byłej służby rosyjskiej w starem nabożeństwie do rosyjskich szlif generalskich i wysokich »czynów«, tak czule troskliwi byli o całość dygnitarzy rządu kołczakowskiego, że ku wzburzeniu ogółu wojsk raz wraz przepuszczali pomiędzy nasze eszelony pociągi z jenerałami i ministrami Kołczaka. Nie pomogły kilkakrotne protesty u Dowódcy w pamiętnej nocy na stacji Bogotol, gdzie działy się szczególnie skandaliczne rzeczy tego rodzaju, i ostatecznie — mimo napomnień jenerała Janina — splątaliśmy się w taki kłębek z tą zwie-

rzyną, za którą gonili bolszewicy, że gdyby oni byli nawet chcieli tamtych tylko wyłapać, a nam dać spokojnie na Wschód wyjechać, nie byłoby się to dało technicznie zrobić. A tymczasem przecież i na nas musiało im zależeć wobec stanu wojny z Polską.

Jak rannego w średnich wiekach dobijano »misericordią«, tak nas dobili swą bezwzględnością Czesi. Przewlekali swoją jazdę poprostu dlatego, by się jeszcze po drodze wzbogacić: sam byłem w Krasnojarsku świadkiem ładowania do wagonów całych urządzeń mieszkaniowych. Gdy wreszcie wskutek powolnego tempa popadli w opresję, bez wahania w myśl powziętej dawno decyzji rzucili na pastwę wraz z Kołczakiem i nas, tak samo jak rzuca się na polowaniu wilkom wiezione na saniach prosię, by się wkoło tej tłustej zdobyczy zebrały i zatrzymały. Prowadziłem na stacji Krasnojarsk przez dwie godziny układy z komendantem czeskiej arjergardy o przyspieszenie wyjazdu, i przez cały czas miałem wrażenie, że trykam głową o granitową ścianę.

Kosztem poświęcenia nas udało się później Czechom zawrzeć na stacji Zima korzystny układ z bolszewikami o stopniowe oddawanie im opuszczanych stacyj i toru, i w ten sposób, choć jeszcze nie bez potyczek i strat, wydostali się na Wschód.

Taki sam układ starałem się w imieniu naszych wojsk zawrzeć z tymczasowym rządem miejscowym już w Krasnojarsku, ale przeszkodziła mi wtedy zorganizowana przez pułkownika Rumszę dywersja wojsk kołczakowskich przeciw Krasnojarskowi:

strzelanina na ulicach miasta zaczęła się właśnie wtedy, gdy z francuskim attaché przy naszej dywizji jechałem do Sztabu bolszewickiego na powtórne układy. Chciałem wznowić je w drodze telegraficznej z dalszej już stacji (Kamarczaga), ale przeszkodził mi znowuż dowódca naszej straży tylnej, pułkownik Kogutnicki, rozkazując ciąć druty i walić słupy na linji, gdy ja czekałem odpowiedzi. Po raz trzeci układy rozpoczęły się już na wniosek komendanta straży przedniej regularnych wojsk bolszewickich, zakomunikowany naszemu Dowództwu telefonicznie na stację Klukwiennaja, gdzie dziewiętnaście serbskich i czeskich pociągów bez lokomotyw zamykało nam dalszą drogę. Bolszewicy szybko parli naprzód, nastrój żołnierza naszego już był beznadziejny, 15 eszelonów już było rozbrojonych bez oporu w ciągu ostatnich dwóch dni, i chodzić już mogło tylko o kapitulację. Na dobitek, zanim my parlamentarze dowlekliśmy się saniami nazad na stację Bałaj, już i ten nasz eszelon, wobec którego tam nam wypadło prowadzić układy, uległ był także rozbrojeniu.

Z całą świadomością, że mamy do czynienia tylko z pełnomocnikami straży przedniej bolszewickiej, a nie całej Armji lub Rządu Centralnego, podpisaliśmy układ kapitulacyjny, spodziewając się w ten sposób ratować nasze wojsko od krwawych gwałtów i bezprawi. Układ obiecywał nam nietykalność osób i mienia, zachowanie nam zapasów

żywnościowych na dłuższy czas i pozostawienie nas we własnych wagonach.

Podpisując kapitulację, mieliśmy złudzenie, że przez ten rok 1919, przez który byliśmy odcięci od bolszewików w Rosji, ich republika zrobiła pewne kroki naprzód ku prawnemu porządkowi i uznaniu powszechnych obowiązków międzynarodowych, i że uda się wytargować dochowanie warunków układu ze strony instancyj wyższych. W tej nadziei prowadziłem potem przez cały miesiąc w Krasnojarsku układy z głównym Sztabem przybyłej na Syberję piątej armji bolszewickiej. Istotnie uznać muszę, że spotkałem się z lojalnością u dygnitarzy wojskowych — przeważnie dawnych oficerów. Przewlekano tylko z decyzją co do naszych losów, czekając wiadomości z Moskwy, która widocznie sama nie wiedziała, »co z tym fantem zrobić«. Zaś w sprawie ulg, które można było przyznać na miejscu, znacznie od początku bruździli komisarze-komuniści, przystawieni bolszewickim zwyczajem jako »anieli-stróże« do wszystkich wyższych dowódców. Ostatecznie zły obrót przyjęła sprawa, gdy miejsce przechodzących komend wojskowych zaczęły zajmować stale władze cywilne, zapanował szablonowy teror sowiecki i przekonaliśmy się ku naszemu rozczarowaniu, że bolszewicy przez rok z górą rządów — jak Burboni przez lata wygnania — »niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli«.

Skończyło się wreszcie na rozesłaniu żołnierzy na roboty publiczne, i internowaniu oficerów i inte-

ligentów w obozie dla jeńców. Rozstrzygnięcie to było jednak w czyn wprowadzone tak niepewną ręką i z tak iście rosyjską niedbałością, że mnóstwo ludzi, posługując się różnego rodzaju dokumentami mniej lub więcej fałszywemi, pozostało na wolności, wielu pouciekało z obozów przez Wschód, przez Zachód lub na południe do Mongolji, wielu porozbiegało się i poukrywało po trzech gubernjach: tomskiej, jenisejskiej i irkuckiej. W r. 1921, po zawarciu pokoju z Polską, gdy zaczęła się repatrjacja jeńców, tłumy wiary zewsząd jęły się ściągać do Krasnojarska i zgłaszać do transportu, a kto mógł, wyruszał w pojedynkę na własną rękę do Moskwy. Jeszcze w zimie r. 1921 1922, gdy sam pracowałem w Delegacji Repatrjacyjnej Polskiej w Moskwie, nie było dnia, żeby jeden lub kilku żołnierzy z 5. dywizji nie zapukało do Delegacji, przyjechawszy samopas z Syberji.

Rozpisałem się tu nieco o katastrofie naszej formacji syberyjskiej, bo mój udział w kapitulacji był przedmiotem polemiki po dziennikach w kraju, a najstarszy rangą oficer z delegacji kapitulacyjnej, pułkownik Skirgiełło-Jacewicz, ten przezacny rycerz polski bez zmazy i o gołębiem sercu, nic już nie opowie, bo na wiosnę roku 1920 zmarł na tyfus plamisty w tjurmie krasnojarskiej. I jego i swojemu honorowi więc byłem winien te publiczne wyjaśnienia, które obecnie tem spokojniej drukowi powierzam, że wojskowa Komisja rehabilitacyjna w Warszawie

oczyściła mnie od wszelkiej odpowiedzialności żołnierskiej.

A odpowiedzialność przed własnem sumieniem polskiem i ludzkiem? Dziś, gdy w perspektywie prawie już historycznej widzę i opisuję nieuniknioną konieczność wszystkiego, co się stało, nie robię sobie żadnych wyrzutów za podpisanie aktu kapitulacyjnego. Gdyby jakaś większa część dywizji była obrała jedyną inną alternatywę — dalszy odwrót pieszo lub saniami na Wschód, — byłoby w tej drodze wyginęło i samych wojskowych i ich rodzin bez porównania więcej, niż ich zginęło przez dwa lata niewoli bolszewickiej. Kto widział pochód rozbitków kołczakowskich po obu stronach linji kolei syberyjskiej, kto się dowiedział na miejscach, jak ich mordowali po wsiach gościnni chłopi syberyjscy i dziesiątkował mróz, głód i tyfus, ten już wie z nowego przykładu, jak wyglądał odwrót Napoleona z pod Moskwy w r. 1812, — ten nie żałuje, że cała piąta dywizja tą męczeńską drogą nie poszła. W chwili, gdy to piszę, prawie wszystko, co z dywizji ocalało, już jest w kraju, i można stwierdzić z zadowoleniem, że ogólna liczba strat w poległych, rozstrzelanych i zamęczonych po więzieniach, zmarłych na choroby, wreszcie dobrowolnie pozostałych w Rosji, nie przeniesie chyba półtora tysiąca na stan liczebny około czternastu tysięcy ludzi.

VIII.

Pańszczyzna socjalistyczna.

W pół drogi między Krasnojarskiem a Irkuckiem, na pograniczu obu gubernij, prawie w geometrycznym środku Syberji, leży przy linji kolejowej kilkutysięczna wieś T a j s z e t, dziś podniesiona do godności miasteczka. Zaraz niedaleko za wsią po obu stronach kolei zaczyna się tajga, zrzadka przerywana polami i pastwiskami, powstałemi przez wykarczowanie. To też chłopi tajszeccy połową serca tylko oddani byli rolnictwu i hodowli bydła, a druga ich serca połowa należała do »tajgi-matuszki«: zajmowali się wiele myśliwstwem i rybactwem, a niejeden z nich mniej lub więcej otwarcie starem rzemiosłem zbójnickiem na wielkim trakcie syberyjskim. Ten niespokojny duch ze swej strony tłumaczy znamienną okoliczność, że za czasów powstania przeciwko władzy Kołczaka na Syberji w r. 1919 Tajszet zasłynął jako ognisko szczególnie ożywionego ruchu partyzanckiego: nawet stacja kolejowa tam zgorzała podczas napadu partyzantów na załogę czeską.

Do tej stacji dotarłem, uciekając za przykła-

dem wielu innych wiosną r. 1920 z tego piekła tyfusowo-głodowego, jakim był obóz dla jeńców w »gródku wojskowym« koło Krasnojarska. Uciekałem w dość awanturniczych warunkach, bo schowany za kuframi w wagonie służbowym inżyniera kolejowego Polaka, mianowanego na posadę właśnie do Tajszetu. Ten sam zacny kolega z dywizji polskiej i jego głodująca rodzina potem przez rok nędzy w Tajszecie dzielili się ze mną nieraz ostatnim kawałkiem suchego czarnego chleba i w serdecznych pogawędkach wieczornych wspólnie ze mną przeżywali te kolejne trwogi i nadzieje, które nam przynosił przebieg wojny polsko-sowieckiej.

W słotną Niedzielę Palmową po długich i przykrych żebrackich wędrówkach po wsi znalazłem przytułek na samym jej północnym kraju w chacie bezdzietnej pary starych kolejarzy. Nie przeczuwałem wtedy, że w kącie na kuchni, który mi litościwie ustąpiono, ugrzęznę na cały ciężki rok życia. Dążyłem, jak inni, na Wschód, by przez morze wrócić do Polski, ale zatrzymało mnie w tem ustronnem przytulisku prócz wzrastającego po Syberji teroru sowieckiego jeszcze jedno złudzenie, któremu wtedy uległo wielu: myśleliśmy, że my na Wschód iść nie potrzebujemy, bo Wschód sam przyjdzie do nas. Raz wraz ponawiały się coraz sensacyjniejsze i zawsze za pewnik podawane pogłoski o bliskiej okupacji japońskiej to po rzekę Ob, to nawet po Ural. »Pragnienie myśl zrodziło«, jak mówi Henryk IV u Szekspira: jęcząca pod uciskiem bolszewickim in-

teligencja rosyjska z utęsknieniem wyglądała żółtych wrogów swego państwa jako wybawców.

Miałem paszport cywilny zmarłego na tyfus żołnierza parku automobilowego naszej polskiej dywizji, montera Stanisława Adamskiego z Warszawy, i obawiałem się, by mnie nie użyto do roboty technicznej, w której okazałbym się takim ignorantem i niezgrabą, jakim tylko skończony filozof być może. Mój gospodarz nawet w pierwszy wieczór chciał mnie użyć do naprawy zepsutej dubeltówki, alem udał zmęczonego i położył się spać. Gdym nazajutrz poszukał we wsi zajęcia, na szczęście się okazało, że Tajszet ani elektrowni nie posiada ani innej okazji do monterskiej roboty nie nastręcza: zaś gdy tylko zauważono w gminnem biurze pracy, że jestem jednym z niewielu ludzi w Tajszecie piszących biegle, czytelnie i poprawnie po rosyjsku, że ponadto umiałem sam ułożyć podanie o zajęcie, więc jestem zdatny do pracy konceptowej, w lot zamianowano mnie sekretarzem jednego z najważniejszych nowych urzędów sowieckich w Tajszecie, okręgowego komisarjatu aprowizacyjnego, i na tem stanowisku już pozostałem.

Tajszet, jako stolica »włości«, złożonej z kilku okolicznych wiosek, miał dawniej za wszystkie urzędy jedno »wołostnoje prawlenje«, gdzie siedziało wszystkiego osiem osób zarządu i sił kancelaryjnych. W urzędzie, do którego wstępowałem, także wtedy było razem ośmiu ludzi od komisarza do woźnego. Gdy po roku opuszczałem Tajszet, było

w nim urzędów trzydzieści dwa, zaś mój urząd liczył przeszło 120 funkcjonarjuszy. Te cyfry wymownie świadczą o potwornych rozmiarach, jakie przyjmowała w idealnem państwie socjalistycznem biurokracja.

Dziwniejsze zresztą jeszcze rzeczy działy się przez rok mojego pobytu w tym głuchym zakątku tajgi. Nietylko rozwinął się pod rządami bolszewickiemi w stałą instytucję amatorski teatr ludowy, dla którego mój kolega z dywizji — architekt ze Lwowa — napisał piękną feerję dla dzieci, a jego żona (uczenica Myszugi) muzykę do niej, — nietylko pojawiło się na horyzoncie tajszeckim kino, ale byłem świadkiem rozpoczęcia pierwszego w Tajszecie kursu — gimnastyki rytmicznej Dalcroze'a!

By jednak powrócić do mojej karjery jako urzędnika sowieckiego: zdawaćby się mogło, że skoro już musiałem poddać się panującemu w republice sowieckiej przymusowi pracy rządowej, nie mogłem materjalnie korzystniej trafić niż do urzędu żywnościowego, i to na wsi w głębi bogatej i zawsze sytej Syberji. Tymczasem właśnie w tym roku nacierpiałem się od głodu więcej niż w którymkolwiek okresie mojego tułactwa. Jakim sposobem? By zacząć od drugiego z powyższych punktów: chłopi syberyjscy, którym dawniej istotnie ptasiego mleka tylko brakowało, z ponurą niechęcią patrzyli na przybywające ze świata na falach wypadków politycznych takie figury, jak pracujący po różnych nowych biurach rozbitki z inteligencji i komisarze so-

wieccy, bo wszystko to przysparzało tylko głodnych gęb a za gospodarską robotę się nie brało. Przytem ogłoszone na sam początek nowej ery bolszewickiej doraźne unieważnienie pieniędzy kołczakowskich, podcięło zaufanie do wszelkich pieniędzy wogóle, i za papierki sowieckie nikt niczego nie sprzedawał. Stworzywszy więc z dwoma również w Tajszecie się ukrywającymi towarzyszami broni z dywizji i ich żonami małą kommunę żywnościową, musieliśmy po kolei rozstawać się z różnemi zbędnemi (a często prawie niezbędnemi) artykułami naszej garderoby, aby nabywać jakieś minimum pożywienia dla naszego wspólnego gospodarstwa. Zaś na ubrania chłop był nieopisanie chciwy, bo nabyć materjał skądkolwiek było zupełnie niemożliwe, i Syberja wnet stała się równie obdartą, jak dziś cała Rosja.

Ale służba w urzędzie aprowizacyjnym — u samego źródła żywności — czyż nie zapewniała przyzwoitych deputatów żywnościowych? Bynajmniej. Źródłem żywności rzeczywiście ten urząd miał być, ale nie dla nas Sybiraków, lecz dla głodującej Rosji europejskiej. Wziąwszy pod swą administrację składy miejscowej kooperatywy, która handlem być przestała, urząd zaopatrywał w żywność mieszkańców miejscowych tylko w bardzo ograniczonym zakresie — tylko urzędników sowieckich — i to tak skąpo, że był szereg miesięcy, w którym otrzymywałem wszystkiego razem — świecy i wosku! — tylko

18 funtów szarej mąki na miesiąc i nawet pudełka zapałek doprosić się nie mogłem.

W myśl ogólnych zasad bolszewickiej polityki żywnościowej, na nowoodzyskanej Syberji sieć urzędów aprowizacyjnych po całym kraju zajęła się połowem na olbrzymią daninę żywnościową, którą na rolników całej republiki nałożono. Rozszedł się rozkład (*»razwiorstka«*) tej daniny po gubernjach, powiatach i gminach, i zaczął oprócz urzędów poborczych pracować liczny ruchomy aparat ajentów, oraz — wojska »ochrony wewnętrznej«, egzekwujące uiszczenie daniny. Wzamian za ten faktyczny podatek naturalny chłop otrzymywał zapłatę (według śmiesznie niskiej normy) w pieniądzach sowieckich, za które nigdzie niczego kupić nie mógł — ani szmaty dla baby lub dzieci, ani butów dla siebie, ani gwoździa do podkowy, nie mówiąc już o pługu lub motyce. Punkty rozdawcze przy urzędach aprowizacyjnych chronicznie niczego do rozdania nie miały, choć wciąż na nowo zapowiadano materje, wyroby fabryczne i maszyny rolnicze w nagrodę za wypełnienie »razwiorstki«. W niezatartej pamięci pozostanie mi wypadek, gdy chłop z dalekiej wioszczyny w tajdze przyjechał 90 wiorst po sześć gwoździ do zabicia trumny swej zmarłej żony — i wrócił z pustemi rękoma, bo gwoździ nie było.

Bezwzględność, z jaką forsowano na Syberji daninę żywnościową, robiła wprost to wrażenie, że rząd moskiewski nie ma nadziei utrzymać Syberję długo w swych rękach i pragnie wyssać ją najgrun-

towniej, póki czas. Stawki daniny, dyktowane gminom, były zazwyczaj stanowczo ponad ich siły. Jako przykład przytoczę włość ałzamajską, na wschód od tajszeckiej: pokryta po większej części tajgą, znana była jeszcze przed wojną z tego, że nigdy wyżywić się nie mogła własnem zbożem, lecz dokupywała je, płacąc produktami łowiectwa. I na tę włość w r. 1920 — nałożono 100.000 pudów ziarna daniny!

Najjaskrawszym bodaj objawem tej polityki była niesłychanie wysoka norma daniny siennej, którą jeszcze »za karę«, zdwojono, gdy gubernja krasnojarska pod normą pojedynczą stękać poczęła i uiścić jej nie zdołała. Rezultatem było padanie zdychających koni na ulicach Krasnojarska i masowe bicie bydła przez chłopów na wsi wbrew surowym zakazom.

Zaś ogólny wynik tej polityki na Syberji był jeszcze prostszy: w r. 1921 chłop syberyjski powiedział sobie, że nie będzie już, jak w r. 1920, siał i orał dla innych: kto dawniej uprawiał 30 dziesięcin, zasiał teraz na trzech, by wystarczyło tylko na wyżywienie jego, rodziny i bydła. Nie pomogły zapomogi w ziarnie (*»siem-ssudy«*) i kampanje agitacyjne przez komitety zasiewów (*»posiew-komy«*): danina żywnościowa, choć zredukowana i przechrzczona na »podatek żywnościowy« (*prod-nałog*), nie dała już tym razem prawie żadnego rezultatu, i to jest jedna z przyczyn, dla których tak straszną klęską stał się głód nad Wołgą, powstały wskutek posuchy i nieurodzaju miejscowego.

Już w r. 1920 drażniło ludność to, że wszędzie tylko — bo i we wszystkich częściach Rosji europejskiej — zbierano daninę żywnościową, a dla mas nie było widoczne, gdzie ją rozdano: tworzyły się legendy o wywożeniu ogromnych zapasów zboża zagranicę.

Ale jeszcze więcej musiał drażnić rolnika widok tego, jak fatalnie marnowały się nagromadzone zapasy żywności wskutek złych warunków zmagazynowania i przechowania: składów ani urządzeń, zdatnych do prowadzenia komunistycznej polityki żywnościowej na wielką skalę (prócz kilku elewatorów nad Wołgą), po starym rządzie oczywiście nie odziedziczono, ani wybudować ich nie było możności, a personalu obznajomionego z techniką konserwacji zapasów żywnościowych, również nie było skąd wziąć: nieliczni fachowcy siedzieli przeważnie po więzieniach, jako kontr-rewolucjonerzy. W roku 1921 w areszcie przy czerezwyczajce w Krasnojarsku, gdziem się dostał w czasie najgorętszej wiosennej kampanji zasiewowej, zastałem siedzące tam już od sześciu tygodni prawie całe grono urzędników gubernjalnego oddziału agronomicznego, ludzi z akademickiem wykształceniem rolniczem!

Rezultaty były opłakane. Zamarzły prawie wszystkie zebrane k a r t o f l e — miljony pudów: toczyły się długie dyskusje w dziennikach o sposób zużytkowania zamarzniętych kartofli, a u szerokich kół ludności kartofle już w zimie r. 1920/1921 stały się rzadkim specjałem. Z b o ż e chłop często roz-

myślnie zdawał pomieszane we worku z grudami lodu, by przybyło ciężaru. Aparaty do przewiewania i suszenia zboża były rzadkością w stosunku do ogromnego ich zapotrzebowania, składów nie starczyło: zboże (jak u nas w Tajszecie), leżało sobie w stosach worków pod gołem niebem na mokrem podwórzu, i oczywiście z nastaniem wiosny zaparzało się i psuło. Skandaliczny był początek stosunków handlowych republiki sowieckiej z Włochami: za przysłany do Odessy okręt z lekarstwami sprzedano im okręt zboża, które ku oburzeniu Włochów okazało się zepsute. Tłumaczono, że zwilgło w drodze na Czarnem Morzu!

B y d ł o, pędzone setkami wiorst na punkty zborne, trzymane tam w zagrodach bez paszy, wożone znowuż w wagonach tysiącami wiorst bez pojenia, padało jak muchy. Gdy je bito, nie umiano często (gdzie nie było pod ręką fachowców jeńców austrjackich i niemieckich) zużytkować tak ważnych produktów pobocznych, jak krew i kiszki: wiele tego w samym moim Tajszecie poszło do rzeczki Tajszetki, zanim przybył instruktor!

Co do j a j, sama władza sowiecka w urzędowej statystyce przyznała, że około 40% zebranych jaj zepsuło się wskutek nieumiejętnej konserwacji. Jakaż musiała być rzeczywista cyfra!

Zbierano i k u r y (pewnie żeby za dużo jaj nie było!). Sam widziałem leżące na brzegu Jeniseju w Krasnojarsku 2.000 wyrzuconych kur, które były zdane i zwiezione w stanie niewypatroszonym i za-

częły się psuć. Biedni mieszkańcy Krasnojarska — także nasi żołnierze — potrosze rozbierali i zjadali te nadpsute kury.

Tylko jednego mięsa ponoś nie zmarnowano, mianowicie p s i e g o. Gdy dla gromadzenia cenionych na Syberji psich futer podyktowano daninę z psów (po jednym psie z każdych sześciu chałup), chłopi zdawali z początku nietylko skóry, ale i mięso (dając przez to wyraz ironiczny swej ocenie położenia żywnościowego w kraju). Te bite psy notorycznie wmieszano między bite barany — których w ten sposób można było trochę zeskamotować! — i jestem przekonany, że w r. 1921, jako więzień w tjurmie krasnojarskiej, gdzie ku mojemu zdziwieniu dawano czasem zupę z mięsem (rzekomo baraniem), nieraz jadłem psinę.

Najproduktywniejszym bodaj okazał się właśnie z b i ó r f u t e r, — nietylko psich, ale wiewiórczych i innych. Tutaj bowiem akcja już była racjonalnie zorganizowana przed nadejściem bolszewików przez ogromne kooperatywy środkowo-syberyjskie, które prowadziły handel zamienny z myśliwskiemi plemionami puszcz i tundry na północy Syberji, dostarczając im za to zboża, soli, amunicji, tkanin i innych rzeczy potrzebnych. Wystarczyło nałożyć rękę na tę dziedzinę działalności kooperatyw, by mieć futer poddostatkiem. I tu niedźwiedzia łapa sowiecka wiele napsuła — sporo i w zamieszaniu nakradziono, — ale w każdym razie zdaje mi się, że futra będą jedynym poważniejszym ilo-

ściowo i jakościowo artykułem eksportowym, którym w najbliższej przyszłości po wznowieniu stosunków handlowych z Europą Rosja będzie mogła płacić za to, co dostanie. Mogłaby płacić drzewem, ale w tym celu trzebaby zorganizować cudzemi rękami eksploatację ogromnych obszarów leśnych, która obecnie tak zamarła, że Rosja — Rosja! — sprowadza drzewo z Finlandji.

Gdy w takich całkiem niewesołych barwach na tle ogólnej polityki aprowizacyjnej rządu sowieckiego przedstawiała się działalność nazewnątrz urzędu, w którym pracowałem, niemniej niepocieszające były wewnętrzne stosunki urzędowe. Zyskałem sobie poprawdzie pewną popularność u chłopów okolicznych przez ulgi, jakie im w moim ograniczonym zakresie działania sprawiałem co do daniny żywnościowej i robocizny sowieckiej, ale to też była jedyna może moralna satysfakcja w tej mojej pracy służbowej. Przed nieliczną inteligencją miejscową — lekarzem, nauczycielami niższej szkoły realnej, różnymi rozbitkami z miast — musiałem ukrywać się ze swojem wykształceniem i swojemi interesami umysłowemi. A w urzędzie panowało wokoło mnie chamstwo i analfabetyzm. Nie miałem nawet tej pociechy, którą osładza sobie życie niejeden znękany biuralista: że po odrobieniu swojej ograniczonej liczby godzin wolny jest jak ptak. Wiadomo, że o wolności czyjejkolwiek i jakiejkolwiek w dzisiejszej Rosji mowy niema, i sam to mimowoli przyznał jeden z moich kolejnych zwierzchników, tajszec-

kich komisarzy aprowizacyjnych (były piekarz wojskowy), gdy raz w ferworze dyskusji nad uciskiem daninowym na zapytanie jednego z chłopów, czy w rewolucyjnej Rosji jest wolność, bez ogródek zawołał: »U nas wolności niema!«. Więc co do roboty biurowej: istnieje wprawdzie rządowa ochrona pracy: »Kodeks ustaw o pracy«, wydrukowany na arkuszu, wisi paradnie w każdej kancelarji sowieckiej. Jest tam zastrzeżony ośmiogodzinny dzień roboczy dla pracowników fizycznych, sześciogodzinny dla umysłowych. Ale »przeżywana przez nas przełomowa chwila dziejowa«, »wyjątkowe, krytyczne położenie Republiki«, »konieczność utrwalenia zdobyczy rewolucji« i inne oklepane argumenty, bezustannie zniewalały do prac nadprogramowych: od »naczalstwa« gubernjalnego sypał się grad telegraficznych rozporządzeń o nadzwyczajnych robotach, coraz nowych i obszerniejszych wymagano *swiedienij*, czyli sprawozdań i wykazów statystycznych, w których jak w lesie bez końca się gubiono. Praca w godzinach wieczornych, nieskończone posiedzenia zarządu, zapełniane nieudolną i bezradną gadaniną, urzędowanie w niedziele i święta, były zjawiskami stałemi. Urząd stał »harówką« moją i drugiego kolegi z wojsk polskich, który przybył później. Gdyśmy Tajszet opuszczali, mógł każdy z nas po kolei powiedzieć, jak tysiące naszych rodaków po urzędach sowieckich w Rosji w tym samym czasie: *Après nous le déluge!*

To samo działo się w innych dziedzinach

służby publicznej; bywały wypadki, że praca na kolejach dochodziła do czternastu godzin na dobę. Oczywiście, równomiernie z przedłużaniem czasu pracy padała jej wydatność, i bezskutecznie usiłowano przeszczepić na grunt sowieckiej pracy publicznej wyrobiony przez amerykańskich kapitalistów »system Taylora«, czyli sposób wyciskania maximum produktywności z robotnika. Tak samo premje dla pracowników, zaprowadzone już jako otwarte naruszenie zasad komunizmu, niewiele pomagały, bo obliczenie ich było niesłychanie skomplikowane a przedewszystkiem wydawnictwo nader nieregularne.

Wszystko to nie byłoby jeszcze straszne dla człowieka, przywykłego do pracy na sposób zachodni. Ale gorszą daleko zmorą, jak dla wszystkich pracowników-inteligentów w Republice sowieckiej, stała się dla nas ta najwymyślniejsza tortura, jaką dla znęcania się nad inteligencją w państwie bolszewickiem wynaleziono, mianowicie tak zwane *woskresniki* i *subbotniki*, czyli »niedzielki« i »sobótki«, jak je ponętnie nazwali polscy komuniści. Były to nadzwyczajne roboty fizyczne, organizowane w imię gwałtownych potrzeb Republiki poza zwykłemi godzinami pracy, i otoczone paradą chorągwi i przemówień (czasem nawet muzyki), jako dobrowolne niby porywy ofiarności obywatelskiej na ołtarzu socjalistycznej ojczyzny. W rzeczywistości groźbami kar dyscyplinarnych wymuszano powszechny udział inteligencji biurowej w tych robotach i z rozkoszą

się jej przypatrywano, jak »ciupała« kilofami zamarznięty gnój i błoto po stacjach i torach kolejowych, dźwigała, stękając, worki z mąką lub deski z tartaku, ładowała i wyładowywała pociągi i statki, jak panie i panienki myły podłogi w koszarach Czerwonej Armji. Sam wyniosłem z tej kampanji szramę na palcu, na który mi spadł dźwignięty niezręcznie próg kolejowy. Nauczyłem się na »woskresnikach« bogobojnej czci dla tej pracy fizycznej, ale znienawidziłem ją chyba jeszcze bardziej niż szycie, pranie bielizny i gotowanie, którego w różnych stadjach życia jenieckiego wypadło mi dla własnych potrzeb potrosze się nauczyć.

Niemniej ciężko niż inteligencja, wzdychał pod robocizną sowiecką chłop. Jego eksploatowano szczególnie przez bezustanne żądania podwód na przeróżne cele wojskowe i cywilne. Do wściekłości musiało osobliwie doprowadzać chłopów ciągle szastanie się komisarzy i dygnitarzy wojskowych na chłopskich podwodach, nawet w najgorętszy czas robót polnych, po różnych przejażdżkach niby-służbowych na setki wiorst poza obrębem tak nierozwiniętej w Rosji sieci kolejowej. Gdy nadużycia w tym względzie doszły do rozmiarów niebywałych, spróbowano w r. 1921 unormować te obowiązki obywatelskie chłopa i poprostu wydano dekret, że jego konie i wóz, czy sanie, mają być na usługi państwa przez 30 dni w roku. Lekarstwo było gorsze od choroby: boć to wszakże już było cynicznem zupełnie

wskrzeszeniem pańszczyzny po wszelkiej formie, i tak też chłopstwo je przyjęło.

Ależ, mógłby ktoś zarzucić, pracownicy w biurach, fabrykach i innych instytucjach o robocie zbiorowej przynajmniej mogą się bronić przeciw nadmiernemu wyzyskowi ich siły roboczej, czy to przez przedsiębiorcę, czy nawet przez państwo, zapomocą związków zawodowych, zajmujących się ochroną interesów pracownika. Rzeczywiście, związki zawodowe w sowieckiej Rosji wszędzie istnieją i nawet na mocy »Kodeksu o pracy«, wszędzie tam powstać musiały, gdzie ich przedtem nie było. Ale i one z narzędzi samoobrony zmieniły się wnet w narzędzia teroru i ucisku. Traktowano je głównie jako organizacje dla urządzania »woskresników« i innych manifestacji zapału dla rządów sowieckich, i starano się zapewniać ich kierownictwo przedstawicielom partji rządzącej. Sam na zebraniu związku zawodowego moich kolegów biurowych byłem słuchaczem naiwnego przemówienia agitacyjnego tej treści, że członkami zarządu nie muszą być koniecznie wybrani sami partyjni komuniści, ale jest pożądane, by wybierano tylko takich. A do partji nie należała bynajmniej elita, lecz przeciwnie, wzgardzeni powszechnie ciemni awanturnicy i wyrzutki. Perjodyczne »czyszczenie« partji, hucznie reklamowane, było poprostu koniecznością wobec wielkiej liczby w jej szeregach elementów zdecydowanie kryminalnych.

Najnieśmielsze odruchy związków zawodo-

wych w kierunku ochrony pracowników przeciw eksploatacji, spotykały się z wybuchami oburzenia ze strony administracji, która miała w ręku prawie nieograniczoną władzę dyscyplinarną i mogła każdego czasu użyć represji. Tak przynajmniej było w instytucjach biurowych, gdzie skupiała się sponiewierana i podejrzywana zawsze inteligencja, i tak było w każdym razie w miejscowościach odległych i małych jak Tajszet, gdzie kacyk-komisarz w swym urzędzie nie potrzebował się bać skarg i zażaleń, bo — po staremu — »Bóg wysoko a car daleko«.

Ale i w samem centrum ten tak osobliwy w państwie socjalistycznem konflikt między związkami zawodowemi a władzą administracyjną wybuchł zdumiewającym płomieniem: na VIII wszechrosyjskim Zjeździe Sowietów w Moskwie w r. 1920 przyszło do charakterystycznej polemiki na ten temat między Leninem a Trockim. Trockij ze zwykłą swą radykalno-doktrynerską śmiałością wystąpił z wnioskiem, by związki zawodowe upaństwowiono i zrobiono z nich organy samego zarządu przedsiębiorstw i instytucyj. Uzasadniał to tem, że w państwie socjalistycznem, gdzie rządzi sam proletarjat pracujący, ochrony pracy przecież nie potrzeba, — a zalecał tem, że zarząd, wychodzący z grona pracowników, potrafi zwiększyć produktowność pracy. Sprzeciwił się temu Lenin z właściwym sobie realizmem politycznym, odziedziczonym po szlacheckich przodkach w przeciwieństwie do żydowskiego fanatyzmu Trockiego: miał odwagę po-

wiedzieć, że w sowieckiej Rosji ochrona pracy jeszcze jest potrzebną, bo żyjemy wprawdzie w państwie komunistycznem, ale z »biurokratycznem wypaczeniem« *(s biurokraticzeskim izwraszczenjem)*; że dekretów o ochronie pracy wprawdzie pisano wiele, ale dekrety to taka »smutna rzecz« *(pieczalnaja sztuka)*, »bo my sami, co je wydajemy i podpisujemy, zapominamy o nich i nie wprowadzamy ich w czyn«.

Dziś, gdy w Rosji ustały już doprowadzone do absurdu »mobilizacje« przymusowe specjalistów wszelkiego rodzaju na roboty rządowe, gdy przez zmniejszenie personalu urzędów sowieckich o 50% stworzony jest ogromny rynek poszukujących pracy, gdy w Moskwie odbywa się zorganizowany strejk profesorów uniwersytetu, słowa Lenina zyskały nowe ciekawe illustracje w rzeczywistości życia republiki socjalistycznej.

* * *

Z udręki tajszeckiej tęskna myśl ulatywała często do tego środowiska akademickiego i do tej pracy uniwersyteckiej, do których przywykłem. Zdawało się, że nawet na Syberji dość ręką sięgnąć, by się w takich warunkach znaleźć. Uniwersytet tomski w latach 1919—1921 kilkakrotnie mnie powoływał na katedrę literatur zachodnich i za sprawą wtajemniczonego w moje położenie polskiego kolegi ponawiał te wezwania nawet wtedy, gdy już ukrywałem się pod cudzem nazwiskiem.

Ale sprawdziły się, jak nieraz na moich losach w tych siedmiu latach, słowa Wergilego:

Tros Anchisiada, facilis descensus Averno,
Sed revocare gradum superasque evadere ad auras
Hoc opus, hic labor est!

Rychło się przekonałem, że jestem robotnikiem pańszczyźnianym także w tem znaczeniu, iż jestem zupełnie po średniowiecznemu *glebae adscriptus*, — przykuty do kawałka ziemi, na którym pracuję. Nietylko skończyła się wszelka swoboda jazdy na kolejach w celach innych niż służbowych, ale urzędy żywnościowe, tak samo jak kilka innych najważniejszych dla państwa kategoryj, ogłoszono »militaryzowanemi«. Nie znaczyło to niestety bynajmniej, byśmy mieli otrzymywać obfity deputat żywnościowy żołnierski, lecz poprostu, że nie mogło być mowy o przeniesieniu do innej dykasterji służby rządowej, o uwolnieniu lub nawet urlopie, czy odkomenderowaniu: wszelkie opuszczenie posterunku służbowego miało być traktowane na równi z dezercją z wojsk w czasie wojennym. Nawet w Tajszecie samym na stanowisko niezbędnego tam nauczyciela języków nowszych w niższej szkole realnej, przenieść się nie mogłem, choć uchyliłem rąbka tajemnicy moich kwalifikacyj fachowych. Do Tomska możnaby się chyba było dostać tylko drogą ryzykownej ucieczki.

Ale czy warto było tam uciekać? Wiadomości listowne z uniwersytetu malowały mi położenie w co-

raz czarniejszych barwach. Nietylko teror — szczególnie silny w takiem zbiorowisku inteligencji, jak miasto uniwersyteckie; — nietylko represje antypolskie w czasie wojny sowiecko-polskiej (które w zacisznym Tajszecie odczuć się nie dały); — nietylko głód, który poczynał srożyć się w miastach syberyjskich zupełnie jak w rosyjskich, — ale przedewszystkiem wszędzie ta sama pańszczyzna sowiecka, te same niewolnicze warunki pracy. Studenci i profesorzy w oczach władz bolszewickich byli zgrają helotów, których chwała Bogu udało się pod przyzwoitym pretekstem spędzić w jedno miejsce, i których teraz można było w tem miejscu trzymać i eksploatować. Rok szkolny rozpoczynał się od półtoramiesięcznej wspólnej pracy profesorów i studentów w lesie o trzy godziny od miasta w charakterze drwali, rąbiących i piłujących drzewo na opał zimowy dla Uniwersytetu. Takie przymusowe ćwiczenia fizyczne mogłyby być i dobre dla zdrowia pracowników umysłowych, tylko nie przy chronicznie pustym żołądku i anemji głodowej. W dalszym ciągu roku szkolnego częste »sobótki« i »niedzielki«, studenci obarczeni całą własną administracją żywnościową i jej skomplikowaną buchalterją, po kilka godzin dziennie stojący w kolejce dla zdobycia marnego kawałka czarnego chleba lub talerzyka wodnistej zupy, wyzyskiwani na wszelkiego rodzaju robotę propagandystyczną pod firmą oświaty ludowej; profesorowie zaprzątnięci ciężką troską o ratowanie swych rodzin od śmierci głodowej, czę-

ściej wędrujący z koszykiem na ręku w poszukiwaniu produktów żywnościowych, niż z teką pod pachą do bibljoteki, pozbawieni możności jakiegokolwiek zarobku przez publicystykę, niezdolni kupić cokolwiek na otwartym rynku, gdzie wprawdzie po miastach pieniądze przyjmowano, ale żądano cen niesłychanych; wszyscy pochłonięci byli praktykowaniem w najboleśniejszej formie zasady: *prius vivere, deinde philosophari.* To też wielu i profesorów i studentów przerywało swą karjerę akademicką haniebną ucieczką od swej *Alma Mater* (a raczej *terribilis noverca):* sam byłem w Tajszecie świadkiem przybycia kilkorga młodzieży obojga płci, którzy radzi byli, że z Tomska z życiem uciekli; a rektor nowego uniwersytetu irkuckiego, anatom Buszmakow, przy inauguracji drugiego roku z rozpaczą stwierdził, że pierwszej zimy 35 profesorów i docentów pod pretekstem ekskursji służbowych uciekło do Republiki Daleko-Wschodniej. Z Rosji, jak się później dowiedziałem, uciekał od początku ery bolszewickiej, kto mógł, z uczonych za granicę; a kto pozostawał, cierpiał największą nędzę. Pamiętam, z jakiem przejęciem czytałem w urzędowej gazecie sowieckiej nekrolog znakomitego archeologa słowiańszczyzny Szachmatowa, pióra Boncz-Brujewicza (dyrektora kancelarji Lenina): w nekrologu jako chluba zmarłego podniesione było to, co jest hańbą dla władzy sowieckiej: że sędziwy uczony, nadwerężywszy zdrowie przez pracę fizyczną i biedę materjalną w swem nędznem gospodarstwie domo-

wem, ostatecznie je stracił, przenosząc własnoręcznie prawie całą bibljotekę rosyjskiej Akademji Umiejętności ze starego lokalu na wozy i z wozów na górę do nowego lokalu, z okazji przymusowej przeprowadzki. Nie zapomnę też łez w oczach długoletniego docenta anatomji uniwersytetu moskiewskiego, Polaka, gdy starając się o wyjazd do Wilna, dokąd go powołano na katedrę, opowiadał w zimie r. 1921/22 w Delegacji repatrjacyjnej polskiej w Moskwie o biedzie, w jakiej żyje.

W roku 1921 stosunki materjalne uczonych rosyjskich na Syberji nieco się polepszyły: jeszcze w roku poprzednim zaprowadzono dla profesorów w uniwersytetach Rosji europejskiej szczególnie wysoki deputat żywnościowy, tak zwany »akadiemiczeskij pajok«, wyższy nawet od wojskowego. Ten deputat nie był z początku rozciągnięty na uniwersytety syberyjskie. Na wiosnę roku 1921 po dłuższej walce im go nareszcie przyznano, i poczęto nawet faktycznie wydawać, dlatego — jak zauważył złośliwie mój polski kolega w Tomsku — że zapasy mięsa, nagromadzone w tomskim gubernjalnym komitecie żywnościowym, poczęły się psuć. Jak zwykle u Moskali, doszło i na tle tego deputatu dla uczonych do różnych absurdów: pamiętam, jak w jesieni r. 1921 wybitny polski historyk sztuki, służący w zarządzie Muzeów Państwowych w Moskwie, opowiadał mi z zakłopotaniem, że wskutek niewydawania przez czas dłuższy deputatu akademickiego otrzymał teraz naraz tytułem zaległości cały pud mięsa i musi

je prędko sprzedawać, by nie zgniło! Powstała też wtedy osobna rządowa instytucja, z jednem z uroczych bolszewickich skróceń nazwana *KUBU*, t. j. *Komitiet ułuczszenja byta uczonych* (»Komitet polepszenia bytu uczonych«). Ta zajmowała się głównie rozdawnictwem darów żywnościowych, przybywających z różnych krajów Europy dla uczonych rosyjskich: około Nowego Roku 1922, przedstawicielstwo polskie w Moskwie miało przyjemność doręczyć jej tysiąc posyłek żywnościowych od uczonych polskich dla kolegów-Rosjan.

Ale powróćmy do stosunków na Syberji i w r. 1920, które były, jak rzekłem, daleko cięższe. Gdybyż owem ciężkiem życiem po miastach uniwersyteckich okupić można było rzeczywistą możność pracy naukowej! Ale i w tym względzie przyszły na uniwersytety gorsze niż kiedykolwiek czasy, zaczynał się ich rozstrój i upadek, jako instytucji naukowych. Bolszewicy ogarnięci (jak to nazywa Carlyle) »namiętnością reformowania świata«, chcieli i cały system szkolny od góry do dołu zreformować. Narobili bigosu w szkolnictwie ludowem, urzeczywistniając piękną w zasadzie ideę »szkoły pracy« w taki sposób, że dzieci żadnej pożytecznej pracy fizycznej się nie nauczyły, a elementarza nie mogły domęczyć; doprowadzili do upadku faktycznej nauki w szkole średniej, demoralizując zarazem młodzież przez udział jej przedstawicieli w Radzie nauczycielskiej — nad demoralizacją pracowały równorzędnie »Komunistyczne Związki młodzieży« ze swemi

nieskończonemi dyskusjami politycznemi między smarkaczami i smarkulami po nocach i przy papierosach; — ale na wypracowanie bolszewickiego statutu uniwersyteckiego, wciąż hucznie zapowiadanego, już się niedowarzone głowy młodocianych sowieckich wielkorządców oświatowych (przeważnie niedokończonych studentów lub dziennikarzy) zdobyć żadną miarą nie potrafiły. Poprzestano więc wreszcie na tem, że otwarto wrota uniwersytetu na ścieżaj wszystkim, co przychodzili. Profesorowie poczęli bronić poziomu nauki uniwersyteckiej, jak mogli, przez zaprowadzanie prywatnych egzaminów wstępnych jako warunku dopuszczenia na różne poszczególne wykłady i ćwiczenia. Na to rząd odpowiedział jedyną nowością, jaką rzeczywiście w zakresie nauki uniwersyteckiej stworzył, mianowicie organizacją »fakultetów robotniczych«. Miały to być kursy przygotowawcze, które w przeciągu 2—3 lat młodzież ze sfer robotniczych i włościańskich, często ledwo z biedą umiejącą czytać i pisać, miały przysposabiać do studjów akademickich — zadanie oczywiście nie do spełnienia. Wabiono chłopców na te kursy obietnicami złotych gór w postaci obfitych deputatów żywnościowych, »manufaktury«, czyli materjału na odzież — magiczne słowo! — i obuwia. Naturalnie wielu z nich, gdy te hojne dary pozostawały przeważnie na papierze — dezerterowali. Tak uczynił młodociany woźny naszego tajszeckiego urzędu: z fakultetu robotniczego uniwersytetu w Irkucku przeniósł się niebawem jako ochotnik do

wojska, gdzie rzeczywiście rychło »zdobył« nieco mundurowego przyodziewku dla rodziny.

Ale w każdym razie, mimo takich odpływów, nowa śluza dla zalewu uniwersytetów przez nieokrzesaną i ciemną czerń była otwarta.

Jeżeli dodamy, że na miejsce schodzących z widowni starszych uczonych coraz więcej przybywa niedokształconych »czerwonych docentów« o kwalifikacjach partyjnych a nie naukowych, nie wyda się przesadą prognoza, że Rosja stoi u progu okresu tak fenomenalnego nieuctwa, iż każdy niedouczony szarlatan z Europy będzie tam mógł zrobić karjerę cudotwórcy w zakresie medycyny, techniki lub jakiejkolwiek nauki teoretycznej.

Wobec takiego rozwoju stosunków uniwersyteckich, wolałem nie narażać się na wpadnięcie do więzienia tomskiej czerezwyczajki gubernjalnej, gdzie moja tomska karjera profesorska byłaby się prawdopodobnie skończyła.

Dostałem się za to do bliższej czerezwyczajki gubernjalnej — krasnojarskiej — najgłupszą w świecie drogą samo-donosu. Gdy bowiem w przededniu zawarcia pokoju w Rydze na pierwszej stronie moskiewskiego pisma urzędowego »Izwiestja« uroczyście ogłoszono, że zaczął w Moskwie funkcjonować Polski Czerwony Krzyż dla ochrony praw obywateli polskich, gdy pod tem ogłoszeniem ujrzałem podpis pani Katarzyny Pieszkowej, żony Maksyma Gorkiego, dobrze mi znanej jako zasłużonej opiekunki więźniów politycznych rosyjskich, — wtedy

ja, nie nauczony sześciu latami doświadczenia rosyjskiego, że tajemnicy listowej w Rosji niema i nigdy być nie może, wyjawiłem własne i kilku tajszeckich kolegów *incognito* w liście do tego nowego Czerwonego Krzyża. Oczywiście list, zamiast do Moskwy, dostał się w ręce najbliższej czerezwyczajki, i rezultatem było, że w sam dzień podpisania pokoju sowiecko-polskiego wchodziłem z paradą do tjurmy krasnojarskiej, gdzie przesiedziałem sześć tygodni, i potem prawie cały ostatni rok pobytu w Rosji spędziłem po więzieniach i obozach robót przymusowych w Krasnojarsku i w Moskwie.

IX.

„Le mie prigioni".

Gdy dnia 17 marca 1921 — w sam dzień ogłoszenia konstytucji polskiej — konwojny w budynku czerezwyczajki krasnojarskiej sprowadził mnie wdół po schodach i wpuścił do ogromnej piwnicy, zapełnionej inteligencją krasnojarską, — rzecz dziwna, w tem zupełnie średniowiecznem więzieniu, oświetlonem na całą długość jedną marną lampką, pierwszy raz od roku odetchnąłem swobodnie. Mogłem nareszcie znowu być sobą, spadła ze mnie maska cudzego nazwiska i okowy służby urzędniczej sowieckiej: byłem w normalnem położeniu człowieka wykształconego i obywatela polskiego pod tym rządem — w położeniu więźnia politycznego. Przez pięć dni, które spędziłem w »Gub-podwale« (»gubernjalnej piwnicy«, jak ją w skróceniu żartobliwie zwano), miałem co wieczór improwizowane odczyty z literatury angielskiej do mych rosyjskich towarzyszy niedoli. Jako pierwszy zużytkowałem temat, który sobie jeszcze niegdyś w Tajszecie przygotowałem na prelekcję wstępną do uniwersytetu tomskiego: »Twórczy optymizm jako cecha zasadnicza litera-

tury angielskiej«. A gdy w ostatnim, o Szekspirze, naszą piwnicę, w ten dzień ciemną (bo w niedzielę dniem elektrownia nie działała), porównałem z katakumbami pierwszych chrześcijan, gdy powiedziałem, że i my tu czcimy naszych bogów — wielkich genjuszów, których tamci na górze nie znają, gdy wkońcu dodałem, że kultura w żadnej na świecie piwnicy na zawsze zamknąć się nie da, i zewsząd wyjdzie zwycięsko na świat Boży, — rozrzewnienie wśród mych rosyjskich słuchaczy było powszechne. Ale dziwniejsze jeszcze doświadczenia miał mi przynieść pobyt w starem więzieniu gubernjalnem, dokąd mnie niebawem przeniesiono. Tu przekonałem się o nieśmiertelnej żywotności wielkich dramatów Szekspira, opowiadając poprostu ich treść w pogawędkach wieczornych audytorjum, złożonemu z dwóch oficerów polskiej dywizji, dwóch urzędników rosyjskich, dwóch wyrostków-gimnazjalistów z głębi gubernji, o typie zupełnie wiejskim, dwóch żołnierzy z Czerwonej Armji, dwóch chłopów ze wsi, zamkniętych za oporność w sprawie daniny żywnościowej, jednego zbiedzonego i ponurego »kniazia« Tatara, jednego młodego zbója z tajgi, co z podróżnych futra zdejmował, i jednego arcy-jowialnego starego recydywisty, fryzjera więziennego, Polaka, raczej podobnego do Zagłoby niż do golibrody: nazwano go też w lot na podstawie moich wykładów — Falstaffem. Cała ta pstra gromadka z najwyższem skupieniem i przejęciem słuchała gadek — nietylko o Shylocku, funcie mięsa ludzkiego

i tajemniczych trzech skrzynkach, nietylko o szkockim królobójcy i czarownicach, o czarnym jenerale weneckim i jego nieszczęsnej żonie, o karczemnych awanturach wesołego księcia Henia, ale i o zagadkowym królewiczu duńskim i o boskiej parze werońskiej, śmiercią uwieńczonej.

Nie będę się rozpisywał o szczegółach życia więziennego. Więzienie bolszewickie — delikatnie nazwane »Domem pozbawienia wolności« w urzędowym żargonie sowieckim — mimo różnych wielce reklamowanych ulg i innowacyj — oświata, koncerty, praca w warsztatach — nie było i nie mogło być lepsze od więzienia carskiego, a musiało być od niego stanowczo gorsze co do wygód, a raczej niewygód materjalnych i co do karmienia więźniów. Kto zaś z moich polskich czytelników jest tak szczęśliwy, że więzień rosyjskich z czasów carskich nie zna, ten niechaj przeczyta prawdziwie dantejski ich opis we »Wspomnieniach z domu umarłych« Dostojewskiego. Szczególnie żywo przypomniał mi się jeden z najpotężniejszych jego rozdziałów, gdym wstąpił w to piekło pary, ohydnych czerwonych ciał ludzkich i potępieńczych wrzasków, jakiem jest ruska łaźnia tjuremna. Zawarłem też odrazu niemiłą znajomość z naczyniem, zwanem »paraszą«, i przechodziłem raz na tydzień mękę manipulacji z niem, gdy na mnie przypadał dyżur w celi. Dręczące szczególnie było to, że kubeł drewniany, w którym przynosiliśmy sobie zupę z kuchni więziennej, był jak dwie krople wody podobny do stojącej w kącie »pa-

raszy«: to filozoficzne uzmysłowienie związku między początkiem a końcem procesu trawienia nie dawało apetytu na zupę, — a w zupie pływała nieprzetarta pszenica, która niestrawiona przechodziła przez organizm, i w takim samym stanie go opuszczała, w jakim doń wchodziła.

Przeszedłem wszystkie trzy zwykłe stadja więzienia politycznego u bolszewików — piwnicę pod czerezwyczajką, tjurmę gubernjalną i obóz robót przymusowych, — i ten sam trzyklasowy kurs po Krasnojarsku powtórzyłem później w krótkości w Moskwie: areszt śledczy przy czerezwyczajce wszechrosyjskiej, więzienie butyrskie, obóz koncentracyjny w starym klasztorze Andronіewskim.

Na roboty przymusowe zbytnio żalić się nie mogę: woziłem wprawdzie jakiś czas w Krasnojarsku wodę, zaprzągnięty zamiast konia do beczkowozu, ale rychło polecono mi pracę odczytową w obozowym *Kult-Proswiecie*, czyli kółku oświatowem, i z tego tytułu uwolniono od robót fizycznych, a nawet puszczano do miasta pod pretekstem przygotowywania się do wykładów w bibljotece miejskiej. To samo »obijanie«, jak taką funkcję nazywa żołnierz polski, wyrobiłem sobie i w obozie moskiewskim, gdzie jednak nosa za bramę nie wytknąłem.

Nagłodowałem się oczywiście po więzieniach bolszewickich bardziej niż kiedykolwiek w życiu, ale także nie do nadmiaru, bo w Moskwie wspomagała mnie perjodycznie żywnością, jak wszystkich

tamtejszych więźniów politycznych, Delegacja polska, zaś przedtem w Krasnojarsku dobrzy koledzy z dywizji polskiej, którzy mieszkali na wolności po mieście i sami biedę cierpieli. Jeżeli ku zdziwieniu wielu mych przyjaciół wróciłem z wygnania z większą może wiarę w naturę ludzką, niż siedem lat temu, to walnie się do wzmocnienia tej ufności przyczynił ten szlachetny komunizm, co kwitł pośród naszych rozbitków na Syberji w najczarniejszych dniach sowieckich, zupełnie jak u chrześcijan prześladowanych w Rzymie cesarskim. Z żywą wdzięcznością wspominam moją szesnastoletnią przyjaciółkę Halę Dzwonkowską z Barnaułu, która słusznie dostała dyplom pochwalny od Delegacji polskiej, bo nacierpiała się dość poniewierki od gburów sowieckich, niestrudzenie przynosząc żywność więźniom polskim w dni *peredaczy*, czyli doręczania produktów. Na szczęście trafiłem we więzieniu krasnojarskiem na czasy, gdy tę przynoszoną żywność rzeczywiście otrzymywał każdy więzień w pełnej ilości: przedtem, w pierwszym ferworze nowych rządów sowieckich, zaprowadzono przez pewien okres i w tym względzie komunizm, kumulowano wszystko i dzielono niby to równomiernie, przyczem oczywiście obławiał się sowicie personal zarządu. Dopiero gdy ludność wskutek tego przestała zupełnie nosić żywność dla więźniów, zrobiono wyłom w systemie komunistycznym i powrócono do dawnego indywidualistycznego porządku. Ta charakterystyczna pierwsza koncesja bolszewików przypomniała

mi pierwszą koncesję rządu carskiego dla Polaków, gdy w r. 1915 komitetowi polskiemu w Kijowie pozwolono dla wywiezionych ze Lwowa zakładników urządzić osobne więzienie, z kratą i wartą według przepisu, ale z pewnemi wygodami wewnątrz. Długo chodziły wśród polskiego świata wygnańczego po Rosji wesołe gadki o tej historycznej »kozie polskiej«, jako pierwszej autonomicznej instytucji polskiej, stworzonej przez rząd carski w myśl obietnic Wodza Naczelnego.

Powracam jednak — do więzienia bolszewickiego. Dni przynoszenia żywności były odświętną odmianą w życiu więźnia i przez to, że w te dni pod pretekstem chodzenia do bramy po produkty mogli się wzajemnie odwiedzać więźniowie z różnych kurytarzy. Po szarzyźnie codziennych (w teorji, a zresztą nie codziennych w praktyce) przechadzek w towarzystwie z własnego kurytarza pogawędki z innymi mieszkańcami tjurmy w dni »peredaczy« zawsze przynosiły falę najfantastyczniejszych plotek politycznych o zbliżających się wielkich zmianach. Takich pogłosek, płodzonych bez liku przez rozgorączkowane mózgi aresztantów, nigdy nie brakło we więzieniach i w obozach jeńców, gdziekolwiek tylko przez te siedem lat siedziałem. Noszą one nawet osobną, ukutą przez jeńców wojny światowej, aromatyczną nazwę »wieści latrynowych«.

Mówiąc o tych długach wdzięczności za pomoc materjalną, jakie szczególnie w ostatnich dwóch głodnych latach u rodaków zaciągnąłem, nie mogę

pominąć pamiętnej dla wielu kolegów z 5. dywizji, zabawnej figury burżuja syberyjskiego, który choć Pogoń w butonierce nosił i ostentacyjnie samo-określał się jako Litwin, a na zachłanny imperjalizm i inne przywary Polaków klął na czem świat stoi, jednak na prawo i na lewo pomagał oficerom i żołnierzom naszym, zawsze miał gości jeńców na obiedzie, niejednemu ułatwił ucieczkę, a często gęsto »naszego brata« (jak mówi Moskal) kropelką czegoś dobrego a mocnego w smutnych dniach pocieszył.

Także dentystka więzienia krasnojarskiego, niejednę niezapomnianą usługę wyświadczyła więźniom-Polakom pod pretekstem opieki nad ich zębami. Nieraz postarała się przedewszystkiem o to, by te zęby miały co gryźć (także zęby niżej podpisanego).

Osobiście też nie mogę dość gorąco uznać poświęcenia tych państwa U., u których znalazłem cudze dokumenty dla siebie, a zarazem pierwszy przytułek po ucieczce z obozu krasnojarskiego jeszcze w roku 1920. Bez słowa prośby z mojej strony rozumiało się samo przez się, że przez cały czas aż do możliwości wyjazdu z Krasnojarska — przeszło tydzień! — przemieszkałem w pokoju, który już zajmował mąż ze żoną, trojgiem dzieci i dwoma dorosłymi braćmi, i gdzie każdej chwili groziła im fatalna w swych skutkach nocna obława policyjna.

Wreszcie, by zamknąć tę listę długów najkapitalniejszym ze wszystkich, na zawsze już brater-

stwem z czasów niedoli związany jestem z temi dwoma stadłami, jednem oficerskiem, drugiem żołnierskiem, które, ukrywając się jak ja w Tajszecie w r. 1920, przyjęły mnie jako stołownika do swego biednego gospodarstwa i w ten sposób ocaliły od niechybnej choroby, którą byłbym napewno przypłacił wikt w jadalni sowieckiej. Poobiednie rozhowory w ich mrocznej, niskiej lepiance, połączyły nas w grono bliskich przyjaciół na całe dalsze życie.

Takie przykłady najszczerzej bezinteresownej pomocy koleżeńskiej — a wyszczególniłem tylko najgłówniejsze — zaiste muszą przeciwważyć w pamięci wszystkie wypadki renegactwa zbolszewiczałych lub sobkostwa spekulantów.

* * *

Przesuwa mi się w pamięci przed oczyma cały korowód współwięźniów z tego roku, którzy za wspólną kratą żyli w najściślejszem możliwem ze mną *contubernium*, i przez to bliżej i głębiej nazewnątrz i wewnątrz poznać się dali, niż się poznają ludzie w zgiełkliwem i zaaferowanem wolnem życiu.

Niewiele będę mówił o najbliższych. Na jednej pryczy obozowej zbratałem się z naszym chłopem mazurskim z dywizji polskiej daleko lepiej, niż za wspólnej służby w jej szeregach; i tuszę sobie, że w niejednej wsi polskiej wspomina się teraz te chwile podniosłego nastroju, gdyśmy razem obchodzili święto Trzeciego Maja, gdym im opowiadał

o Kościuszce czy Traugucie, o Unji Jagiellońskiej czy o Księgach Pielgrzymstwa, gdyśmy razem czcili bohaterstwo księcia Józefa lub rozpamiętywali na dziś i na jutro grzmiące nauki Skargi.

Krótką też tylko, ale serdeczną wzmiankę poświęcę tym paniom i panienkom polskim, co w służbie Polskiej Organizacji Wojskowej lub Sztabu Generalnego wpadły w ręce bolszewików za ich frontem, i za to jeszcze w pół roku po zawarciu pokoju z Polską szyły koszule dla żołnierzy Czerwonej Armji w obozie koncentracyjnym w ponurym starym klasztorze Andronіewskim, gdzie w październiku roku 1921 byłem ich współwięźniem. Otoczone rycerską czcią szczególnie przez jeńców-oficerów węgierskich, niejedną szarą chwilę bytu więziennego umiliły nam swym niewieścim wdziękiem, nieraz mnie do głębi rozrzewniły śpiewem »Rozmarynu«, »Białej róży« i innych naszych żołnierskich piosenek.

Obszerniejszego wspomnienia wymagają osobliwe postacie i osobliwe warunki mych współwięźniów-cudzoziemców, od zbiedzonych siedmioletnią niewolą oficerów węgierskich, z któremi i w Krasnojarsku i w Moskwie łączyło mnie serdeczne koleżeństwo, do najdziwniejszych ze wszystkich — szlachetnych zapaleńców z krajów Zachodu, idealnych sympatyków komunizmu, których władza sowiecka więzieniem karała za ich zbytnią ciekawość w sprawach wewnętrznych raju socjalistycznego, a przez to zarazem skutecznie leczyła z ich utopistycznych złudzeń. Takim był niezwykły okaz Niemca, z któ-

rym przegawędziłem prawie literalnie bez przerwy dwa dni wspólnego aresztu w centralnej czerezwyczajce moskiewskiej. Typowy junkier pruski z pochodzenia i wychowania, baron, oficer ultra-feudalnego pułku kawalerji, jeszcze w czasie wojny przejęty imperjalizmem cesarskim i nawet autor powieści *Bei der Grossen Armee*, nagle podwójnie martwi swoją dostojną rodzinę: poświęca się medycynie — baron von H. cyrulikiem! — i nawet zostaje asystentem skandalicznego w ich oczach *Institut für Sexualwissenschaften* osławionego żyda Magnusa Hirschfelda w Berlinie; a powtóre, wstępuje w szeregi wojujących komunistów, jest przez kilka tygodni nawet dyktatorem minjaturowej niemieckiej republiki sowieckiej w — Skalmierzycach, i stale prowadzi walkę z Scheidemannami i Ebertami, Erzbergerami i Wirthami. W Rosji był na Kongresie Trzeciej Międzynarodówki w r. 1920, a powtórnie już podstępnie go wysłano, widocznie na podstawie tajnego porozumienia między komunistami niemieckimi a rosyjskimi, bo za dużo wiedział o brudnych sprawkach i jednych i drugich. Gdym go spotkał, odsiadywał już drugi miesiąc, nie wiedząc, za co go w Rosji zamknięto i jak się wydostanie. Z uwielbienia dla sowieckiej republiki ochłonął już był gruntownie. Był to chyba najruchliwszy umysłowo człowiek, jakiego w życiu poznałem — kompozytor i pisarz, myśliciel i aktor, artysta i uczony, — dyletant wyższego typu niż Wilhelm, — i dał mi swą osobą ciekawy

obraz tego, co wszystko wyłonić się może z powojennego fermentu rewolucyjnych Niemiec.

Drugą niemniej ciekawą figurą był Hindus-nacjonalista, który jeździł po Europie w poszukiwaniu sympatyków dla sprawy niepodległości Indji. Był w Niemczech, potem w Polsce, gdzie znał osoby z tak przeciwległych biegunów życia politycznego jak ks. Lutosławski i — p. Perl, i skąd pisywał korespondencje do gazet hinduskich o prawdziwym stanie sprawy żydowskiej i o stosunkach narodowościowych na kresach wschodnich. Wreszcie, ciekawy na bolszewików, pozostał we Wilnie, gdy je opuszczały nasze wojska, i za tę ciekawość pokutował więzieniem już od roku, zaniedbany oczywiście przez Misję wielkobrytańską w Moskwie, która tak samo nie przejmuje się losem około trzystu innych jeszcze Hindusów, siedzących po więzieniach w Rosji sowieckiej.

Za ciekawość dostał się także na długo za kratę pewien sympatyczny Włoch, który zjechał do Moskwy jako przedstawiciel od komunistów włoskich i podczas wielkiej parady wojskowej miał niedyskrecję zajrzeć do koszar, by zobaczyć, wielu tam żołnierzy bez butów siedzieć musi, żeby tamci mogli paradować. On także oczywiście był pozbawiony opieki swego rządu, i poczęła go wkońcu na moją prośbę wspomagać żywnością Delegacja Polska w imię starych sympatyj włosko-polskich.

Te trzy wypadki, to tylko charakterystyczne przykłady z pośród długiego szeregu podobnych.

Nie wiem, czy w Europie dostatecznie jest znana historja kilku komunistów francuskich, których tak długo zatrzymywała u siebie gościnna Moskwa, aż próbowali uciec przez Murman, gdzie dziwnym jakimś sposobem potonęli w morzu; z nieudolnego urzędowego zaprzeczenia władzy sowieckiej można wyczytać między wierszami, że potopiła ich bolszewicka straż nadbrzeżna.

Niemniej skandalicznem dla władzy sowieckiej było wystąpienie niezawisłego socjalisty niemieckiego Dittmanna, któremu się udało wydobyć się z raju sowieckiego, i który potem w Niemczech pisał takie rzeczy: że 75% ludności rosyjskiej składa się z chłopów, a ci nawet w teorji jeszcze nie uznali władzy sowieckiej; że niewiadomo, czy zdobycze rewolucyjne bolszewików nie są zbyt drogo okupione zupełną zatratą w Rosji wszelkiej wolności, a w szczególności wolności słowa. Napróżno Lenin usiłował przez polemikę w prasie niemieckiej zatrzeć wrażenie tych oświadczeń.

Przechodzę do trzeciej i najliczniejszej kategorji moich współwięźniów — do inteligencji rosyjskiej, której nigdy tak nie poznałem, jak w tym ostatnim roku mych wędrówek.

Zanim powiem coś o niej jako o klasie społecznej, zastrzegam się zgóry, że dla wszystkich inteligentów rosyjskich, jako ludzi, mam najgłębsze braterskie współczucie. Kto sam za życia nie przeszedł przez piekło, bawiąc wśród nich w sowieckiej Rosji, ten żadną miarą wystawić sobie nie potrafi, jaką

jest otchłań ich nędzy, i jak straszliwe tragedje domowe rozgrywały się przez te ostatnie lata w każdej niemal rodzinie stanu średniego w Rosji. Przytoczę tylko na chybił trafił kilka przykładów z mojego bezpośredniego doświadczenia. Więc przyjaciółka moja w obozie koncentracyjnym w Krasnojarsku, pułkownikowa D., córka zamożnej rodziny ziemiańskiej rosyjskiej (sąsiadów Jasnej Polany), podczas odwrotu z Omska, gdzie jej mąż zajmował wysokie stanowisko wojskowe w rządzie Kołczaka, rozłącza się z mężem, by na jego życzenie śpieszyć dla bezpieczeństwa naprzód do Irkucka. Mąż w Krasnojarsku samotnie umiera na tyfus, ona, powróciwszy tam z dzieckiem, dostaje się na pięć lat do obozu robót przymusowych za rzekomy udział w sprzysiężeniu antysowieckiem, a ubóstwiany jedynak, dwunastoletni Gogo, spędziwszy kilka tygodni na bruku krasnojarskim, kona w szpitalu na suchoty i przy ostatniem widzeniu rzuca matce cichy wyrzut: — »Mamo, czemuś mi zawsze mówiła, że ludzie są dobrzy, kiedy oni są tacy źli?«

Inny obrazek, tragiczniejszy jeszcze, bo chodzi o śmierć moralną: Moi znajomi, Polacy w Krasnojarsku, żyjący w warunkach znośnych, litują się nad głodującą biedną panienką rosyjską, mieszkającą w tem samem podwórzu i pracującą w urzędzie sowieckim. Zapraszają ją często do siebie, a ponieważ jest to córka jenerała, który zmarł we więzieniu bolszewickiem, i siostra oficera rozstrzelanego przez bolszewików, więc z całem zaufaniem prowadzą

w jej obecności z przyjaciółmi Polakami zwykłe polskie rozmowy, tak dobrze nam znane z naszych dziejów pod zaborem rosyjskim: kto ze znajomych jest aresztowany, komu grozi rewizja, gdzie grasują donosiciele, kto dokąd uciekł, i t. d. Pewnego dnia ku ich zdumieniu ostrzega ich ktoś przed ową Rosjanką: ma ona być agentką czerezwyczajki. Przyparta do muru przez pana domu, dziewczyna z płaczem wyznaje, że istotnie, gdy ojciec i brat siedzieli we więzieniu i ona sama była uwięzioną, zbiry czerezwyczajki groźbą zhańbienia wymogli na niej pisemną obietnicę, że będzie dostarczała wiadomości. Gdy wyszła na wolność i blisko miesiąc nic na nikogo nie doniosła, zagrożono jej ponownie aresztem i zgwałceniem, jeżeli nie będzie dawała dowodów gorliwości. Teraz musi od czasu do czasu denuncjować, — klnie się tylko Bogiem, że na swych polskich żywicieli nie doniosła i nie doniesie!

Wreszcie trzeci przykład, który wstrząsł memi nerwami, gdym siedział w obozie koncentracyjnym. Zdawało się, że temu, kto już jest skazany na jakiś określony termin robót przymusowych — trzy lata, pięć lat — i zasiadł w obozie koncentracyjnym, nic więcej grozić nie może. W praktyce bywało inaczej. Siedziała z nami w obozie krasnojarskim siostra miłosierdzia S., skazana na pięć lat za udział w organizacji anti-bolszewickiej, niezmiernie miła, wątła, delikatna, dobrotliwa istota; jako aktorka z musu w teatrze obozowym, rozrzewniła mnie do głębi w melodramatycznej roli jakiejś suchotnicy w ro-

dzaju Damy Kameljowej. Po mężu (ponoś rozstrzelanym) miała sześcioletnie dziecko, oddane tymczasowo do ochronki, by się z nią nie poniewierało po więzieniach. Sprowadziła jednak to dziecko na jakiś czas do siebie, kręciło się ono po baraku kobiecym i wnet się stało powszechnym ulubieńcem; z melancholijnym uśmiechem słuchało się jego zapytań, świadczących o wczesnem niestety znawstwie różnych instancyj sądowniczych bolszewickich. Otóż w czasie pobytu tego dziecka, pewnego letniego poranku, gdy ono leżało jeszcze przy matce w łóżku, wchodzą konwojni do pokoju wstających właśnie kobiet i każą matce ubierać się do wyjścia. Dreszcz zgrozy przejął wszystkich. Matkę wyprowadzono, z nią dwóch jeszcze więźniów, i tegoż wieczora w czerezwyczajce rozstrzelano. Dziecko zostało między aresztantkami, nadaremnie się dopytując, dokąd mama przepadła. Oddano je wreszcie nazad do ochronki sowieckiej, gdzie z takich sierót robią bolszewików, tak samo, jak niegdyś w carskich korpusach paziów z dzieci szlachty polskiej robiono oficerów rosyjskich. Mówiono później, że jakiś schwytany w tajdze uczestnik partji powstańczej białych złożył obciążające siostrę S. zeznania, — »lecz nikt pewno nie wiedział ni przedtem ni potem«.

Takich przykładów przewinęło mi się przed oczyma wiele. Mimo to, patrząc dziś z pewnego już oddalenia na zachowanie się inteligencji rosyjskiej w tym przełomowym okresie dziejów społecznych Rosji, nie mogę nie zgodzić się na twardy werdykt,

który o niej wydał w rozmowie ze mną jeszcze w r. 1919 mądry inżynier polski, budowniczy mostu amurskiego na Dalekim Wschodzie. Aż się wzdygnąłem, gdy on wówczas orzekł, że bolszewicy nie mogą z nią nic innego zrobić, jak tylko ją wymordować. Istotnie jednak, na co ten żywioł przydał się w przeszłości i na co mógłby zdać się jeszcze? Nie wytrzymał tej wielkiej próby, jaką nań nałożyły pierwsze miesiące rewolucji: tragedja histerycznego deklamatora wiecowego Kiereńskiego jest tragedją rosyjskiego inteligenta wogóle. Okazało się, że niema w tej klasie ani krzty zdolności do twórczego, zorganizowanego czynu politycznego, do praktycznego rozwiązania zawiłych zagadnień społecznych, do stanowczego wyboru i wskazania kierunku narodowi na rozdrożu historji. Tak samo jak arystokracja feudalna francuska w dobie Rewolucji jako całość nie mogła już nigdy stać się mózgiem swego ludu, tak samo i ci prawdziwych funkcyj inteligencji pełnić nie mogą. Ale szlachta francuska lepiej umiała umierać. Inteligent rosyjski tylko do połowy duszy jest Hamletem: drugą połowę zżarła gangrena czynownicza.

Symptomem tej gangreny jest przedewszystkiem tak rozpowszechnione w Rosji wskutek długowiekowych szpiegowsko-policyjnych rządów — d o n o s i c i e l s t w o. Tę zakorzenioną w duszy i tradycji rosyjskiej właściwość bolszewicy skrupulatnie respektują i wyzyskują: donos w ich oczach, jak i w oczach rządu carskiego, to pierwszy obowiązek

obywatelski. Ile razy w Krasnojarsku w r. 1921 ktokolwiek z mieszkających w mieście Polaków miał nieprzyjemności z władzami w postaci rewizji lub aresztowania, zawsze się słyszało tę historję ze stereotypowem uzasadnieniem: »bo tam przypadkowo w podwórzu mieszkała osoba, stale dostarczająca wiadomości czerezwyczajce«. Zaś na własnej skórze mojej wypisała mi władza tę swą tradycyjną zasadę, że donos jest pierwszym obowiązkiem społecznym, gdy podczas mego uwięzienia w obozie w Krasnojarsku z naszymi oficerami z 5. dywizji W. P. po jej kapitulacji w lutym r. 1920 ukarano mnie raz 24-godzinnem zamknięciem na odwachu za — cudze żony, t. j. za to, że jako »starosta« obozowy, czyli pośrednik urzędowy między jeńcami a komendą nie doniosłem natychmiast o nadużyciu popełnionem przez konwojnych, którzy pozwolili żonom jeńców w czasie dozwolonych odwiedzin wejść do środka baraku, zamiast dopuścić je tylko do drutów kolczastych, otaczających barak. W myśl tej samej etyki donosicielskiej, jeszcze zanim wiosną r. 1921 aresztowano mnie w Tajszecie za ukrywanie się pod cudzem nazwiskiem, już poprzednio aresztowano w Krasnojarsku jedynego kolegę z 5. dywizji, który o tem mojem ukryciu wiedział, za to, że odrazu nie doniósł, — i za to siedział on we więzieniu dłużej odemnie samego.

Przechodząc do cech bardziej ogólno-ludzkiej natury, a szczególnie jaskrawie różniących psychikę rosyjską od naszej: niema w duszy Rosjanina, i to

właśnie inteligenta na równi z analfabetą, śladu tego, co my rozumiemy pod zmysłem obywatelskiem. Słowo »p a t r j o t y z m« u bolszewików jest obelgą, bo oznacza ideologję burżuazyjną, ale i u ich przeciwników niema zachowania, bo jest w ich oczach równoznaczne ze zaściankową ciasnotą dążeń i widnokręgów. Książę W., mój współwięzień krasnojarski, wyznał mi otwarcie, że nie mógł pojąć psychiki tego warszawskiego właściciela kawiarni, co w jego obecności na wiadomość o przyjęciu 14 punktów Wilsona przez Niemcy ogłosił wszystkich w lokalu swymi gośćmi osobistymi. Zaś wspomniana już moja współ-aresztantka pułkownikowa D., gdy była mowa o rozstrzelaniu siostry S., i ja wobec jej ostrej uwagi, że kobieta mająca dziecko, do sprzysiężeń politycznych mieszać się nie powinna, powiedziałem, iż może ktoś wyżej stawiać sprawę narodu niż własne dziecko, i gdy opowiedziałem jej o żonie Kaspra Karlińskiego, odrzekła naiwnie: »Tak — to można zrobić dla narodu, który tego jest wart; ale nasz naród na takie ofiary nie zasługuje!«

A ileż razy na Syberji, mówiąc z przyjaciółmi rosyjskimi o tęsknocie mej za krajem, słyszałem zapewnienie, że danemu osobnikowi także tęskno do swej *rodiny* (ojczyzny), zaś na uwagę, że przecież jest na ziemi rosyjskiej, otrzymywałem odpowiedź: »Ach tak, ale moja ojczyzna, to przecież gubernja smoleńska« — czy tambowska lub inna.

Być może, iż tu leży i wytłumaczenie zjawiska. Do ojczyzny tak rozległej, rozmaitej i wyobraźnią

nieobjętej, nie można się tak przywiązać, jak my do naszego kraju. Różnica jest tem większa, że nam każda piędź ziemi polskiej mówi coś o historji, z każdej prawie możnaby wycisnąć strugi krwi jej obrońców, a dla Moskala całe takie ogromne przestrzenie, jak właśnie Syberja, żadnych tego rodzaju tradycyj dziejowych nie posiadają.

Ale od takich uzasadnień jeszcze daleko do tej otwartej wzgardy, z jaką wykształcony Rosjanin odnosi się do własnego narodu, daleko do tej skwapliwej gotowości, z jaką zawsze przystanie na najgorsze rzeczy, które o Rosji i Rosjanach cudzoziemiec powie, i jeszcze coś do nich dołoży. Skłonność tę oczywiście jeszcze wzmogły czasy pohańbienia Rosji przez rządy bolszewickie. Po samych bolszewikach naturalnie stworzenia nowego patrjotyzmu nie można się było spodziewać w myśl ich haseł partyjnych: ale i u nich zdumiał mnie taki objaw lekceważenia własnego ludu jak to, że gdy w lecie r. 1920 drukowano w gazecie krasnojarskiej przykładny repertuar dla teatrów ludowych, były w nim nawet mniej znane dzieła znakomitych pisarzy niemieckich lub skandynawskich, ale nie było ani jednego z wielkich nazwisk rosyjskich, nawet takich autorów, których tendecje zgadzałyby się z hasłami sowieckiemi.

Wiadomo jednak, że przy braku zmysłu patrjotycznego potrafili bolszewicy stworzyć nowy, sowiecki militarystyczny imperjalizm, analogiczny w swych dążeniach do dawnego carskiego. Otóż po-

dobnie i w duszy ich przeciwnika, inteligenta rosyjskiego, przy braku poczucia patrjotycznego, zawsze prawie napotyka się osad czarnosecinnej zachłanności. Dość miałem tego przykładów nawet w rozmowie z najświatlejszemi jednostkami, i to wtedy, gdyśmy mieli wspólnych wrogów w ciemiężcach-bolszewikach. Żywo pomnę tego wykształconego ekonomistę — byłego burmistrza miasta Krasnojarska, który siedząc ze mną w obozie koncentracyjnym i nieraz prowadząc nader ciekawe dyskusje o kwestjach socjalnych i gospodarczych, raz, gdyśmy zboczyli na politykę, zdumiał mnie lapidarną sentencją: »Ja przecież nie wątpię, że gdy tylko w Rosji nastąpi jaki przewrót, Polska na nowo wejdzie w skład państwa rosyjskiego!«

A niemniej zdumiał mnie odruch tego wybitnego inżyniera uralskiego, który nawet w Leoben w Styrji się kształcił, więc świat zachodni widział, a który raz, gdym mu w pogawędce obozowej przytoczył wyjaskrawioną wiadomość z bolszewickiej gazety, że »Piłsudski pozwolił wydawać w Warszawie czarnosecinną gazetę *Gołos Kazaczestwa*«, aż podskoczył na pryczy ze słowami: »Tegoby tylko jeszcze brakowało, żeby w Warszawie mogli nie pozwolić na wydawanie gazety rosyjskiej!«

Te jaskrawe przykłady przypomniały mi po sześciu latach zapytanie, którego nawet tak niewątpliwie szlachetny przyjaciel Polaków, jak zmarły książę Eugenjusz Trubeckoj, nie omieszkał postawić mi bez ogródek zaraz w pierwszej naszej rozmo-

wie w Moskwie: »A czy wy zgodzicie się na Polskę w granicach ściśle etnograficznych?« To było w miodowych miesiącach przyjaźni rosyjsko-polskiej po odezwie Wielkiego Księcia. *Tempora mutantur, sed nos — non mutamur in illis.*

Te i inne drobne wypadki z lat mego pożycia z Rosjanami sprawiły, że zgoła się nie zdziwiłem, czytając już po powrocie w Warszawie zbiorowe oświadczenie, wydrukowane przez wszystkie niebolszewickie stronnictwa emigracyjne rosyjskie po pokoju ryskim, tej treści, że żadne z nich w razie dojścia do władzy nie uzna warunków tego traktatu i granic przezeń stworzonych.

* * *

Jak już wspomniałem, znalazłem się w obozach bolszewickich nietylko z mężczyznami, ale i z k o b i e t a m i, skazanemi za przestępstwa polityczne na roboty przymusowe.

O kobiecie rosyjskiej na podstawie kilkuletnich spostrzeżeń tyle mogę zbiorowo powiedzieć, że stoi w całości wyżej od mężczyzny ogniem temperamentu, siłą woli, lotnością i bystrością umysłu. Zaznaczyło się to i w życiu publicznem: wspomnijmy tylko taką Wierę Figner, która wchodzi do twierdzy szlisełburskiej jako dwudziestoletnia kwitnąca panienka, wychowana w dostatkach i wygodach jeneralskiego domu, spędza tam dwadzieścia lat nędzy aresztanckiej w samotnej celi, a wyszedłszy,

rzuca się w wir roboty rewolucyjnej, jakby ją wczoraj tylko była przerwała. Ponurym blaskiem świecą i w dziejach bolszewizmu takie kobiece meteory, jak dorodna a fanatyczna komisarka Kołłątaj lub dwudziestokilkoletnia Jakowlewa, przez jakiś czas krwawa dyktatorka Petrogradu. Ze zdumieniem słuchałem autentycznej opowieści o tej kobiecie-sędziu czerezwyczajki w Krasnojarsku, co zakochała się w uwięzionym oficerze, raz wraz go wzywała na śledztwo, a gdy on na oświadczenia miłosne z jej strony nie chciał odpowiedzieć wzajemnością, wreszcie, jak nowa Herodjada, podpisała na niego wyrok śmierci. Aby powrócić do pogodniejszych przykładów: wielu jeńców-Polaków, co dziś powróciło, zawsze wdzięcznie wspominać będzie kierowniczkę Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie, panią Katarzynę Pieszkową, co jako dawna socjał-rewolucjonerka lewego skrzydła umie tak niezrównanie wyzyskiwać na korzyść więźniów politycznych swe koneksje wśród działaczy partyjnych, i tak niestrudzenie potrafiła docierać do najciemniejszych zakątków odległych więzień, gdzie nigdy noga polskiego przedstawiciela stanąć nie może.

Jeżeli jednak Rosjanki przewyższają mężczyzn rzutkością i energją zarówno w życiu osobistem jak społecznem, jeżeli zdolne są do silniejszych uczuć, potężniejszych czynów od swych sennych współziomków, to wiadoma rzecz, że i emancypacja od wszelkich krępujących tradycyj i konwenansów moralnych także u wielu z nich znacznie dalej niż u męż-

czyzn dochodzi. W ogólnym rozkładzie moralnym społeczeństwa, niewątpliwie przerażająco szybko postępującym przez te ostatnie lata zamętu i okropności, kobiety dotrzymują kroku innym grupom na drodze demoralizacji. Smutną tego illustrację miałem w naszym małym światku więziennym, w obozie koncentracyjnym w Krasnojarsku. Wspomniana już pani pułkownikowa D., będąc internowana na pięć lat robót przymusowych, jako miejsce pobytu w baraku kobiecym, miała do wyboru jeden z dwóch pokoi: albo ten, który zamieszkiwały kobiety z gminu, przeważnie pospolite zbrodniarki — dzieciobójczynie, złodziejki i im podobne — albo też drugi, zamieszkały przez kobiecą elitę obozową, panie z inteligencji, wdowy po oficerach, córki jenerałów i urzędników, prawie wszystkie zasądzone za przynależność do organizacyj politycznych (niektóre coprawda za spekulację), i używane w obozie przeważnie do jednego tylko rodzaju roboty przymusowej, mianowicie do gry na scenie teatru obozowego. Otóż pułkownikowa wolała zamieszkać wśród zbrodniarek, w atmosferze mużyckich przekleństw i ordynarnych bójek, bo w drugim pokoju stosunki z administracją obozową wytwarzały atmosferę gorszą — atmosferę domu publicznego. Do śmieszności dochodziła nieraz rywalizacja o względy tych aresztantek pomiędzy członkami zarządu obozowego, którzy oczywiście musieli się cieszyć przywilejami i chcieli zmonopolizować aresztantki dla siebie jako rodzaj haremu, a aresztantami, którzy upor-

czywie chcieli zachować jedyną wolność, jaka w Rosji pozostawała — wolność miłości. Sypały się — zawsze bezskuteczne — rozkazy dzienne, zakazujące aresztantom rozmawiać z aresztantkami (ja sam za wieczorną pogwędkę na schodach padłem ku zabawie całego obozu pierwszą ofiarą jednego z takich rozkazów!). Były wypadki wysyłania tych właśnie uprzywilejowanych aresztantek na mycie podłóg za oporność wobec komisarskich zalecanek: ale były to wyjątki, właśnie dlatego, że oporności naogół nie było. I tak postępowały wobec katów sowieckich osoby, których własna historja rodzinna pełna była krwawych śladów bolszewickiego teroru. Pamiętam, jak mi się ścięło serce, gdym widział młodą wdowę po rozstrzelanym oficerze kozackim, z wesołym śmiechem polewającą całym kubłem wody na »śmigust« rosyjski (dzień Jana Chrzciciela czyli *Kupały)* komendanta obozu, o którym się wiedziało, że nieraz już własnoręcznie rozstrzeliwał skazańców.

Dla oświetlenia tej potwornie groteskowej sceny wyjaśnię mimochodem, że r o z s t r z e l i w a n i e w sowieckiej Rosji, jak nie wszystkim może czytelnikom wiadomo, odbywa się bez dawnej parady. Nie mówię już o formalnych wyrokach: wystarczała często notatka przewodniczącego czerezwyczajki *rasstrielat'* w rogu aktu śledczego. Ale chciałem podnieść, że nie wyprowadza się już ceremonjalnego plutonu żołnierzy i nie marnuje tuzinu kul. Poprostu stawia się skazanych w podziemiu rzędem, twarzą do ściany, oprawca obchodzi ich po

kolei i każdemu wsadza kulę z rewolweru z tyłu w osadę czaszki, w móżdżek. W Krasnojarsku masowe egzekucje odbywały się nocą, pod garażem automobilowym czerezwyczajki, i na ich czas puszczano w ruch motor samochodu ciężarowego, by swym hukiem zagłuszał niemiłe hałasy. Ten sam samochód potem wywoził trupy. Powracając do techniki stracenia: były wypadki, że kat żartował sobie i pokazywał ofiarom na dłoni kule, zapowiadając, kto od której zginie. Widziałem też ludzi, co już pod ścianą stali i byli w ostatniej chwili uwolnieni, gdy już dwóch lub trzech ich sąsiadów padło. Zaznaczyć należy, że o funkcję katowską nawet się ubiegano: niektóre miejscowe kółka partji komunistycznej stawiały za warunek przyjęcia na członka rzeczywistego, by kandydat choć jednego kontr-rewolucjonera własną ręką ubił. I były kobiety, co same rozstrzeliwały ludzi, by dopełnić tego warunku.

Ale dość o kobietach rosyjskich. Wróciłem z ugruntowaną na własnem doświadczeniu wiarą w całą prawdę artystyczną wizerunku Tatjany w »Urodzie życia« Żeromskiego, z jej urokiem i jej *terribilità*. I wróciłem z rozrzuconemi po tych siedmiu latach trzema lub czterema wspomnieniami o istotach ludzkich, głębokich jak cichy nurt, czystych wśród brudu życia jak żadna *honnête femme* przyzwoitego świata, i nieszczęśliwszych od wszystkich bohaterek sentymentalno-rzewnych czy naturalistyczno-brutalnych romansów. Jako taką uczczę

tu jeszcze choć jednem słowem biedną nauczycielkę w Tajszecie, co mi opowiedziała swą historję. Zdradzona w pierwszej miłości, wydana najkonwencjonalniej za mąż za *psałomszczyka*, czyli pomocnika cerkiewnego swego ojca, popa, przeszła przez takie piekło brutalnego egoizmu męskiego i biernego kobiecego bohaterstwa, jakiego nie opisał żaden Balzac ani Dostojewskij. I taką zachowała w tem wszystkiem prawość i prostotę duszy, że spełniam tylko obowiązek, gdy tu wypisuję, com na rozstanie powiedział Annie Samsonownie: jej pamięć na zawsze mnie uchroni od uogólniania różnych okropnych, ohydnych i niepojętych rzeczy, któremi zaznaczyły się w mych wspomnieniach Rosjanki.

* * *

Poświęciwszy ten rozdział światowi więziennemu, wskrzeszę na jego koniec jedno jeszcze wspomnienie, także z więzieniami związane, ale już nie mojemi i nie bolszewickiemi.

Jak Adam Szymański i tylu innych, co o Syberji pisali, chowam żywą, wdzięczną i szczególnie przyjazną pamięć dla jednej kategorji wyrzutków społeczeństwa, z którą się przez dłuższy czas stykałem, a mianowicie dla byłych k a t o r ż n i k ó w. Przedmieście Chabarowska nad Amurem, gdzie miała swą kwaterę grupa jeńców-oficerów narodowości polskiej w r. 1918, zamieszkiwali prawie wy-

łącznie byli Sachalińczycy, co po odbyciu swych kilkunastu lat kary na wyspie daleko wgłąb Rosji już nie wracali, tylko odrazu na Dalekim Wschodzie osiedli. Nie chcę ich bynajmniej idealizować: byli to całkiem pospolici zbrodniarze, którzy pozabijali kiedyś bliźnich w celu rabunkowym, lub żony czy braci w zwadach rodzinnych. Zaś na swej »Chochłackiej Słobódce« koło Chabarowska trudnili się prawie do jednego szlachetnem rzemiosłem *spirtonoszestwa*, czyli przemycania spirytusu przez rzekę z terytorjum chińskiego. Ale mimo to muszę podnieść, że tak uczynnych, życzliwych i gościnnych sąsiadów może nigdy nie miałem. Nietylko niepotrzebnemi okazały się przestrogi Polaków miejscowych, że na Słobódkę wieczorem wracać nie należy, bo nigdy nie było wypadku zaczepienia kogokolwiek z nas w nocy, nawet w najniespokojniejszych czasach; nietylko, ile razy się do kogo z nich zaszło, sadzili gościa odrazu za stół i serdecznie podejmowali czem chata bogata; nietylko całe ich obejście z nami przeniknięte było jakąś głęboko ludzką litością dla smutku naszej jenieckiej i wygnańczej doli, jakiemś typowo aresztanckiem współczuciem i wyrozumieniem dla chorobliwej nieraz psychologji *nieszczastnych;* ale świadczyli nam, co więcej od tych subjektywnych wrażeń znaczy, bardzo realne gospodarskie usługi, począwszy od bezpłatnego pożyczenia beczki do wożenia wody na cały, prawie roczny, czas naszego tam pobytu, a skończywszy na prawie bezpłatnych przeprowadzkach

naszych gratów przy różnych naszych internowaniach i przenosinach.

Mieszkańcy »Chochłackiej Słobódki« — później etykietalnie na »Ukraińską« przechrzczonej — nie byli bynajmniej wszyscy »chochłami«, czyli Rusinami z południa. Trafiło się wśród nich i trochę Polaków i sporo Wielko-Rusów. Skorzystam więc z tej sposobności, by w kilku słowach zaznaczyć moje stanowisko wobec ponawiającej się wciąż w literaturze i w życiu politycznem dyskusji nad psychiką chłopa rosyjskiego. Staram się w opinji mojej osobistej znaleźć drogę pośrednią między twierdzeniem, że to uosobienie dobroduszności, i drugiem, że to ostatni wyraz dzikości pierwotnego człowieka. Doświadczenie moje dawałoby podstawy do popadania i w jednę i w drugą ostateczność. Napatrzyłem się wybuchom dzikości i więcej jeszcze nasłuchałem o torturach, jakie chłop rosyjski zdolny jest wymyślać dla swych ofiar w chwilach rozbestwienia. Nie zapomnę choćby owej sceny »samosądu« (czyli sądu Lyncha) całego garnizonu w Głazowie, gub. wiackiej, w pierwszych miesiącach rewolucji r. 1917 nad żołnierzem, którego pojmano na kradzieży pary butów: widziałem, jak nieszczęśliwego cała ogromna zgraja kolegów pędziła z zawieszonemi na szyi kradzionemi butami biegiem naokoło całego miasta, bijąc i kopiąc go bez miłosierdza, aż zagnano go do Klubu żołnierskiego w budynku gimnazjalnym, gdzie go »dokończyli«.

Zaznałem też niemało okrzyczanej niegościn-

ności, niechęci i sobkowskiej chciwości *Czełdonów*, czyli chłopów syberyjskich podczas całorocznego pobytu pośród nich na wsi, ale nie zapominam, że było to w warunkach straszliwego niszczenia ich dobrobytu przez dyktaturę sowietów, i że nie mogły ich takie rządy usposabiać przychylnie dla wątpliwego autoramentu przybłędów ze świata.

Przytem wszakże tam właśnie z synowską niemal czcią na pożegnanie ucałowałem rękę starego chłopa, co przez rok trzymał mnie pod swoim dachem, w swej kuchni, — dziwiąc się może czasem, że nie chcę umierać na tyfus na tym sienniku, na którym przede mną zmarło dwóch takich przechodzących gości (oficerów kołczakowskich), ale w każdym razie nie żałując mi ani kąta ani samowara, ani czasem łyżki strawy, gdy ją miał do zbycia, ani tradycyjnego braterskiego pocałunku na Wielkanoc i ugoszczenia święconem już po pierwszym tygodniu znajomości.

Zaś uzupełniły tę stronę mego doświadczenia jeszcze opowiadania niejednego kolegi, co uciekając w jak najbardziej awanturniczych warunkach piechotą z Rosji lub Syberji, znalazł przytułek, pożywienie, czasem nawet ryzykowną pomoc w przejściu granicy lub linji posterunków u bezinteresownego chłopa rosyjskiego, jedynie w imię ludzkiej litości nad tułaczem.

Na kredyt chłopa rosyjskiego także zapisać muszę wszystkie prawie moje stosunki z żołnierzami, którzy mnie jako jeńca pilnowali lub eskorto-

wali. Z jednym jedynym wyjątkiem szpiega i donosiciela w Kazaniu, który jako kolonista rosyjski z Wileńszczyzny musiał pałać i stanową i narodową nienawiścią do nas, wszyscy ci ludzie pełnili swą służbę bez złości i niechęci, zawsze byli gotowi do dobrotliwej pogawędki i do wszelkich ustępstw za marnego papierosa, poczęstunek herbatą lub trochę grosza. Gdym z niemi odbywał dalekie podróże, nietylko zajadle bronili moich wygód pasażerskich przeciwko wolnej publiczności rosyjskiej, ale narażali się na różne bury służbowe, pomagając mi nosić mój bagaż. Wyobrażam sobie, jak zgoła odmiennym musi być stosunek do jeńca jakiejś warty lub eskorty pruskiej, angielskiej, czeskiej albo japońskiej. Niemożliwe byłyby w tych krajach te wypadki cierpliwie znoszonego bicia po gębie konwojów przez jeńców, jakie widywałem w Rosji; niemożliwy też epizod, jakiego byłem świadkiem, w obozie koncentracyjnym krasnojarskim w r. 1921, gdy jeden ognisty kolega chwycił za gardło komendanta obozu za to, że ten mu wygrażał rewolwerem w sprzeczce o wyjście na roboty. Zasłynął za to kolega G. wśród dygnitarzy miejscowych jako *gorłodjor* (»dusiciel«), tak samo jak zasłynął jako szczególnie groźny subjekt ten nauczyciel galicyjski T., co uderzył w twarz komisarza swej jenieckiej roty, żyda, za obrazę państwa polskiego. I jednego i drugiego gwałtownika ukarano tjurmą, ale ich najwidoczniej raczej poważano niż nienawidzono.

Jeżeli wreszcie dodam, że wybitną cechą

chłopa rosyjskiego, głęboko go różniącą od naszego mazurskiego, jest posunięty do przebiegłości zmysł handlowy, a raczej spryt do zadziwiających szachrajstw, dzięki któremu tak często z chłopa wyrastał miljonowy kupiec, to czynię tę uwagę znowu bez chęci malowania na czarno, raczej dla uzupełnienia charakterystyki.

Zbilansować te różnorodne spostrzeżenia chyba można, stosując wkońcu do chłopa rosyjskiego w jak najwyrozumialszym duchu żartobliwie wieloznaczny aforyzm angielski: *There is a lot of human nature in man* — »Dużo jest ludzkiej natury w człowieku«.

X.

Od komunizmu do kapitalizmu.

Krąg mych doświadczeń jenieckich zamknął się, jak się rozpoczął, pobytem na wolności w Moskwie. Wyzwolony na WW. Świętych roku 1921 z obozu koncentracyjnego za osobistą poręką, spędziłem jeszcze, zanim pozwolono mi jechać, blisko ćwierć roku w starej stolicy i ciekawie się rozglądałem po znanem mi z przed siedmiu lat mieście.

Moskwa, jakem ją widział w pierwszym roku wojny światowej, była dziwną i nader malowniczą mieszaniną muzeum historycznego z nowożytnem miastem europejskiem. Przypominała mi — choć się to porównanie może komu wyda obrazą świętości — nasz Kraków. I tu i tam dawna stolica, z której monarchowie przenieśli się już wieki temu do nowszego miasta na północ, i tu i tam prastary, pamiątkowy zamek tych monarchów z wiekową katedrą, niezliczone kościoły, pałace miejskie arystokracji i stare domy mieszczańskie (których ocalało mimo pożaru 1812 r. w Moskwie dość wiele, nawet drewnianych). Moskwa była bardziej po azjatycku barwną, szczególnie w takich egzotycznego wyglądu dzielnicach,

jak handlowy *Kitaj-gorod,* ale i ona, jak Kraków, była w nowszych czasach właściwem ogniskiem naukowej i artystycznej twórczości narodu, a w każdym razie asfaltowane ulice i place śródmieścia ze swemi monumentalnemi nowemi budowlami, jak Opera, Kasyno szlacheckie, dom handlowy Muir-Merriliesa i hotel Métropôle (wszystkie na Placu Teatralnym) w daleko wyższym jeszcze stopniu niż w Krakowie dawały wrażenie wielkiego miasta stołecznego w Europie.

Po dwóch rewolucjach i czterech latach rządów komunistycznych, byłem przygotowany na straszliwe spustoszenia, zaniedbanie i martwotę. To też, gdym pierwszy raz swobodnie jechał w r. 1921 po ulicach Moskwy, zdążając naszym samochodem delegacyjnym na dworzec, na pożegnanie posła T. Filipowicza — zdziwiony byłem ruchem ulicznym, życiem, znaczną stosunkowo ilością ludzi dość przyzwoicie ubranych, nawet wystrojonych kobiet, a nadewszystko — szeregami nowootwartych pięknych sklepów po głównych ulicach. Odbijało to istotnie zadziwiająco od typowo sowieckiego letargu i ogólnego wyglądu proletarskiego, w jakim pozostawiłem stutysięczne miasto Krasnojarsk, gdzie wszystkie dawne okazałe sklepy na głównej ulicy były zabite deskami lub splugawione przez urzędy sowieckie, i zaledwie kilka parszywych kawiarenek nieśmiało się popisywało swemi dziadowskiemi witrynami.

Pierwszy raz więc naocznie się wtedy w Mo-

skwie przekonałem, jak szybkie w centrum w stosunku do prowincji robi postępy ten p o w r ó t d o k a p i t a l i z m u, który jest cechą i celem nowej polityki ekonomicznej, zainaugurowanej przez Lenina po trzech latach nieudałych eksperymentów komunistycznych. Sypały się przez większą część r. 1921 i przez całe ćwierćrocze mojego pobytu w Moskwie dekrety, przywracające kapitalistyczną swobodę inicjatywy prywatnej w coraz nowych dziedzinach życia gospodarczego. Po średnich i małych fabrykach przeszły do rąk prywatnych — że wymienię tylko przykłady z moich czasów — apteki i sanatorja. Nietylko zaroiło się od straganów i przekupniów na otwartych targowiskach miejskich, nietylko pozwalano otwierać coraz nowe rodzaje sklepów, ale w obrębie każdej kategorji handlu szybko rosła swoboda: za mojej obecności np. podwyższono znacznie procent alkoholu w winach, dopuszczonych oficjalnie do sprzedaży. Zaczął się znowu obrót pieniężny w sferach życia, z których dawniej porządki komunistyczne go wykluczyły: tramwaj, gazeta, łaźnia, teatr, kolej, dawniej bezpłatne, ale też dostępne tylko dla pracowników sowieckich i w ramach ściśle określonych i utrudniających formalności, teraz znowu stały się dostępne dla ogółu za opłatą pieniężną. Od 1 stycznia 1922 zaprowadzono nawet dość wysoki czynsz za mieszkania, pobierany przez komitety domowe, które administrują nieruchomościami, jako dobrem rządowem.

Lenin umiał nader wymownie uzasadnić wo-

bec ideowych komunistów swój w gruncie haniebny odwrót: to go nazywał cofnięciem się dla zyskania miejsca do skoku, to znowu dowodził, że przecież w myśl nauki Marksa kapitalizm powinien do pewnego stopnia dojrzeć, by jak dojrzały owoc sam wpaść w ręce ludu; że zaś kapitalizm rosyjski tego stopnia dojrzałości jeszcze nie był osiągnął, więc trzeba mu dać jeszcze nieco dojrzewać. W rzeczywistości chodziło o utrzymanie się rządu sowieckiego u władzy kosztem choćby zupełnego zrzeczenia się całego komunistycznego programu.

W rzeczywistości też nie trzeba było tych pięknych frazesów, by usprawiedliwić nowy kurs wobec mas. Te wygłodniałe masy, odzyskawszy wolność handlu, z takim zapałem rzuciły się w odmęt spekulacji handlowej, którą dziś zajmuje się w Rosji wszystko, co żyje, od dziecka do starca, że widocznem było, jak ogółowi nowy porządek dogadza. Był to istotnie środek zażegnania niezadowolenia politycznego w szerokich warstwach. Malkontentami pozostali właściwie tylko nieliczni nieprzejednani komuniści najradykalniejszego typu, tak samo, jak nieliczną jest kupka sowieckich awanturników wojskowych, gromadząca się jeszcze około Trockiego. Śmiałość nawrotu, wykonanego przez Lenina, osiągnęła swój cel, i pragnienia zmiany ustroju państwowego dziś u szerokich mas niema.

Ale cudów i Lenin nie mógł dokazać. Komunizm miał wytępić bogaczy, a zniszczył samo bogactwo narodu. Dawny dobrobyt rosyjski runął tak

gruntownie w gruzy, że odbudować się prędko nie da. Przekonałem się dowodnie o tej prawdzie nawet w dosłownem znaczeniu wyrazów, gdym się nieco rozejrzał po Moskwie; co chwila można się tam natknąć na opuszczone domy, bez dachów, okiem i drzwi, kruszące się i walące w proch. Świetne budowle publiczne dawnych czasów tak zostały zohydzone, zanieczyszczone i zrujnowane przez gospodarujące w nich zgraje czerni urzędniczej i wojskowej bolszewickiej, że o ich odrestaurowaniu przy krzyczącym braku środków technicznych i materjalnych nawet myśleć co niema, tylko się je poprostu opuszcza i idzie zohydzać nowe.

Najgorzej jednak odbiła się niszczycielska polityka sowiecka, jak wiadomo, na stanie waluty. Zawrotny spadek wartości rubla daleko przewyższa gorączkowy taniec giełdowy naszej marki polskiej, i nikomu, co z Rosji wraca, najnieprawdopodobniejsze kursy i ceny polskie imponować nie mogą. Szczegóły cyfrowe, przypominające bajki z 1001 nocy, pojawiają się od czasu do czasu w gazetach, więc roztaczać ich tu przed czytelnikiem nie będę; wymienię tylko kilka faktów z mojego trzechmiesięcznego moskiewskiego doświadczenia, illustrujących tempo, w jakiem się ta sarabanda pieniężna odbywa. A więc na moich oczach doszło do tego, że tysiączka — drukowana w ostatnich czasach w szczególnie lichej postaci, jak naklejki na butelki — stała się najmniejszą monetą obiegową: gdy w moim czasie cenę jednego kursu w tramwaju podwyższono

z 2.000 na 5.000 rubli, konduktorowie przestali przyjmować opłatę w 500-rublówkach jako zbyt drobnych papierkach. Banknoty stutysięczne były w pospolitym obiegu i także bynajmniej nie okazałe: dorożkarz moskiewski, gdy się go pytać o taksę za kurs, zazwyczaj flegmatycznie odpowiadał: *rubl*, co znaczyło: 100.000. W moim też czasie ogłoszono uroczyście w gazetach, że zaczyna się wydawać banknoty po jednym i po pięć miljonów. Miljony, wzgardliwie przez lud przezwane »limonami«, stają się jednostkami, któremi szafuje się bez ceremonji. Rząd, przechodząc od systemu deputatów do systemu opłaty pieniężnej za pracę, stara się jako tako uzgodnić płacę z postępami drożyzny: w zimie 1921 na 1922, robotnik w Moskwie otrzymywał 4½ miljona rubli miesięcznie i ledwie mógł wyżyć, a w mojej obecności ofiarowano posadę z płacą 5 miljonów miesięcznie inteligentowi, który z miejsca odmówił, tłumacząc się, że za te pieniądze z rodziną się nie utrzyma. Gdy to piszę, Miljukow w wywiadzie opowiada dziennikarzom, że w Moskwie już płacą po sześć miljonów, i to nie wystarcza.

To też, jak już mówiłem, posady rządowe czy inne ze stałą płacą, są tylko dodatkowem źródłem dochodu, a wszystko, co żyje, zajmuje się handlem. Do jakiego zaś kalibru dochodzą interesy w tej dziedzinie przy takich stosunkach walutowych, to dostatecznie oświetli jeden przykład: gdy wyjeżdżałem z Moskwy 17 stycznia 1922 r., jadący ze mną inżynier-Polak, poddany brytyjski, żałował mocno, że

nie udało mu się wyjechać następnym pociągiem dyplomatycznym, o kilka dni później, bo byłby przez ten czas na jednym wagonie cukru, bez wszelkich kłopotów, zarobił 600 miljonów rubli.

Gdy się w ten sposób śnieżna kula walutowa toczy, i tocząc się, olbrzymieje, jakże może wyglądać budżet państwowy, i czy wogóle można mówić o zestawieniu preliminarza. Pamiętam wizytę w Delegacji Polskiej studenta matematyki uniwersytetu moskiewskiego, Polaka, który pracował jako urzędnik w instytucji, zwanej *Gos-płan*, t. j. *Gosudarstwiennyj płan*, czyli biuro dla zestawiania planu finansowego państwa. Ten nam opowiadał, że przywykł wprawdzie ze studjów astronomicznych do cyfr o wielu zerach, ale od tych tryljonów i kwadryljonów, któremi operuje w budżecie bolszewickim, i on dostaje zawrotu głowy.

Wobec katastrofy walutowej Rząd sowiecki, jak i inne pono rządy w Europie wobec swych niemniej groźnych stosunków walutowych, jest zupełnie bezsilny. Raz wraz pojawiają się w gazetach różne plany sanacji finansów, ale wszystkie jednakowo beznadziejne. Nie pomogło i wskrzeszenie Banku Państwa, dokonane jeszcze podczas mojego pobytu. Odkąd obywatel rosyjski wyczytał na większych banknotach sowieckich, że są pokryte »całym majątkiem państwa« *(wsiem dostojanjem gosudarstwa)*, a nie wyraźnie »złotem«, — na mniejszych wogóle jest napisane tylko »znak obrachunkowy« *(rassczotnyj znak)*, — odkąd wie, jak wiele złota ze

skarbu rosyjskiego przepadło w czasie rewolucyjnych zamieszek w rękach Czechów i innych kontrrewolucyjnych żywiołów, — odkąd słyszał np., że Czesi za złoto z irkuckiej Filji Banku Państwa sprzedali powierzoną im osobę Kołczaka, albo że po miastach syberyjskich są dawni kupcy (przeważnie żydzi), którzy mają po kilkadziesiąt pudów złota pochowanych u siebie w domu, — odkąd sam rząd sowiecki poczynił kroki tak ryzykowne, jak ryczałtowe i bezzwrotne unieważnienie pieniędzy, wydawanych przez Denikina, Kołczaka i inne białe rządy, — od tego czasu zaufanie ogółu do pieniądza upadło beznadziejnie. Z początkiem swych rządów bolszewicy całkiem konsekwentnie, w myśl swego programu, dążyli do zupełnego zniesienia pieniądza. Dużo się mówiło jeszcze w r. 1920 o zaprowadzeniu *trudoczasów*, czyli kwitów na »godziny pracy«, zamiast znaków pieniężnych. Dziś, gdy z kapitulacją komunizmu trzeba wracać do dawnych form gospodarki pieniężnej, zniszczenie ustroju pieniężnego okazuje się zbyt daleko posuniętem, by jakikolwiek doraźny środek uzdrowienia dał się naprędce wymyślić.

Na skórze przeciętnego obywatela, nie uczonego w ekonomji politycznej, deprecjacja pieniądza oczywiście odbija się przedewszystkiem w postaci drożyzny. Jakkolwiek mało się ceni pieniądz, trzeba go jednak jak najwięcej zdobywać. *Dieńgi drjań, no biez nich jeszczo chuże* (»Pieniądze podłe, ale bez nich jeszcze gorzej«), słyszałem niejedno-

krotnie w ostatnich czasach z ust rosyjskich. To też panujący jeszcze w znacznej mierze na wsi handel zamienny — części ubrania za produkty żywnościowe wiejskie, produkty za usługi lekarskie lub oświatowe — w miastach w znacznej mierze zastąpiony jest przez gorączkowy handel za pieniądze, który oczywiście z dnia na dzień pogarsza stan waluty. Jeszcze w r. 1920 mogły gazety sowieckie piętnować znakomitego śpiewaka Szaljapina, za to, że za dwa koncerty w Niżnim Nowogrodzie zażądał lichwiarskiego honorarjum, bo oprócz 600.000 rubli jeszcze 10 arszynów sukna angielskiego, pudu konfitur, trzech pudów cukru, i jakichś tam niesłychanych na obecne stosunki rosyjskie ilości tłuszczów— wśród nich oleju słonecznikowego (»postnego masła«), na którym pewnie przed wojną nigdy potraw nie jadał. Dziś wystarczyłoby zażądać odpowiedniej sumy w sowieckich miljonach, bo za pieniądze w Moskwie wszystkiego dostać można. Oczywiście to określenie, że »wszystkiego za pieniądze dostać można«, należy pojmować z zastrzeżeniami. Nie wszystko jeszcze leży gotowe do wyboru dla konsumenta w różnych nowych sklepach; niejednego artykułu jeszcze w zimie r. 1921/2 trzeba było mozolnie szukać na mrozie po ożywionych bazarach ulicznych, niejedno kupowało się »okazyjnie« (jak owa czuła żona drewnianą nogę dla męża, bo ją można było tanio dostać, a »zawsze może się kiedyś przydać«!). Przytem, o ile chodzi o różne wyroby fabryczne, to są na targu rosyjskim wyłącznie w po-

staci starzyzny, bo nowe się nie wyrabiają. Handel starzyzną jest powszechny, i zajmuje się nim głównie inteligencja, która chcąc żyć, musi rozprzedawać swoje dawne zapasy odzieży, futer i innych rzeczy mniej lub więcej zbytecznych czy zbytkownych. To też kwitnie obecnie w Moskwie, jak może nigdzie na świecie, handel zabytkami sztuki i cennemi książkami, obrazami, rzeźbami, meblami, biżuterjami, z prywatnych zbiorów dawnych bogaczy: gorliwymi odbiorcami tego wszystkiego są głównie urzędnicy różnych misyj zagranicznych, którzy przy panującym na rynku moskiewskim popycie na ich krajowy pieniądz nabywają różne niezmiernie kosztowne rzeczy istotnie za bezcen, a przez to na równi z obywatelem rosyjskim, lub może jeszcze bardziej od niego, przyczyniają się do spadku wartości rubla. Tak wzrastające ożywienie handlu coraz bardziej pogarsza klęskę walutową, i różne wciąż na nowo wyłaniające się projekty dewalwacyjne już w chwili swych narodzin stają się przestarzałemi, bo je tymczasem prześciga szalony pęd deprecjaji.

Ale nie z jedną tylko walutą rząd rady sobie dać nie może. I w innych dziedzinach napotyka na niepokonane trudności zasadnicze, przedewszystkiem w dziedzinie gospodarczej. Chciałoby się z całą stanowczością zawrócić rozpędzone ku przepaści koło historji nazad ku zbawczemu kapitalizmowi: nie tak to jednak łatwo znaleźć *modus* tego powrotu do starego porządku. Rząd sowiecki, wziąwszy w ręce całe bogactwo narodowe, stworzył dla za-

rządzania niem wielki organ w postaci »Rady gospodarstwa narodowego« i miał nieszczęśliwy w skutkach pomysł rozdrobnienia jego funkcji według poszczególnych gałęzi wytwórczości: powstało — dosłownie! — pięćdziesiąt osiem różnych »chozów«, czyli organów gospodarczych dla zarządzania rozmaitemi dziedzinami produkcji. Wynikł chaos, w którym sprytni funkcjonarjusze mogli obficie się obławiać na dobrze rządowem. Wynikły stosunki paradoksalne, w których np. zużytkowanie mięsa ubitej świni należało do jednej dykasterji urzędowej, a zużytkowanie szczeciny, racic, skóry, — do innych. Jak z tego wszystkiego wybrnąć nazad na suchy ląd przedsiębiorstwa prywatnego? Niemożliwem było puścić odrazu wodze lichwiarskim instynktom wygłodzonych kapitalistów. Chciano więc, oddając im fabryki, zawierać z nimi kontrakty, pozostawiające rządowi pewną miarę kontroli nad przedsiębiorstwem. Rezultatem potów mózgowych różnych sowieckich ekonomistów był typ umowy między rządem a przedsiębiorcą, potępiony już dziś przez rzeczoznawców zagranicznych i stanowiący poważną przeszkodę przeciwko napływowi kapitału obcego do Rosji.

W Krasnojarsku w r. 1921 siedział razem ze mną w obozie koncentracyjnym jako więzień polityczny miejscowy fabrykant fajansu, któremu właśnie w tym czasie oddano w zarząd jego fabrykę i pozwolono przenieść się z obozu do domu, jednak ze śmiesznym warunkiem utrzymywania tam w swo-

jem mieszkaniu żołnierza-wartownika. Podpisawszy kontrakt z gubernjalną Radą Gospodarczą, fabrykant oświadczył mi, że sam teraz nie wie, czy jest właścicielem, czy koncesjonerem, czy dzierżawcą, czy funkcjonarjuszem rządowym, czy aresztantem, odkomenderowanym na roboty. Ale pocieszali go w Radzie Gospodarczej, że byle fabryka szła i wytwarzała, to Rada będzie traktować kontrakt, jak Niemcy układ o neutralności Belgji — jako »świstek papieru«. Niestety, fabryka wskutek ogólnego w państwie socjalistycznem upadku wydajności pracy ludzkiej, nie mogła doprowadzić ani do dziesiątej części produkcji przedwojennej. Zaś illustracją powszechnych obecnie w całym przemyśle rosyjskim stosunków technicznych jest fakt, że prawą ręką fabrykanta i przedmiotem bezustannych jego zachwytów stał się jeniec z polskiej dywizji, prosty murarz z pod Krakowa, który w obozie robót przymusowych poduczył się trochę garncarstwa. Nie został kompanjonem fabrykanta tylko dlatego, że wyjechał do kraju, ale był faktycznie kierownikiem technicznym całego przedsiębiorstwa.

Rada Gospodarstwa Narodowego nie jest jedynym organem sowieckim, który sam nie wie, jaka jest i jaka ma być przy nowym kursie jego kompetencja. Spory o kompetencję są najpowszechniejszym i od czterech z górą lat stałem zjawiskiem w całej maszynerji państwowej bolszewickiej, począwszy od »Sowieta Narodnych Komissarow«, czyli Rady Ministrów, i jej ciągłej rywalizacji

z »Wcikiem«, (»Wsierossijskim Centralnym Ispolnitielnym Komitietom«) — stałym Komitetem Wykonawczym zbierającego się perjodycznie Zjazdu Sowietów, czyli Parlamentu sowieckiego. Żartem powiedział mi pewien mądry obywatel polski z Krasnojarska, że niepotrzebnie straszą ludzi na wypadek obalenia władzy sowieckiej anarchją w kraju, bo anarchja *de facto* już jest. Rzeczywiście, trudno inaczej jak anarchicznym nazwać szczególnie ten stosunek jaskrawej niesubordynacji, w jakim wobec władzy państwowej w Republice Sowieckiej stale się znajdują np. k o l e j e i ich funkcjonarjusze. Tworzą państwo w państwie, wyodrębniając się pod każdym względem, począwszy od administracji i organizacyj politycznych, a skończywszy na aprowizacji i oświacie. Nie słuchają żadnych rozkazów jakiejkolwiek władzy państwowej prócz »*Narkomputi*« (»Narodnawo Komissariata Putiej Soobszczenja«, czyli Ministerstwa Komunikacji). Odbił się ten ich separatyzm boleśnie na skórze jeńców-Polaków z dywizji syberyjskiej w Krasnojarsku w r. 1921, gdy Zarząd kolei tomskiej, niemile snać wspominając czasy gospodarki naszej dywizji na tej kolei, zatrzymywał pod różnemi pretekstami pociągi jenieckie. Nic na to nie pomagały przedstawienia Syberyjskiej Ekspozytury Delegacji Polskiej u naczelnych władz syberyjskich, i trzeba było dopiero wyjednać kategoryczny rozkaz od Ministerstwa Kolei z Moskwy, by pociągi z jeńcami były traktowane na równi z pociągami wojskowemi. jak to było w umo-

wie między państwami, i by dwa pociągi z tysiącami jeńców i ich rodzin, trzymane w stanie załadowanym trzy tygodnie na stacji krasnojarskiej, wreszcie wyruszyły w drogę.

Koleje zresztą mogą służyć jako klasyczny przykład innych jeszcze następstw czteroletniej gospodarki sowieckiej.

A więc przedewszystkiem obok anarchicznego nieuzgodnienia urzędów — niebywały rozstrój techniczny całego aparatu i materjału komunikacyjnego. O upadku transportu i o usiłowaniach nad jego podniesieniem mówi i pisze się w Rosji aż do przesytu. Słusznie wymyślono anegdotkę o człowieku, co stanął na rynku i spoglądał w górę, a zapytany, czego tak wypatruje, oświadczył, że transportu, ale ten transport widocznie »podniesiono« tak wysoko, że gołem okiem go nie widać. Lokomotywy wskutek ciągłego palenia drzewem i nadmiernego używania w braku nowych są tak zepsute, wagony tak rozklekotane, zapasy opału chronicznie tak małe, tor w tak złym stanie, że koleje utrzymują się w ruchu chyba tylko tą siłą bezwładu, która jest kierującym czynnikiem całego życia rosyjskiego. W tym samym czasie, w którym wiele się szumnie pisało o przeprowadzeniu drugiej, północnej linji kolei syberyjskiej od Kamczatki przez Jakuck i Tobolsk do północnego Uralu, na głównej, dawno istniejącej linji syberyjskiej rozbierano tory zapasowe na stacjach — nawet na takiej małej stacyjce jak Tajszet! — by

sztukować popsuty tor na przestrzeni, czy też wywozić szyny do Rosji europejskiej.

I jeszcze jeden objaw w życiu kolejowem szczególnie może jaskrawo występuje — mianowicie stare rosyjskie ł a p o w n i c t w o, które w republice socjalistycznej nietylko nie wygasło, ale przyjęło potworniejsze niż kiedykolwiek rozmiary. Już car Aleksander II podobno powiedział do swego syna Aleksandra III: »W Rosji tylko dwóch ludzi nie bierze łapówek — ja i ty, ale to tylko dlatego, że nie potrzebujemy«. Rzeczywiście, w starej Rosji, jak powszechnie wiadomo, wszystko brało łapówki, od góry do dołu drabiny urzędniczej, ale było to łapownictwo zorganizowane, uświęcone prawem zwyczajowem, zapewniające pewne określone usługi za pewne prawie unormowane świadczenia. Tymczasem w Rosji sowieckiej, jak wszystko, co dawniej było zorganizowane, tak i to uległo dezorganizacji: zaczęło się łapownictwo dzikie, a stosunki walutowe jeszcze dodatkowo utrudniają ustalenie jakiejś taryfy. Jeden jest tylko niezawodny środek w tym chaosie — alkohol, który jednakowo magicznie działa i na Rosjanina inteligenta i analfabetę, i którym też wydatnie się posługiwać muszą nasze przedstawicielstwa na gruncie sowieckim dla osiągnięcia swych celów w stosunkach z różnemi władzami. Co do kolei, o rozwielmożnionem na nich gigantycznem łapownictwie wiem głównie od repatrjantów, którzy w każdym swym pociągu składać się musieli na miljonowy fundusz i organizować »komitet gospodar-

czy«, głównie z kolejarzy-Polaków jako fachowców złożony, by pociąg »popychać« i dowlec się jakoś do Moskwy i do granicy.

Do łapownictwa trzeba dodać inne niedomagania społeczne, które przy powrocie do ustroju kapitalistycznego tylko potęgować się mogą. A więc: raptownie wzrastające złodziejstwo: w ciągu mojego pobytu w Delegacji w Moskwie co kilka dni się słyszało, że komuś ze znajomych Polaków w tramwaju wyciągnięto zegarek lub portmonetkę. Dalej: roztasowujące się coraz powszechniej żebractwo, spowodowane i ograniczeniem w rozmiarach w ostatnich czasach i marną od samego początku jakością opieki społecznej.

Gdy to wszystko zważymy, snadnieby się zapytać można: czyż utrzyma się wobec tego ustrój sowiecki, nawet powróciwszy do kapitalistycznego systemu gospodarstwa społecznego?

Poważne powątpiewania w tym względzie mogłaby nasuwać przedewszystkiem ta widoczna na każdym kroku masa mściwości osobistej, którą nagromadziła przeciwko sobie przez swe okrucieństwa osławiona »c z e r e z w y c z a j k a«, sprawczyni tylu tysięcy strasznych tragedyj rodzinnych. Władza centralna zrazu sama puściła wodze czerezwyczajce i dała jej nieograniczone pełnomocnictwa do mordowania ludzi bez sądu i torturowania ich po więzieniach, bo rozumowała, że teror, jak to raz publicznie powiedział Lenin a niedawno stwierdził

w książce angielskiej Trockij, jest niezbędnem narzędziem wszelkiej rewolucji.

Ale władza rządowa znalazła się z biegiem czasu w położeniu ucznia u czarnoksiężnika w balladzie Goethego: nie mogła pozbyć się upiorów, które sama wywołała.

Die ich rief, die Geister,
Werd' ich nun nicht los.

Nasz rodak Dzierżyński, przewodniczący naczelnej czerezwyczajki, czyli »kat wszechrosyjski«, jak go nazywają, stanął wobec Lenina i Trockiego jak sędzia w państwie prawnem — na stanowisku nieusuwalnem. Rząd w uznaniu tego niebezpieczeństwa, wyrastającego mu nad głowę, raz wraz wszczyna starania w kierunku ograniczenia kompetencji czerezwyczajki, zespolenia jej z regularnem sądownictwem, lub zupełnego jej zlikwidowania. Czerezwyczajka odbija te ciosy na swój sposób, odkrywając coraz nowe, mniej lub więcej urojone, spiski anty-państwowe, które mają udowadniać, że istnienie »Nadzwyczajnej komisji dla walki z kontr-rewolucją« wciąż jeszcze jest niezbędne. W Krasnojarsku w r. 1920 i 1921 wiedziano już, że gdy rozejdzie się pogłoska o likwidacji czerezwyczajki, zapowiada ona wykrycie »kolejnego sprzysiężenia« i orgję aresztowań. Wszystko, co przy nowym kursie polityki ekonomicznej udało się zrobić, było skreślenie »walki ze spekulacją« z listy funkcji czerezwyczajki. Dziś na mocy uchwały ostatniego Zja-

zdu Sowietów nie istnieje już czerezwyczajka, tylko »Polityczny Urząd Państwowy«: zobaczymy jednak, czy i pod tą nową nazwą czerezwyczajka nie okaże się silniejszą od władzy centralnej.

Czerezwyczajka prowadzi dalej tradycję carskiej »ochranki« (choć są ludzie — także wśród Polaków, — którzy gorąco przeciw takiemu zestawieniu protestują). Nawet słowo samo nie zanikło, bo czerezwyczajka zamyka niektóych podejrzanych na dłuższe okresy »*w porjadkie ochrany gosudarstwa*«, czyli dla ochrony istniejącego ustroju państwowego, bez próby udowodnienia im jakiejkolwiek winy. Otóż na fakcie tej analogji między czerezwyczajką a ochranką można zbudować przypuszczenie, że nawet czerezwyczajka nie wywoła zbiorowego odruchu przeciwko władzy sowieckiej, bo istnienie takiej władzy o nieograniczonych kompetencjach karnych poza sądownictwem normalnem leży w tradycjach życia państwowego rosyjskiego, samo w sobie nie jest przeciwne zmysłowi prawnemu obywatela rosyjskiego i kojarzy się w jego umyśle jako składnik niezbędny z ideą »twardej władzy«. O samo istnienie czerezwyczajki więc rząd sowiecki chyba się nie obali.

Jest drugi poważniejszy czynnik, który mógłby pomieszać władzy sowieckiej wszystkie szyki nawet w przededniu jej uznania przez mocarstwa. Tym jest niebywały w dziejach Rosji g ł ó d, jaki wskutek posuchy 1921 r. i nie bez winy całej polityki żywnościowej sowieckiej panuje obecnie nad Wołgą

i gdzieindziej. Że głód nie jest bynajmniej, jak to czasem mówią w Europie, »przereklamowany« przez bolszewików, że Nansen miał słuszność, ukazując konferencji brukselskiej widmo śmierci 20 miljonów ludzi, — o tem wie każdy, kto wraca z Rosji. Pierwsza samarska czerezwyczajka wykryła fakt, że trupy rozstrzeliwanych wykopywano, by je zjadać. Że piecze się chleb z suszonego nawozu końskiego, to także fakt udowodniony. Z własnych bezpośrednich spostrzeżeń przytoczę tylko dwa znamienne obrazki. Gdym jechał we wrześniu r. 1921 z Krasnojarska do Moskwy, pociąg mój na stacji w Omsku spotkał się z pociągiem ze Zachodu, wywożącym z polecenia Rządu w głąb Syberji masy głodujących Tatarów z gubernji kazańskiej i ufimskiej. Gdy się w tym pociągu dowiedziano, że postoi on w Omsku dłużej, poczęto wysypywać z wagonów trupy ludzi, którzy od ostatniego dłuższego postoju zmarli wskutek wycieńczenia: wyrzucono ich — sto osiemdziesiąt.

Obrazek drugi. Już w Moskwie, w towarzystwie lekarza Delegacji Polskiej i sprowadzonego przez nas przedstawiciela »Amerykańskiej Administracji Pomocy«, zwiedzałem w grudniu r. 1921 punkt ewakuacyjny, na którym umieszczono ochronkę z trzydzieściorga dzieci, przywiezioną z Buzułuku, z gubernji samarskiej. Ochronka ta powstała w ten sposób, że wszyscy rodzice tych dzieci, zarówno ojcowie jak matki, wymarli z głodu. Dzieci, przeważnie białoruskie, przeznaczone były do wysłania w gra-

nice Polski, ale w Moskwie musiały się zatrzymać, bo nie były zdolne do dalszego transportu. Nigdy niczego straszniejszego nie widziałem, nawet na polach bitew. Szkielety, obciągnięte żółtą skórą, snuły się apatycznie po kurytarzach, a z 30 dzieci dwanaścioro leżało w infirmerji, jako prawdziwe muzeum chorób głodowych: była tam i puchlina i wrzody i jakieś bole wewnętrzne i ostateczne stadjum anemji i suchoty galopujące — czego tylko zapragnie dusza klinicysty.

Dzieci z powodu braku przyodziewku rządowego odbyły drogę z Samary (w grudniu!) w samej bieliźnie, i sporo ich pomarło w drodze.

Tu słówko o opiece rządu sowieckiego nad dziećmi. Mimo, iż właśnie tak straszny obraz nakreślić musiałem, jednak winienem stwierdzić, że opieka społeczna nad dziećmi pozostaje jednym z jaśniejszych punktów w mrocznych dziejach rządów sowieckich. Wytężano wszystkie siły, by byt materjalny dzieci polepszyć, i jeżeli wiele matek, służących w urzędach sowieckich, oddawało swe dzieci do ochronek, to głównie dlatego, że karmiono je tam lepiej, niż one je przy najlepszych chęciach karmić mogły. Sam widziałem w Krasnojarsku w roku 1921 w jadalniach publicznych dla dzieci podawane dzieciom obiady takie, o jakich dorosłym wtedy już się śnić nie mogło. Oglądałem też w tym samym roku jesienią w Moskwie ogromny »Dom Macierzyństwa« o 5.000 łóżek, odziedziczony coprawda po starym rządzie, ale w każdym razie na złe nie użyty,

a wtedy prowadzony bardzo umiejętnie przez lekarza-Polaka, doktora Aleksandra Landego.

Zarzuca się często, że ta pieczołowitość o dzieci miała tylko na celu ich kaptowanie, i zaszczepianie w młode dusze jadu bolszewickiego. Istotnie: już maleństwa w ochronkach uczyły się śpiewać »hymn międzynarodowy« — słyszałem go nawet, o dziwo! śpiewany jako kołysankę przez małą dziewczynkę nad kolebką braciszka. Już też w elementarzach wierszyki, illustrujące poszczególne litery, wbijały dzieciom w głowę niezrozumiałe dla nich jeszcze hasła światowej rewolucji społecznej. Arcy-ciekawy i arcy-zabawny taki elementarz agitacyjny z karykaturalnemi rysunkami wydano i dla nauki analfabetów-żołnierzy.

Ale zapytać się godzi: czyż nie prawo to, a raczej obowiązek każdego rządu zjednywać młode pokolenie dla siebie i swego programu? Wszak i my uczymy dzieci pacierza i katechizmu, zanim jeszcze dogmaty religijne są dostępne dla ich inteligencji, uczymy je wcześnie śpiewać pieśni narodowe i czcić nasze świętości historyczne. »Wolnoć Tomku w swoim domku«: można potępiać politykę rządu bolszewickiego, ale nie można odmawiać mu prawa szerzenia jej zasad wśród młodzieży wszelkiemi dostępnemi dlań sposobami.

Powracam jednak do sytuacji głodowej Rosji. Wszelkie prognozy w dzisiejszym świecie społecznym i politycznym są ryzykowne, jak niejednokrotnie wykazał przebieg wojny światowej, a szcze-

gólnie ryzykowne są w Rosji, tym prawdziwym »kraju nieograniczonych możliwości«. Mimo to pozwolę sobie powiedzieć, że tak jak ja rzeczy widzę, z jednej strony wzmagać się będą bunty i rozruchy głodowe w różnych częściach Rosji, szczególnie na nadchodzący straszny przednówek r. 1922, jako okres kulminacyjny katastrofy głodowej; — z drugiej strony mojem zdaniem, tak samo jak od dalszego trwania czerezwyczajki w jakiejkolwiek formie, tak samo i od ciosów głodu bolszewicki ustrój polityczny nie upadnie. Bo głodni, to nie zjednoczona siła polityczna, lecz rozlana po kraju bezradna masa, zaś panujące w Rosji już od pierwszych lat sowieckich stałe niedokarmienie ogółu ludności wytworzyło w znacznej mierze charakterystyczną apatję polityczną, którą na każdym kroku można obserwować.

Możnaby zapytać: jaki wpływ na to wszystko wywrze pomoc państw innych dla głodnych w Rosji? Czy, jak się obawiają anti-bolszewiccy emigranci rosyjscy, pomoc taka będzie podporą dla rządu Sowietów, czy przez wymaganie daleko idącej kontroli zagranicznej przygotuje grunt do pokojowego przekształcenia ustroju sowieckiego w bardziej cywilizowany? Na to tylko odpowiedzieć można, że przecież pomoc ta wogóle dotąd nie była bardzo wydatną, i w dodatku, stoimy poroś nie przed jej rozrostem, lecz właśnie zaniechaniem zupełnem wskutek zniechęcenia, wywołanego przez konsekwentne używanie darów filantropijnych na bolszewickie

cele polityczne. Że istotnie takie nadużycia świadomie na wielką skalę popełniano, tego ciekawym sposobem doznałem na samym sobie. Gdy w jesieni r. 1921 przeniesiono mnie z Krasnojarska do Moskwy, z przyjemnością zauważyłem, że wikt rządowy we więzieniach stolicy jest lepszy i obfitszy, niż na Syberji, boć w centrum wszystko się robi na pokaz. Szczególnie smakowały mi jakieś brazylijskie konserwy fasolowe ze słoniną, których po jednej małej puszce na dwóch aresztantów dziennie wydawano w obozie koncentracyjnym. Dopiero później się dowiedziałem, że cały ogromny ładunek tych konserw, ofiarowany przez jakieś obce mocarstwo dla głodnych w Rosji, już na Murmanie do połowy zabrano dla Armji Czerwonej, zaś drugą połowę przeznaczono dla tych rojów więźniów politycznych, których się najniepotrzebniej w świecie trzyma po obozach robót przymusowych w Moskwie. A głodne chłopstwo nad Wołgą dalej czeka na zbawienie i wymiera.

Powiedziałem, że upadku rządu sowieckiego z wewnątrz, ze względu na powszechną apatję polityczną, nie przewiduję. Spowodował ją głód, a także rozbicie przez teror sowiecki wszystkich większych ugrupowań politycznych, które mogłyby wystąpić z pretensją do objęcia ciężkiego spadku po Leninie i Trockim. Tem rozbiciem wszystkich niebolszewickich partyj tłumaczy się zdumiewająca okoliczność, że garstka rzeczywistych członków partji komunistycznej, nie licząca nawet miljona głów,

piąty już rok za łeb trzyma stumiljonowy naród. Do czego dochodzi zabicie w szerokich warstwach wszelkiego zrozumienia dla znaczenia partji politycznych w państwie, tego dowód miałem w Tajszecie, gdy zestawiając jako sekretarz statystykę mego urzędu, musiałem przy każdym urzędniku wypełniać rubrykę: »przynależność partyjna«. Na zapytania w tym względzie otrzymywałem wzamian przeważnie lękliwe zapytania, o co właściwie chodzi, a gdy się zastanawiałem, jak wytłumaczyć, ktoś rezolutniejszy koło mnie wypalił poprostu: »Chodzi o to, czy należysz do partji komunistycznej czy nie? Jeżeli nie należysz, toś bezpartyjny, rozumiesz?« I to wyjaśnienie wszystkim trafiło do przekonania.

W zimie 1920/1921 był coprawda jeden symptom zmiany i w tym względzie: rząd sowiecki zrobił wyłom w swej polityce zupełnego skrępowania swobody słowa drukowanego i pozwolił wydawać łagodnie opozycyjną gazetę *Narod* jako organ lewego skrzydła partji socjalistów-rewolucjonerów. Partja ta, choć najbardziej zbliżona swą ideologją do bolszewików, przedtem przez nich była zwalczana zajadlej niż inne, dalej na prawo posunięte, dlatego, bo jako bliższa programem, bardziej groziła zwartości ich własnego stronnictwa. Z triumfem co chwila ogłaszano po gazetach prawdziwe czy fikcyjne akty skruchy nawróconych na czysty komunizm »es-erów«. Zmiana frontu więc była znamienna i chyba podyktowana przeczuciem, że pod naciskiem mocarstw wypadnie stopniowo przekształcić

rząd bolszewicki na koalicyjny, z dopuszczeniem przedstawicieli stronnictw nie-bolszewickich. Ale kto zna procent żydowskich fanatyków i doktrynerów *à la* Trockij w szeregach partji es-erów, ten wielkich złudzeń co do tak poczętej metamorfozy rządu sowieckiego mieć nie może.

Czy jednak nie podniesie głowy zagranicą jakaś zwarta siła polityczna anti-sowiecka? Według mego przekonania nie. Emigracja rosyjska, choć liczebnie od komunistów w Rosji potężniejsza i przez Niemców na wszelki wypadek pieszczona — w samym Berlinie jest podobno 300.000 Rosjan, — na silny zbiorowy czyn się nie zdobędzie: zawsze ją paraliżować będą małostkowe spory wewnętrzne, tak samo, jak paraliżowały naszą wielką Emigrację we Francji po powstaniu listopadowem. Już po napisaniu tych słów jaskrawie potwierdził moje przewidywania zamach oficerski na Miljukowa w Berlinie, którego ofiarą padł Włodzimierz Nabokow.

Ale dlaczego wewnątrz Rosji nie tworzy się pod powierzchnią publicznego życia sowieckiego jakaś nowa, skonsolidowana opozycja przewrotowa? Ten brak inicjatywy politycznej ma swe przyczyny nietylko w chwilowem położeniu, lecz w stałym charakterze narodu.

Zauważyłem już, z jak niegodną gotowością czekała burżuazja syberyjska żółtych zbawców z Japonji. Tak samo i w Rosji wyglądało się i wygląda wciąż zbawicieli z zewnątrz. Charakterystycznym w tym względzie był ten wybuch nienawiści, z ja-

kim siedzący ze mną w obozie moskiewskim oficer armji Wrangla oświadczył, że jeszcze tej nocy przerżnąłby, gdyby mógł, gardło każdemu współwięźniowi Polakowi za to, że Polacy tak niecnie zdradzili sprawę Wrangla i zawarli pokój ryski, nie dobiwszy rządu sowieckiego. Jak gdyby Polska miała tylko to jedno zadanie polityczne — powyciągać kasztany z ognia dla Rosjan, a potem może jeszcze oddać się sama pod ich rządy!

Do bezczynności politycznej inteligencji przyczynia się i to, że losy wzrastającej liczby inteligentów są już związane z rządem sowieckim. W r. 1918 Lenin z właściwym sobie rozumem praktycznym pierwszy wyciągnął rękę do burżuazji, ofiarowując jej funkcję »doradców technicznych« w budownictwie państwa socjalistycznego. Ręki tej burżuazja nie przyjęła, stając na stanowisku bojkotu sowietów, a Leninowi dalej iść nie pozwolili zagorzalcy klasowi w jego szeregach. Ale zczasem bolszewicki przymus do pracy w instytucjach rządowych, oraz nieubłagane konieczności gospodarcze — »rozpowszechniony przesąd, że trzeba jakoś żyć«, jak mówi Ibsen w »Norze« — skłoniły tę inteligencję, która ocalała od śmierci i więzień, do wstępowania w coraz większej ilości w rzędy pracowników sowieckich. Dziś nietylko Armja Czerwona pełna jest oficerów i jenerałów z armji dawnej, ale we wielu urzędach sowieckich zaczyna już przeważać dawny żywioł inteligencki, a w niektórych dziedzinach fachowcy są nawet na swoich miejscach: w Ministerstwie Komu-

nikacji pracują inżynierowie, w Ministerstwie Sprawiedliwości — prawnicy (mówiono nawet już o wskrzeszeniu adwokatury).

W związku z tem okrzyczana przewaga żydów na wyższych stanowiskach w urzędach sowieckich stała się mniej rażącą. Prawda, że pozostają ciągle jeszcze pewne urzędy, zapchane żydami od góry do dołu: takim w Moskwie jest Komisarjat Spraw Zagranicznych, gdzie potrzeba obrotności dyplomatycznej i znajomości języków, a więc kwalifikacji częstszych u żydów, niż u Rosjan. W innych urzędach jednak stosunek procentowy zmienia się na korzyść żywiołu rosyjskiego.

Jest atoli część terytorjum dawnej Rosji, gdzie według jednomyślnego świadectwa wszystkich, co tam byli, zżydzenie władz jest większe, niż kiedykolwiek było w Rosji samej, i trwa bez zmiany dalej także obecnie: tą częścią jest Ukraina sowiecka. Tam nie było nigdy większego zastępu inteligencji rodzimej, bo Ukraińcy w państwie rosyjskiem nie wyrobili sobie jej jeszcze, jak Ukraińcy austrjaccy, — nie miał więc kto zajmować miejsca żydów. Tam też trwa u ludu, również w niezmienionej sile, stara tradycja nienawiści do żydów: bo chłop ukraiński znał drobne żydowskie pijawki tak samo, jak je znał chłop polski. Tymczasem u chłopa wielkoruskiego, którego nigdy żyd nie wyzyskiwał, żywiołowego antysemityzmu — prócz bezmyślnego powtarzania szerzonych przez czarnosecińców haseł pogromowych — nigdzie nie zauważyłem. We wsi sy-

beryjskiej Tajszecie, gdzie mieszkało żydów dość sporo, nigdy nie widziałem, by ludność odnosiła się do nich inaczej niż do innych współobywateli. Oburzenie i rozgoryczenie miało raczej za przedmiot tę garstkę nałogowych pijaków, niegospodarnych bankrutów i bandyckich szubrawców z pośród miejscowych chłopów, którzy tworzyli lokalne kółko partji komunistycznej i teroryzowali swych sąsiadów od czasu do czasu przez areszty lub przez rewizje, podczas których się obławiali: tak przez dziwną ironję losu zdarzyło się właśnie w noc przed mojem aresztowaniem w marcu r. 1921. Ajent czerezwyczajki krasnojarskiej, który po mnie przyjechał, udawszy się po różne poufne informacje do miejscowej organizacji partyjnej, zastał wszystkich jej członków ciężko pijanymi, bo w nocy przy rewizjach po domach prywatnych pokonfiskowali mnóstwo »samogonki«, czyli wódki domowego wyrobu. Ajent chciał ich wszystkich odrazu aresztować, ale po dłuższych prośbach i przedstawieniach zgodził się tego nie uczynić. Tylko tak uniknąłem zaszczytu zjawienia się przed obliczem czerezwyczajki w miłem towarzystwie przedstawicieli partji rządzącej.

Jeżeli rządy żydowskie w Rosji nie zachwiały kamiennej równowagi i obojętności chłopa rosyjskiego wobec żyda, to tak samo nie zachwiały jego przywiązania do c e r k w i wznawiane wciąż jej prześladowania przez bolszewików, coraz nowe paroksyzmy kampanji anti-wyznaniowej i anti-religijnej. Właśnie gdy to piszę, gazety przynoszą wiado-

mości o nowych dekretach, godzących w naukę wszelkiej religji, a także między innemi w byt i funkcje społeczne naszych probostw katolickich w Rosji, tych jedynych dotąd, wśród wszystkich burz i zmian, środowisk dobroczynności, informacji i oświaty narodowej.

Nowe te dekrety anty-religijne są tylko powtórzeniem różnych dawniejszych rozporządzeń, a powtórzenia takie od czasu do czasu okazują się potrzebnemi, bo mało kto rozkazów słucha. Komunistom zdawna nie wolno brać udziału w praktykach religijnych pod karą wykluczenia z partji, a sam ich niejednokrotnie widywałem na nabożeństwach. Najosobliwsze może na mnie wrażenie zrobiło widowisko, jakie miałem w noc Bożego Narodzenia roku 1921 na »Pasterce« w kościele polskim w Moskwie: roiło się tam od czerwonych gwiazd komunistycznych, zdobiących czapki i rękawy żołnierzy z bataljonu, który sprawuje wartę w pobliskim gmachu czerezwyczajki wszechrosyjskiej.

Ale byli to Polacy, którzy z musu, czy wreszcie dla kawałka lepszego chleba tam służą, a wiarę ojców mogli zachować. Ja zaś chcę uwydatnić tutaj przedewszystkiem bezskuteczność wszelkich prześladowań cerkwi prawosławnej ze strony bolszewików wobec niezmiennego, wiernego do niej przywiązania ludu rosyjskiego.

Jak murowanym był ten wał ciemnoty, którym państwowa cerkiew rosyjska za dawnego rządu otaczała masy, tego miałem humorystyczny naoczny

dowód, gdy w roku 1915 w gronie polskich znajomych zwiedzałem sławne miejsce pielgrzymek, Ławrę Troicko-Siergiejewską koło Moskwy. Zapatrzyłem się był właśnie w główną dla pątników attrakcję, cudną »Trójcę« na ołtarzu, to arcydzieło malarstwa staro-cerkiewnego. Trójca to, trzeba wiedzieć, nie taka, do jakiejśmy w obrazach religijnych przywykli: nie staruszek Bóg, rozpinający na krzyżu Syna z trzepocącym się nad nimi gołąbkiem, lecz poprostu trzy głowy o dziwnie zaziemskiej, anielskiej, bezpłciowej piękności, wzajemnie ku sobie pochylone i tworzące linję o tak nieporównanej melodji, jak wierzchni kontur pełnej, łagodnej fali morskiej. Z zachwytu nad tą wizją piękna, godną »Raju« Dantego, wyrwał mnie głos jednego z towarzyszy, znanego kpiarza-publicysty z kolonji polskiej w Moskwie, który zwrócił mą uwagę na wiszący w kącie kaplicy wielki obraz Sądu Ostatecznego. Płótno z połowy XIX wieku, nader surowej roboty, dalekie oczywiście było swem natchnieniem od »Sądu Ostatecznego« Michała Anioła. I oto w prawym dolnym kącie, wypełnionym językami ogni piekielnych, ujrzałem smażącego się w nich — studenta uniwersytetu w mundurze i czapce z daszkiem! Zaiste, trudno chyba byłoby o wymowniejszy symbol.

Wybijając pokłony w cerkwi, Moskal równocześnie gardził swym popem. Niejednokrotnie tego widziałem dowody, — szczególnie jaskrawy raz, gdy na przyjęciu u nauczyciela wiejskiego na Dalekim Wschodzie obecny tam *batjuszka*, podpiwszy sobie,

był nietylko przedmiotem pośmiewiska ze strony oficerów austrjacko-węgierskich, rozbawionego zdziwienia — jak jakieś egzotyczne zwierzę — dla Amerykanów, ale także otwartego i bezceremonjalnego lekceważenia ze strony rosyjskich gospodarzy.

Jako Polak, nie miałem powodu kruszyć kopji za uszanowaniem duchowieństwa prawosławnego. Przeciwieństwo między rozczochranemi pseudo-Chrystusowemi brodami i grzywami popów, ich zadumanie-apatycznym wzrokiem i zaplutą, nieokreślonego koloru, powłóczystą szatą duchowną, — a różową, wygoloną twarzą, bystrem, myślącem wejrzeniem i czystą czarną sutanną naszego księdza, zawsze mnie napełniało przyjemnem poczuciem naszej wyższości kulturalnej. Mimo to jednak, czułem ludzką litość dla popów, gdy ich w pierwszych latach rządów sowieckich okrutnie męczono, gdy niejednego z nich później spotkałem po więzieniach bolszewickich. Słuszniej niż o jakimkolwiek odłamie sług starego porządku można coprawda było rzec o nich, że »zbierają żniwo z tego, co posiali«, że hodując ciemnotę, sami wyhodowali bolszewizm. Jednak były wszakże i wśród nich jednostki ewangeliczne — choć sam znam taką tylko z noweli Andrejewa, — a w każdym razie dzikości, jakich się nad nimi dopuszczano — np. w Permi, gdzie archiereja pięknym, często praktykowanym zwyczajem wrzucono do przerębli w rzece, — musiały do głębi oburzać każdego cywilizowanego człowieka. Mimowoli poruszył się zakorzeniony w każdym Europej-

czyku instynkt poszanowania dla wiekowych urządzeń, gdy w konstytucji Republiki sowieckiej moralnie spostponowano duchowieństwo, pozbawiając je prawa głosowania na równi z niepoczytalnymi umysłowo.

Litość moja dla popów zmoderowała się nieco, gdy się przekonałem, że i w nowych warunkach lud im zginąć nie da. Zaraz w pierwszych dniach po ponownem opanowaniu Krasnojarska przez bolszewików w r. 1920 zdumiałem się mocno, widząc, jak w święto Jordanu, mimo trzaskającego mrozu i mimo rozpoczynających się represji sowieckich, cały plac koło cerkwi katedralnej aż czarny był od tłumów, które nie pomieściły się w samej świątyni. Wnet się dowiedzieć miałem, że cerkiew i jej słudzy otrzymują także materjalniejsze dowody niezmienionego przywiązania narodu. W Tajszecie, pracując w urzędzie aprowizacyjnym i wiedząc, że duchowieństwo na równi z klasą wolno zarobkujących rzemieślników pozbawiono deputatu żywnościowego, zastanawiałem się czasem nad tem, z czego żyje miejscowy pop. Przestałem się dziwić, gdy mi opowiedziano, że on — handluje jajami, bo mu ich chłopi okoliczni znoszą daleko więcej, niż dla siebie i rodziny potrzebuje. A w Krasnojarsku w obozie koncentracyjnym, gdym zazdrościł kilku internowanym tam zakonnicom z pobliskiego klasztoru żeńskiego, które zajadały się w obecności wygłodzonych współwięźniów masami kotletów, moja przyjaciółka rosyjska, pułkownikowa D., powiedziała

mi: »Niech Pan się raczej lituje nad niemi: czy chcą czy nie chcą, muszą co dwie godziny jeść, żeby się nie psuły te różne dobre rzeczy, których tak wiele dostają«. Pochodziły te prowjanty częścią ze starych zapasów klasztornych, które jednak zlękli się naruszyć nawet bolszewicy, a częścią z ofiar pobożnych duszyczek. Przypomniały mi się te orgje obżarstwa po »*skitach*«, czyli leśnych klasztorach żeńskich surowych a bogatych sektantów »starowierów«, o których czytałem na każdej prawie stronnicy powieści Mielnikowa-Pieczerskiego »W lasach« i »Na górach«. Moralnie także nie w tym stopniu już współczułem duchowieństwu prawosławnemu, gdy się z biegiem czasu przekonałem, że zaczyna ono we wielu wypadkach paktować z szatanem sowieckim. Trzyma się wprawdzie cerkiew uporczywie dalej swego kalendarza juljańskiego, gdy urzędownie panuje gregorjański, i musieli nawet bolszewicy zezwolić na obchodzenie dziesięciu w roku świąt kościelnych według starej daty, — ale z drugiej strony spotykałem popów, którzy pracowali w urzędach administracyjnych i instytucjach oświatowych sowieckich, a słyszałem nawet o takich, co uprawiali propagandę bolszewicką z kazalnicy. Dowiedziałem się też, w Delegacji Polskiej w Moskwie w zimie r. 1921/22, że za cichą zgodą imperjalistów bolszewickich wielu popów pod zewnętrzną powłoką chłopską przemyca się do Grodzieńszczyzny jako agitatorzy za powrotem naszych kresów na łono państwa rosyjskiego.

Od prognoz co do przyszłości cerkwi w Rosji się wstrzymam. Nie będę też dyskutował tak popularnej teraz u nas kwestji, czy ma jakie widoki krzewienie w Rosji idei unji kościelnej z Rzymem lub nawet nawracanie narodu na wiarę rzymską. Nie wydają mi się te zagadnienia żywotnemi dlatego, że obok znanych skłonności mistycznych duszy rosyjskiej do mętnego i nieokreślonego »*bogoiskatielstwa*«, czyli poszukiwania wiary, poznałem jednak także całą głębię niereligijności myślącego Rosjanina. Uderzył mnie ten rys szczególnie w listach Czechowa, wydanych w kilku tomach z papierów pośmiertnych w czasie wojny, i słusznie podziwianych przez całą czytającą Rosję. Tam ten wielki pisarz i głęboki psycholog w kilku miejscach z niezwykłą bezwzględnością zaznacza, że religja wykształconemu człowiekowi naszych czasów nie ma absolutnie niczego do powiedzenia, i nie może dlań być źródłem pokrzepienia duchowego ani wobec straszliwych zagadek metafizycznych ani wobec cięższych zagadek życia.

Zarzuci ktoś, że jednak ogromną większość narodu stanowi lud, który jest wierzący i sprawami religijnemi przejęty. Odpowiem: wiara chłopa rosyjskiego jest martwą wiarą w literę cerkiewną — w literę dla niego nieczytelną! — jego mistycyzm, bezkresowy i bezpłodny, z hallucynacjami zataczającego się pijaka porównać można, zaś nierozerwalnie z tym mistycyzmem w jego psychice przez dziwny mezaljans jest skojarzony może najgrubszy

w świecie materjalizm, który do gruntu przenika cały jego powszedni światopogląd i całą codzienną etykę. Na takich fundamentach nie może być zbudowana prawdziwie żywa religja, nie może być mowy o konkretnej, społecznie zorganizowanej krystalizacji pewnych wspólnych wierzeń transcendentalnych i pewnych z niemi ideowo powiązanych maksym postępowania. Może być mowa conajwyżej o religji ściśle obrzędowej, o zbiorowem zaspokajaniu pewnych jednakowych potrzeb uczuciowych przez pewne tradycyjne praktyki. A tego dla żywotności religji za mało, jak za mało byłoby samego szkieletu i skóry dla życia organizmu ludzkiego.

* * *

Od religji przejdźmy do kilku słów o pokrewnej z nią dziedzinie sztuki. Pokrewną religji jest sztuka szczególnie w Rosji, bo ten tak naiwny jeszcze pod wielu względami naród traktuje i sztukę daleko poważniej, niż ludy zachodnie. Te naogół widzą w niej tylko odświętną rozrywkę i ozdobę życia, a Moskal wyższego typu — zadowolenie głębokiej i stałej potrzeby duchowej, istotną funkcję życiową duszy ludzkiej. Nigdy nie miałem tak zupełnie wrażenia, że uczestniczę w jakiejś ceremonji rytualnej, nigdy tak nie wiało na mnie religijnym nastrojem starych Greków w ich teatrze, jak w r. 1915, gdym siedział wśród elity inteligentnej publiczności

rosyjskiej w jednym z najdoskonalszych w świecie teatrów — Teatrze Artystycznym Stanisławskiego w Moskwie — na klasycznych prawdziwie przedstawieniach nowoczesnych tragedyj Czechowa, historycznych widowisk Aleksieja Tołstoja i wierszowanych dramatów Puszkina.

W roku 1921 ujrzałem teatry moskiewskie znowu, i zdumiony byłem, na jak wiele przepychu i staranności artystycznej je stać po czterech latach ruiny bolszewickiej. Kostjumy renesansowe w »Wieczorze Trzech Króli« w Filji Teatru Artystycznego, lub staro-wschodnie w *Salome* Wilde'a w Teatrze Kameralnym, tak samo i zasłony na ścianach, po szekspirowsku stosowane na obu tych scenach zamiast dekoracji, były nietylko tak gustowne i pyszne, ale tak wytworne i cenne, że ze zdziwieniem się pytałem, skąd wzięto na nie materjały w obdartej i gołej Rosji. Stroje biedermaierowskie w »Rewizorze« Gogola w Teatrze Artystycznym i hiszpańskie w »Cyruliku sewilskim« w Operze Wielkiej, były niemniej świetne, ale te może pochodziły z zasobów przedwojennych. Że się jednak dochowały przez te czasy, gdy nawet gobeliny flamandzkie i obrazy starych mistrzów krajano na unucki żołnierskie, — to świadczy o szczególniejszej opiece rządu nad teatrem.

Mniej niż akcesorjami zachwycony byłem w Moskwie w 1921 r. grą. Nosiła piętno pewnych tendencyj niby-demokratycznych. Jak w polityce z proletarjatu chciano zrobić całe społeczeństwo, tak

w teatrze z galerji zrobiono całą publiczność i do gustów galerji dostrajano cały ton przedstawienia, apelując do niej czy to przez obfitość błazeńskich dodatków do oryginału, jak w *Wieczorze Trzech Króli*, czy to przez wiecowe apostrofy do audytorjum, jak w *Rewizorze*, czy przez wyjaskrawianie momentów sensacyjno-patologicznych, jak w *Salome*, czy wreszcie przez sam wybór »rewolucyjnego« dramatu o upadku słabego i niedołężnego króla — jak w *Eryku XIV* Strindberga.

Zewnętrzne dzieje teatru, jak wszystkich instytucyj publicznych w Rosji, w chwili, gdy to piszę, przechodzą z fazy komunistycznej napowrót w ramy ustroju kapitalistycznego. W pierwszych latach bolszewizmu wszystkie teatry były rządowe i wstęp był bezpłatny dla czerni z wojsk, urzędów i zakładów sowieckich, która otrzymywała ze swych instytucyj bilety, zapychała widownię i zapluwała *foyer* łupami z ziarn słonecznikowych. Dziś już znaczna ilość teatrów znowu jest w rękach przedsiębiorców prywatnych — pod firmą spółek aktorskich, — bilety znów sprzedają się za pieniądze — krzesła po kilkadziesiąt tysięcy, loże po kilkaset lub po miljonie,— a wśród publiczności, choć naogół oczywiście ubranej nędznie, dzikus staje się już rzadkością, przeważają fizjognomje inteligentne, a nie brak (jak i u nas) wystrojonych paskarzy i ich utrzymanek. To też coraz śmielej poczynają wychylać głowę i dawniejsze siły twórcze w dziedzinie teatralnej: w Moskwie prawdziwie mnie orzeźwiła wśród atmosfery so-

wieckiej przepiękna sztuka znanego teoretyka teatru, Jewreinowa, »Co najważniejsze« *(Samoje gławnoje)*, mająca za przedmiot misję społeczną samego teatru, i z najczystszym idealizmem wielbiąca szczęsną moc błogiej złudy, tej niezbędnej strawy bogów, którą teatr karmi ród człowieczy wśród nędzy życia potocznego. W osobliwej tej sztuce dziwaczny filantrop amerykański najmuje trzech aktorów prowincjonalnych, by mu grali, ale nie na scenie teatru, jeno na scenie życia, opromieniając słonecznym blaskiem illuzji szarzyznę marnej egzystencji różnej biedoty inteligenckiej w drugorzędnym pensjonaciku. Teza przeprowadzona jest z triumfującym, zgoła obcym nowszej literaturze rosyjskiej optymizmem, a uszczęśliwiony pensjonat na scenie w rękach umiejętnego reżysera, Sachnowskiego (docenta literatury w uniwersytecie moskiewskim) zmienił się w czwartym akcie z okazji domowego baliku maskowego w jakiś ogród czarów, godny porównania z królestwem Oberona i Tytanji w *Śnie Nocy Letniej*.

Ten iście meteoryczny utwór, to nie odosobniony — miejmy nadzieję — fenomen. Pojmuję go raczej jako zapowiedź, że w ślad za powrotem do kursu kapitalistycznego w polityce ekonomicznej i sztuka nawróci ku swoim starym, wiekuistym, ogólno-ludzkim ideałom, i jak urzeczywistnienie komunizmu w ustroju społecznym wniwecz się obróciło, tak i nic nie będzie z hucznie głoszonej od kilku lat przez rząd sowiecki rewolucji w sztuce, nie stanie żadna sztuka specyficznie proletarska — której

nawet jej propagatorzy dotąd bliżej określić nie potrafili — na miejsce dawnej sztuki rzekomo burżuazyjnej, nie będzie przesunięcia punktu ciężkości w sztuce ze sfery wypowiedzenia się osobistego w dziedzinę psychiki zbiorowej, lecz po staremu każdy twórczy czyn artystyczny będzie miał w sobie w równej mierze pierwiastek indywidualnej ekspresji niezwykłego człowieka, jak i niemniej żywotną funkcję socjalną budzenia w słuchaczach czy widzach pewnych oddźwięków i wrażeń, które ich niezależnie od ich *credo* politycznego lub społecznego wynoszą poza drobiazgowość pospolitej rzeczywistości w ożywczą sferę wartości oderwanych, uduchowionych i nieśmiertelnych.

* * *

Było mi danem patrzeć na wielki socjalno-polityczny eksperyment bolszewizmu w trzech fazach jego dziejów: widziałem niepewne próby urzeczywistnienia ustroju bolszewickiego w Chabarowsku w r. 1918, byłem z musu narzędziem zdecydowanej już i do gruntu życia społecznego sięgającej polityki komunistycznej jako urzędnik sowiecki w Tajszecie w r. 1920, wreszcie stałem się świadkiem kapitulacji komunizmu i przywrócenia porządków kapitalistycznych w Moskwie w r. 1921.

To też nie bez słuszności oczekiwano odemnie po powrocie jakiejś syntezy na podstawie moich doświadczeń.

Rosja jest krajem potężnych niespodzianek, i na prognozy dziś się odważać nie będą ci, co w roku 1917 myśleli, że bolszewizm petrogradzki utrzyma się nie dłużej, niż kommuna paryska r. 1871. A myślał tak wtedy ogół ludzi wykształconych.

Do wycieczek w dziedzinę teoretycznych uogólnień nie czuję się na siłach, nie będąc ani prawnikiem, ani politykiem, ani, co najważniejsza, ekonomistą.

Przedstawię tu więc tylko trzy proste wnioski logiczne laika, z koniecznością dla mnie wynikające z tego, com widział i przeżył.

Pierwszy rezultat moich spostrzeżeń i zarazem najogólniejsze ich streszczenie, to fakt, że odsłoniła się przed memi oczyma szerzej niż kiedykolwiek ogromna otchłań między teorją a praktyką w dziedzinie polityki socjalnej. Oczywiście otchłań między ideologją marzycieli a dziką ciemnotą mas musiała być w Rosji szczególnie głęboka. Ale głęboką ponoś jest wszędzie, i śmiem twierdzić, że nietylko dla Rosji, ale dla całego świata poważną nauką jest widzieć, jak chciano wytępić burżuazję kapitalistyczną, a dziś nieprzeparcie wyrasta na jej miejsce nowa burżuazja sowiecka; jak chciano podnieść dobrobyt klasy pracującej, a sproletaryzowano do ostateczności cały naród; jak chciano najczulszą opiekę społeczną rozciągnąć nad dziećmi, a miljony ich umarły z głodu; jak chciano zrobić naukę większą niż kiedykolwiek potęgą w społeczeństwie, a wiedza zanikła do szczętu wśród szerokiego ogółu; jak

chciano postawić sztukę na piedestale powszechnego zrozumienia i ogólnej dostępności, a od tej zachęty państwowej najlepsi artyści uciekli zagranicę, a nowe talenty w jej promieniach nie wyrosły.

Widowisko to każdego, co je ogląda, na zawsze wyleczyć musi od bałwochwalstwa wszelkiej ideologji oderwanej, musi uczyć niezbędnego we wszelkiej polityce r e a l i z m u.

Powtóre: w republice, której hasłem jest dyktatura proletarjatu pracującego, w której nad wszystko stawia się pracę, w której praca jest warunkiem praw obywatelskich i bytu materjalnego i ustawowym obowiązkiem każdego człowieka, — w tem państwie pracy bardziej niż gdziekolwiek i kiedykowiek upadła w y d a j n o ś ć p r a c y ludzkiej. Wrzód potwornej biurokracji pokrył całą powierzchnię ciała społecznego, setki wysokich pieców na Uralu zgasły do ostatniego, potężna produkcja bawełny turkestańskiej spadła do 1% przedwojennej, zagłębie donieckie daje znikomą ilość węgla, a drzewa z ogromnych przestrzeni leśnych wyrąbuje się nieskończenie mniej niż przedtem i trzeba je kupować u zagranicy; rolnik zasiewa — na Syberji przynajmniej — dziesiątą część tego co poprzednio.

Znowuż nie dla Rosji tylko, ale dla całego świata te dramatyczne zaiste szczegóły obrazu wymownie chyba dowodzą, że głównem niebezpieczeństwem przekształcenia ustroju społecznego w duchu powszechnego upaństwowienia jest niebywały upadek wydajności pracy, i że dotąd nie wynaleziono

motywu, któryby tak skutecznie mógł tę produktywność pobudzić, jak ten bodziec zysku osobistego, który koniec końców i bolszewicy ujrzeli się zmuszonymi znowu zastosować.

Wreszcie po trzecie, i co najpoważniejsze z wszystkiego. Nie jestem bynajmniej zaślepionym zasadniczym przeciwnikiem socjalizmu. Nietylko uznają słuszność społeczną i wzniosłość moralną jego żądań, ale przedewszystkiem nie mogę nie widzieć, że czy chcemy, czy nie chcemy, rozwój dziejowy wszystkich współczesnych społeczeństw z nieubłaganą koniecznością już wszedł na tory ustawodawstwa socjalistycznego, i żadna siła dziś nie zwróci koła historji w innym kierunku. Z drugiej strony widzę równie doskonale, że despotyzm komisarski w Rosji sowieckiej jest barbarzyńskiem, mongolskiem wypaczeniem doktryn socjalizmu zachodniego, i jestem przekonany, że tak potwornych form ustrój radykalno-socjalistyczny nigdy nie mógłby przyjąć w żadnem państwie o kulturze zachodniej, począwszy od naszej Polski. Mimo to jednak znowuż i w tym punkcie uważam, że wypadki rewolucji rosyjskiej są naukami nietylko dla Rosji, ale dla całego świata. Uczą mianowicie nas wszystkich, jak nieskończonej ostrożności potrzeba przy wprowadzaniu w czyn wszelkich reform socjalistycznych, by nie nadwerężyć tego najżywotniejszego ze wszystkich dóbr materjalnych: ogólnego d o b r o b y t u n a r o d o w e g o. W Rosji jak od różdżki czarodziejskiej przepadła w odmętach przewrotu ta ogromna masa

bogactwa, która dawniej przy całym ucisku politycznym czyniła ją jednak krajem tak ponętnym dla przedsiębiorczych cudzoziemców i tak drogim sercu przeciętnego »zjadacza chleba«, nawet choć to był nie nadwołżański kupiec, lecz polski inżynier lub sprytny kolonista niemiecki. Poprostu mimo dość dokładnego wniknięcia we wszystko co się dzieje, nieraz w sowieckiej Rosji i Syberji przychodziło chwytać się za głowę i pytać: gdzie się wszystkie te dostatki podziały, i czy choć ktoś ma naprawdę co z nich teraz? Przypominał się ten obraz proletaryzacji Bliskiego Wschodu — Małej Azji i Syrji — i upadku w nich materjalnej kultury rzymskiej, jaki Renan w swych Dziejach Apostolskich kreśli jako wynik szerokiego komunizmu pierwszej ery chrześcijańskiej.

Ta ostatnia przestroga z dziejów nowej Rosji szczególnie głośno brzmieć powinna w uszach naszych, bo u nas w Polsce niewątpliwie dobrobyt narodowy już poważnie ucierpiał przez nierozważne i niedojrzałe doświadczenia ustawodawcze i przez hipertrofję biurokratyczną maszynerji państwowej. Niechże dla nas ma wartość groźby ten przykład naszych sąsiadów, którzy chcieli zniszczyć kapitalizm i jego zła, a zniszczyli kapitał i jego dobra.

ZAKOŃCZENIE.

Piekło repatrjacyjne.

Gdy wspomnienia te wyjdą z pod prasy, proces powrotu jeńców, wygnańców i innych obywateli polskich, da Bóg, może już będzie na ukończeniu. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, — jako że chcę w tych obrazkach dać kawał przeżytej historji, — uważam za najwłaściwsze zakończyć ten zbiór mych wrażeń powtórzeniem owych »Pierwszych myśli po powrocie do kraju«, które rzuciłem na papier zaraz w Warszawie, gdy dzięki energicznej interwencji naszego posła w Moskwie, p. Z. Stefańskiego, pociąg kurjerski uniósł mnie nareszcie z granic Rosji, i stanąłem na wolnej ziemi polskiej. Poczytywałem sobie wtedy za obowiązek przedewszystkiem powiedzieć społeczeństwu coś o tych nieszczęśliwszych odemnie repatrjantach, którzy albo wracali w daleko gorszych odemnie warunkach, albo też jeszcze biedowali w głębiach republiki sowieckiej.

Na piekło repatrjacyjne — trudno użyć mniej silnego wyrazu — patrzyłem przez ostatnie półtrzecia miesiąca mojego pobytu w Moskwie, od 1 listopada 1921 do połowy stycznia r. 1922, jako pracow-

nik Delegacji Repatrjacyjnej polskiej w Wydziale jeńców wojennych, a zarazem pomocnik wiceprezesa tej Delegacji, p. Adama Zielezińskiego, w dziale najbardziej obleganym, t. j. w dziale doraźnych zapomóg żywnościowych i odzieżowych dla przejeżdżających eszelonów repatrjanckich i dla pojedynczych petentów. Wreszcie pełniłem funkcję sekretarza w nieurzędowej instytucji ratunkowej, zorganizowanej z pośród pracowników dwóch sąsiadujących ze sobą urzędów polskich w Moskwie, Delegacji Repatrjacyjnej i Reewakuacyjnej, mianowicie w Komitecie Doraźnej Pomocy.

Na podstawie doświadczeń, w tej pracy zebranych, przedewszystkiem stwierdzić muszę, że lwia część tych narzekań zrozpaczonych i rozgoryczonych repatrjantów, które rozlegały się w kraju po wiecach, prasie i Izbie sejmowej, powinna była być adresowana do władz sowieckich. Ich niesłychana niezdarność i niewątpliwa zła wola piętrzyła przed polskiemi organizacjami repatrjacyjnemi na każdym kroku przeszkody, o których tylko ten może mieć należyte pojęcie, kto sam przez jakiś czas był wprzągnięty do iście syzyfowej pracy Delegacji. W tworzeniu tych gór lodowych, które bezustannie zagradzały drogę naszemu okrętowi repatrjacyjnemu na mętnych wodach oceanu rosyjskiego, — walny udział brali najwięksi nasi wrogowie: komuniści polscy w Rosji. Ci ludzie grali — i gdy to piszę, grają jeszcze — o ostatnią w życiu stawkę: o ileby im się nie udało przez paraliżowanie akcji repatrjacyjnej

zamącić stosunki między Polską a Rosją, a zarazem rozgoryczyć masy wygnańcze przeciwko Polsce jako winowajczyni ich cierpień, — nie byłoby już dla nich karjery w Rosji, tak jak niema gruntu pod nogami w Polsce. Oni też głównie, zasiadając na odpowiedzialnych stanowiskach w gubernjalnych urzędach ewakuacyjnych (»Gub-Ewakach«) po Rosji i Syberji, pracowali nad tem, by systematycznie utrudniać powrót do kraju jednostkom wartościowym, i równie systematycznie zapychali eszelony żywiołem schorzałym, nietylko fizycznie, ale i moralnie, zarażonym jadem nienawiści do Polski, i zdemoralizowanym przez typowo sowieckie, zupełne rozerwanie związku myślowego między pracą zarobkową a opieką społeczną. Oni nam słali zamiast wyczekiwanych tęsknie Polaków chmary zbolszewiczałego chłopstwa ruskiego z Grodzieńszczyzny, roje żydów i zastępy zamaskowanych agitatorów sowieckich. Ich dziełem były takie typowe epizody jak ten, co się rozegrał pod oknami wagonu pań polskich z Irkucka, które uzyskały w Delegacji znaczną zapomogę w żywności i odzieży i rozdały ją jak najbezstronniej między najbardziej potrzebujących ludzi w swym eszelonie, zarówno Białorusinów jak Polaków; zaś Białorusini, zebrawszy wiec koło pociągu, perorowali w mowach, że »są chwała Bogu tymczasem jeszcze w kraju wolnym, gdzie do nich samych należy kontrola nad rozdawnictwem należnych im zapomóg rządowych, i że nie dadzą się krzywdzić przez burżuazję polską«.

Zaiste, zdumiewający przykład tej hipnozy mas przez frazesy, która jest najbardziej zdumiewającym a zarazem najstalszym objawem w tym obecnie najmniej wolnym ze wszystkich krajów na świecie. Niedarmo urzędowe skrócenie nazwy Republiki: *R. S. F. S. R.* (»Rossijskaja Socjalisticzeskaja Fiedieratiwnaja Sowietskaja Respublika«) żartobliwie przetłumaczono słowami: »Riedkij słuczaj fienomienalnawo sumasszestwja rasy« (»rzadki wypadek fenomenalnego obłędu całego plemienia«).

Wskutek rozstroju ruchu kolejowego w Rosji i straszliwego, w znacznej mierze rozmyślnego marudztwa władz ewakuacyjnych, najsilniejsza fala eszelonów poczęła płynąć ku Moskwie w czasie najgorszym i najtrudniejszym, już nie latem, lecz późną jesienią i zimą; gdym opuszczał Moskwę w styczniu r. 1921, było ich jakie 150 w drodze ze wszystkich stron Rosji i Syberji. Eszelony, opalane tylko przez zorganizowaną kradzież drzewa, popychane naprzód tylko przez składanie wdowiego grosza na miljonowe łapówki dla kolejarzy, nie karmione w drodze przez władzę sowiecką prawie zupełnie (wbrew zobowiązaniu traktatowemu), zatrzymywane tygodniami po stacjach, wlokły się po miesiącu, dwa miesiące i więcej z głębi Rosji i Syberji do Moskwy, i dociągały tam literalnie ostatnim tchem, wyniszczone ze wszystkich zapasów doszczętnie, zawalone chorymi, z trupami na wszystkich hamulcach. Ludzie, często przeszedłszy w drodze sakramentalny tyfus, marli po wyzdrowieniu z wycieńczenia — jak

żołnierz 5. dywizji z Syberji, Kwaśnica, na piątym krasnojarskim eszelonie jeńców, zmarły już w samej Moskwie. Były przykłady, jak eszelon turkestański, co jechał dwa miesiące z Taszkentu do Moskwy, potem stał miesiąc w Moskwie, a potem jeszcze jechał miesiąc od Moskwy do granicy, razem cztery miesiące, — jak piąty eszelon jeniecki i pociąg sanitarny krasnojarski, które oba stały po trzy tygodnie gotowe do wyjadzu na stacji Krasnojarsk, a potem jeszcze po dwa — w Omsku; — jak znany już w całej Polsce czwarty jeniecki z Krasnojarska, co stał w Orszy dni szesnaście, zjadał psy i wysprzedał się z płaszczów prócz dwóch na wagon. Do tych haniebnej dla sowieckiej Rosji przykładów przybywa w chwili, gdy to piszę, jeszcze straszny ezelon kazański, który według wiadomości w gazetach z dnia 22 marca 1921 roku, na przebycie 1.633 kilometrów potrzebował całych trzech miesięcy, i w którym z 1.948 osób zmarło w drodze 1.299, czyli dwie trzecie ogólnej liczby jadących! A od kolegi z 5. dywizji, co wracał piątym eszelonem krasnojarskim, otrzymałem z obozu izolacyjnego w Dęblinie list, z którego dosłownie przytaczam następujący wymowny ustęp: »Z wielką biedą dociągnęliśmy do granicy, naprawdę był to cud, już bez chleba i tłuszczów. Znaleźliśmy jeszcze jedyny b ó b, który można było w Orszy kupić, i tak ten jedząc i pracując po drodze przy oczyszczaniu stacyj od śniegu, dociągnęliśmy ledwo ledwo. Byłem tak zmęczonym i wyczerpanym ze sił, że nic mi się nie chciało po przyjeździe do

Dęblina. Prawdę mówiąc, nie mogłem chodzić, a o myśleniu mowy być nie mogło, — byłem takim, jak się ma przed sobą nowonarodzone dziecko. Obecnie w Rosji jeszcze gorzej: przyjechał tutaj T.: jechał z kolejarzami, mówił, że o szóstym transporcie niema mowy, jemu się udało na fałszywe dokumenty wyjechać. Jeden pud mąki czarnej w Krasnojarsku kosztuje trzy miljony rubli: to było w grudniu; ile obecnie kosztować musi, a ile w Moskwie! Po drodze spotykaliśmy od Smoleńska całe pociągi umarłych — straszne rzeczy! — Trupów nikt nie chował, wyrzucano je wprost z wagonów, a po nich chodzili ludzie, psy i świnie«.

Taka sytuacja stawiała i stawia Delegację Repatrjacyjną Rzeczypospolitej Polskiej w Moskwie wobec ogromu zadań zapomogowych, któremu środki rządowej instytucji polskiej, nawet przy pomocy skromnych funduszów Komitetu Doraźnej Pomocy i przy chętnym sukursie Amerykanów żadną miarą sprostać nie były w stanie. Choćby Polska była tak bogata, jak Anglja, nie byłaby dała swemi zasobami państwowemi ani w przybliżeniu rady biedzie repatrjanckiej. Koniec tych straszliwych siedmiu lat kataklizmów światowych postawił nas wobec katastrofy żywiołowej równie potężnej, jak ta analogiczna, którą w pierwszym roku wojny światowej stworzyła carska Rosja, pędząc nieprzejrzane masy wygnańcze ze wschodnich ziem Polski w głąb swego państwa. Jak wtedy rzuciły się do ratowania Centralny Komitet Obywatelski i Polskie Towarzy-

stwo Pomocy Ofiarom Wojny, tak i teraz, na końcowej stacji tej polskiej drogi krzyżowej, pomóc mogła tylko zorganizowana akcja z inicjatywy samego społeczeństwa, poza ramami działalności rządowej. I zrozumiał to naród, tworząc Komitety Pomocy Jeńcom, urządzając kwesty uliczne, składki i wieczory na dochód repatrjantów. Ta praca nad ratowaniem tak lichego naogół materjału obywatelskiego, jaki nam w postaci powracających wygnańców dawała Rosja, jednak nie poszła na marne. Jak wierzyłem jeszcze w Moskwie, tak wierzę i teraz w odrodzenie niejednego, co zbiedzony na duchu i ciele po czyścu sowieckim, biernie się uciekał pod opiekę filantropji krajowej.

Że w Moskwie samej na moich oczach dla ocalenia tych mas robiło się, co się mogło i jak najlepiej się umiało, to jako świadek z całem przekonaniem stwierdzić muszę. Nie spotkałem wśród pracowników Delegacji Repatrjacyjnej człowieka, coby się lenił pracować całą siłą o każdej porze dnia czy nocy, w piątek czy świątek, gdy tylko było potrzeba. Przekonanie o doniosłości roboty i ideowa ochoczość do pracy, mimo rozpaczliwych warunków i wyników, była ogólna. Nie spotkałem także, dodajmy mimochodem, żadnego synekurzysty wśród członków sąsiedniej Delegacji Reewakuacyjnej, z których minister Olszewski przez swój talent organizatorski umiał wyciskać maximum wydajności w pracy. Całe noce nadprogramowej roboty całego personalu, na sposób bolszewickich »woskresni-

ków«, ale z innym zgoła efektem, były tam rzeczą częstą, a i w dzień pan szef granicy godzin urzędowych nie uznawał: sam byłem świadkiem, jak zwoławszy na ósmą wieczorem zebranie swych współpracowników i dowiedziawszy się, że dwóch z nich wyszło sobie po robocie do miasta, zapytał ostro: »I po co oni po mieście chodzą?« To też olśniewano bolszewików przy targach o polskie zabytki sztuki znajomością rosyjskiej literatury fachowej i w zdumienie ich wprawiano nieubłaganą dokładnością informacji o zagrzebanych po odległych kątach Rosji polskich skarbach muzealnych lub maszynach fabrycznych. Jeżeli przewieziono faktycznie do kraju mimo wszystko stosunkowo mało, to winę ponosi jedynie bierny opór strony rosyjskiej, a nie brak ruchliwości ze strony przedstawicielstwa polskiego.

Powracając jednak jeszcze na chwilę do roboty tej Delegacji, w której pracowałem sam, kilka słów poświęcić muszę działalności jej wiceprezesa, p. Adama Zielezińskiego, który przez większą część mojego pobytu wskutek urlopu prezesa był faktyczną głową instytucji. Działał on na swojem stanowisku nietyle śrubą organizacyjną, jak minister Olszewski, ile zawstydzającym przykładem. Niestrudzony od wczesnego rana do późnej nocy, przerażająco wszechobecny i na wszystko pamiętny, pogrążał się jakby z lubością w fale drobiazgowej i najdrobiazgowszej roboty. Widmo ministra skarbu Michalskiego, niemniej wszechobecne we wszystkich pono urzędach naszych, zmuszało wiceprezesa trzy-

mać rękę na wszystkich szczegółach akcji zapomogowej: całemi dniami prawie otoczony czy w kancelarji, czy na podwórzu, czy w kurytarzu tłumami wynędzniałych i rozżebranych repatrjantów, ostre z nimi wiódł targi o funty słoniny, puszki mleka konserwowego i kawałki ubrania. Szorstkiemi słowy i oficerskiemi gestami pokrywał głęboką litość swego romantycznego polskiego serca nad tym ogromem nędzy. »Panu wszystko ukradli? Doskonale, co za wygoda — jedzie Pan bez balastu!« — »Żona Panu umarła na tyfus? Doskonale, nie ma Pan już o nią kłopotu!« — »Panu się chce jeść? Co za przestarzałe nawyczki!« — »Pan ma dziurawe buty? A cóż to za przesąd, że trzeba mieć całe!« — »A wy, stary, czemu już raz nie umieracie? Mówicie, żeście już jedną nogą w grobie? A czemuż się drugą tak uparcie trzymacie?« — Śmiać się i płakać zarazem się chciało, słuchając tysięcy takich aforyzmów, i wiedząc, że człowiek, co je tonem komenderującym wygłaszał, sam przeszedł wszystkie biedy więźnia politycznego w sowieckiej Rosji i głęboko współczującą duszą przeżywał wszystkie cierpienia klientów delegacyjnych. Podrwiwano sobie z tej roboty jego, że zmieniła delegację, w jakieś Rzymsko-Katolickie Towarzystwo Dobroczynności; zarzucano nie bez racji, że cierpiały na tej drobiazgowej pracy zapomogowej wiceprezesa sprawy poważne, ogólne, zasadnicze, które powinny były być przedmiotem spokojnego obmyślenia i częstych a przewlekłych konferencyj z Delegacją rosyjską, na co wszystko

p. Zielezińskiemu nie starczyło czasu. Ale kto, jak ja, napatrzył się przez siedem lat filantropji wojennej i jej głęboko demoralizującym skutkom, ten zna moralną doniosłość i wysoką społeczną odpowiedzialność każdego mikroskopijnego szczegółu akcji jałmużniczej. A kto znowuż, jak ja, widział, że żywnie nie było komu w Delegacji tej wielce poważnej roboty z pełnem zaufaniem powierzyć, ten nie może krytykować p. Zielezińskiego za to, że się jej nawet ze szkodą dla innych działów pracy tak oddawał.

* * *

Dnia 19 stycznia 1922 stanąłem na ziemi polskiej i nocowałem w Baranowiczach. Z lubością oddychając polskiem powietrzem i spacerując bez obawy aresztowania, ciekawie się nazajutrz rozglądałem po tym okrzyczanym i osławionym punkcie etapowym, o którym tyle słyszałem złego, a którego doniosłość, będąc sam repatrjantem, tak dobrze rozumiałem. Niedarmo posłowi naszemu w Moskwie na pierwszą wiadomość o wywalczeniu pozwolenia na mój wyjazd powiedziałem, że jest to najważniejsza chwila w mojem życiu, niemniej ważna, niż chwila przyjścia na świat, »bo jest chwilą narodzin do nowego życia« (jak pięknie uzupełnił moją myśl p. Stefański). Rozumiałem więc teraz doskonale, że od pierwszych chwil repatrjanta na ziemi ojczystej, od sposobu przyjęcia go przez Polskę, zależeć może

cała jego przyszła postawa obywatelska wobec naszej państwowości.

Cóż więc z tego punktu widzenia w Baranowiczach zobaczyłem?

Prawda, że spędziłem tam tylko dobę. Prawda, że przybyłem bez wielkiego utrudzenia pociągiem pośpiesznym, w dwa dni z Moskwy, co mnie musiało usposabiać do widzenia wszystkiego w świetle różowem. Prawda, że cieszyłem się specjalnemi wygodami w baraku, rezerwowanym dla byłych zakładników i więźniów politycznych, a ponadto jeszcze serdeczną osobistą opieką niestrudzonego wice-komisarza pana Staniewskiego, co wszystko mnie natchnęło nawet do rymów dziękczynnych w księdze pamiątkowej. Prawda wreszcie, że jako rutynowanego starego aresztanta, nie bardzo mnie rozczulił widok moich znajomych syberyjskich z eszelonu tomskiego, rozlokowanych na dwupiętrowych pryczach, i zeskrobujących łopatami brud z kamiennej posadzki: bo po tjurmach i obozach koncentracyjnych nabrałem przekonania, że człowiek jest najwytrzymalsze z Boskich stworzeń i może przeżyć takie rzeczy, które nieobytemu z gromadzkiemi mieszkaniami wydają się potwornością. Ale z tem wszystkiem nie mogłem nie widzieć, o ile lepiej już wtedy było w Baranowiczach, niż niedawno jeszcze przedtem, w dantejskiej epoce tego etapu, znanej mi z wieści i powieści.

* * *

Tym akordem optymizmu i niezłomnej wiary w stateczny postęp ku lepszemu urządzeń państwowych polskich rozmyślnie zamykam te karty.

Jak niegdyś wychowanie w szkołach niemieckich na długo napoiło mnie dręczącem przekonaniem, że my Polacy jesteśmy jednak *eine minderwertige Nation*, tak znowuż te siedem lat wędrówek i poniewierki po Rosji naodwrót uzupełniły moją edukację obywatelską polską tym nieocenionym skarbem, jakim jest spotęgowane poczucie godności narodowej, wyższości kulturalnej i żywotności politycznej nas Polaków w porównaniu z głęboko myślącym i czasem błyszcząco zdolnym, ale chronicznie gnuśnym i społecznie bezradnym sąsiadem naszym na Wschodzie.

Pisałem w Krakowie, w marcu 1922 r.

SPIS RZECZY.

	Str.
WSTĘP. Jedność Rosji	1
I. Na manowcach myśli emigracyjnej	6
II. Radykalizm duszy rosyjskiej	13
III. Polacy w Rosji	23
IV. Dola i niedola jeńca wojennego	42
V. Czerwoni, biali i żółci na Syberji	62
VI. Amerykanie a Europejczycy	85
VII. Ostatnie legjony	105
VIII. Pańszczyzna socjalistyczna	143
IX. *Le mie prigioni*	168
X. Od komunizmu do kapitalizmu	199
ZAKOŃCZENIE. Piekło repatrjacyjne	242

D
627
R8D9

Dyboski, Roman
Siedem lat

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY